

Numer 1 July bestsellerow „Publishers Weekly”

JAYNE ANN
KRENTZ

Siódmy
zmysł

WYDAWSTWO MIASTO



WSZYSTKO DLA PAN Thriller romantyczny

Jayne Ann Krentz

Siódmy zmysł

(Arcane Society Tom 5)

*Steve'owi Castle z wyrazami miłości.
To wielkie szczęście mieć takiego brata.*

Prolog

Martin ma zamiar ją zabić. Zeszła z pomostu na pokład dwusilnikowego smukłego jachtu, zastanawiając się, dlaczego nagle ogarnęła ją tak czarna rozpacz. Jednego uczysz się naprawdę szybko, kiedy wychowuje cię państwo - świadomości, że możesz polegać tylko na sobie. Rodziny zastępcze i ulica to najlepsze uniwersytety, na których zdobywa się stopnie naukowe w najtrudniejszych dziedzinach. Jeśli jesteś na świecie zupełnie sam, prawa przetrwania są proste. Zdążyła je już dobrze poznać.

Sądziła, że przeszłość przygotowała ją na każdą ewentualność, nawet taką, że jedyny człowiek, jakiemu kiedykolwiek zaufała, może pewnego dnia zwrócić się przeciw niej. Myliła się jednak. Nic nie było w stanie stępić bólu wywołanego przez tę zdradę. Martin wyszedł z kabiny. W lustrzanych szklach jego ciemnych okularów błysnęło oślepiające słońce Karaibów. Zauważył ją i posłał jej swój charyzmatyczny uśmiech.

- No, jesteś wreszcie - powiedział, podchodząc, by wziąć jej walizeczkę z komputerem. - Spóźniłaś się. - Spojrzał na mężczyznę w białej koszuli i granatowych spodniach, który zbliżał się pomostem, niosąc jej rzeczy. - Pogoda?

- Nie, proszę pana. - Eric Schafer postawił niewielką walizkę na deskach. - Wylądowaliśmy punktualnie. Ale akurat odbywa się jakieś miejscowe święto i ulice są zakorkowane. Wie pan, jak bywa tu, na wyspie. Z lotniska można się wydostać tylko jedną drogą, przez środek miasta. Nie ma sposobu, żeby uniknąć korków.

Eric wyprostował się i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Jego koszula, ozdobiona dyskretnym haftem z logo Crocker World, jeszcze rano w Miami, kiedy wsiadał do małego firmowego odrzutowca, była wykrochmalona na wojskową modłę. Teraz, w upale panującym na wyspie, była zmięta i przepocona.

- Festiwal Dnia i Nocy - rzekł Martin. - Zapomniałem o tym. Tutaj to wielkie święto. Połączenie tłustego czwartku i Halloween. Kłamie, pomyślała, obserwując dziwną ciemną energię, którą emanowała jego aura. To wszystko stanowiło część planu, który obmyślił, by ją zabić. Festiwal to świetna okazja dla każdego, kto zamierzał popełnić morderstwo. Na wyspę przyjechało tylu turystów, że lokalne władze były zbyt zajęte, aby zauważyć, że pan Crocker wrócił ze swojej prywatnej wysepki sam.

- Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia? - spytał Eric.

- Gdzie jest Banner?

- Zostawiłem go na lotnisku. Ma oko na samolot.

- Obaj możecie wracać do Miami. Nie ma sensu, żebyście siedzieli beczynn timer na wyspie przez cały tydzień. Żony i dzieci pewnie na was czekają. Przez kilka ubiegłych miesięcy mieliście sporo pracy.

- Tak, proszę pana. Dziękuję.

Eric był naprawdę wdzięczny. Martin potrafił przywiązywać do siebie ludzi zarówno dzięki hojnym pensjom, jak i swojej naturalnej charyzmie. Często myślała, że byłby doskonałym przywódcą jakiejś sekty. Wybrał jednak inną ścieżkę kariery.

Wszedł na schodki z drewna tekowego i stanął przy sterze.

- Rzuć mi linę! - zawołał do Erica.

- Oczywiście, panie Crocker. - Eric kucnął, by odwiązać liny, którymi przycumowany był jacht.

Zastanawiała się, co Schafer i inni pracownicy Crockera pomyślą, kiedy ona zniknie. Martin na pewno przygotował dla nich jakąś przekonującą bajeczkę. Może powie im, że wypadła za burtę. Prądy morskie wokół wyspy były bardzo niebezpieczne. Pokład zadrżał, gdy rozległ się pomruk silników. Eric pomachał do niej przyjaźnie i ponownie otarł czoło.

Jego twarz nie zdradzała żadnych podejrzeń, nie mrużył znacząco oczu, nie uśmiechał się przebiegle. Kiedy wróci do samolotu i drugiego pilota, Johna Bannera, nie skomentuje faktu, że jego chlebodawca popłynął gdzieś z jedną ze swoich przyjaciółek. Żaden spośród pracowników Martina nigdy nie wziął jej za jego kochankę. Kochanki Martina były zwykle wysokimi, atrakcyjnymi blondynkami.

Ona nie spełniała żadnego z tych warunków. Była tylko jego zmęczoną pomocnicą. Oficjalnie pełniła funkcję jego kamerdynera i była jedyną osobą, która wszędzie z nim podróżowała. Organizowała mu życie i doglądała jego licznych rezydencji. Przede wszystkim jednak pilnowała, żeby jego przyjaciele, współpracownicy w interesach i odwiedzający go czasami politycy czy lobbyści dobrze bawili.

Podniosła rękę, by pomachać do Erica, z trudem powstrzymując łzy cisnące jej się do oczu. Wiedziała, że bez względu na to, co się dziś stanie, już nigdy go nie zobaczy. Jacht z gracją odbił od nabrzeża i ruszył w stronę ujścia małej przystani.

Tak jak wielu innych, którzy obracali się w kręgach prawdziwych bogaczy, Martin posiadał kilka domów i utrzymywał apartamenty w różnych miejscach świata. Najczęściej przebywał w rezydencji w Miami, ale za swój dom uważał małą wysepkę, którą kupił kilka lat temu i na którą można było się tam dostać tylko łodzią.

Na wyspie nie było lotniska, tylko jedna przystań. Inne rezydencje Martina zawsze były gotowe na jego przybycie, ale w domu na wysepce, mniejszym i znacznie skromniejszym niż wszystkie pozostałe, nie trzymał służby. Traktował to miejsce jak swój prywatny azyl.

Kiedy minęli kamienne filary oznaczające wejście do przystani, jacht przyspieszył, tnąc turkusowo-błękitną wodę. Martin, zajęty sterowaniem, nie zwracał na nią uwagi. Wyostrzyła zmysły i znowu przyjrzała się jego aurze. Ciemna energia przybrała na sile. Nakręcał się.

Nagle jacht wydał się jej potwornie ciasny. Nie miała tu dokąd uciec, nie mogła się nigdzie ukryć. Od wielu dni - a właściwie od tygodni - była pewna, że Martin chce się jej pozbyć. Wiedziała nawet, dlaczego. Mimo to jakaś jej część ciągle starała się wyprzeć to ze świadomości. Może istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie tych niepokojących zmian w jego aurze? Może ta dziwna ciemność jest wynikiem choroby psychicznej?

Było to koszarne przypuszczenie, pozwoliłoby jej jednak przynajmniej pocieszać się myślą, że stracił rozum, że prawdziwy Martin nigdy nie pragnąłby jej śmierci. Ale instynkt samozachowawczy nie pozwalał dłużej się oszukiwać. Może Martin kiedyś darzył ją cieplejszym uczuciem, w głębi ducha wiedziała jednak, że ich związek opierał się na fakcie, że była dla niego przydatna. Teraz Martin uznał, że stała się zbędna, więc postanowił się jej pozbyć. Dla niego sytuacja była prosta.

Staną na rufie i patrzyła, jak port w miasteczku maleje w oddali. Kiedy zmienił się w niewyraźny daleki punkt, odwróciła się i spojrzała przed siebie. Prywatna wysepka Martina była już bardzo blisko. Widziała dom przycupnięty na zboczu wzgórza.

- Weź liny - poleciał ostro, w skupieniu manewrując łodzią.

To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ten prosty, rutynowy rozkaz sprawił, że ból, smutek, niedowierzanie i odrętwiający strach, które od dawna ją

męczyły, zostały nagle zmiecione przez potężną falę zimnej wściekłości. Gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny we krwi wyostrzył wszystkie jej zmysły.

Sukinsyn chce ją zamordować. Teraz. Dzisiaj.

- Tak jest, kapitanie - rzuciła lekko, zaskoczona własnym opanowaniem, choć przecież miała za sobą lata ukrywania prawdziwych emocji za fasadą wdzięku i uprzejmości. Mogłaby udzielać lekcji gejszom. Ale sama gejszą nie była.

Chwyciła linę i wyskoczyła na wąski pomost. Przywiązanie liny do słupka cumowniczego nie zajęło jej wiele czasu. Robiła to już setki razy.

Martin puścił ster i zszedł z mostka.

- Masz! - Wręczył jej komputer. - Ja wezmę twoją walizkę i jedzenie.

Wzięła komputer, a on postawił na pomoście walizkę i dwie torby z zakupami. Rozejrzał się po pokładzie, chcąc się upewnić, że wszystko zabrał, po czym sam zszedł z łodzi.

- Gotowa? - spytał.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił torby i jedną zgrabnie wsunął pod pachę. Jego aura emanowała zniecierpliwieniem i wręcz przerażającym podnieceniem. Mroczna energia stawała się coraz wyraźniejsza. Zdała sobie sprawę, że to nie jest dla niego tylko sprawa do załatwienia. Nie mógł się doczekać chwili, w której ją zabije.

- Oczywiście. - Posłała mu profesjonalny uśmiech, który w myślach zawsze nazywała uśmiechem scenicznym. - A tak na marginesie, kiedy masz zamiar to zrobić?

- Co? - spytał, odwracając się w stronę samochodu, który stał przy końcu pomostu.

- Zabić mnie.

Znieruchomiał w pół kroku. Widziała, jak jego aurę rozdzierają błyskawice, strzelając niczym wielobarwne fajerwerki. Naprawdę go zaskoczyłam, pomyślała z niejakim zdumieniem. Najwyraźniej sądził, że zdoła zaplanować jej morderstwo, a ona tego nie wyczuje. Cóż, z drugiej strony, nie zdradziła mu wszystkich swoich tajemnic.

Odwrócił się do niej.

- O czym ty mówisz, do cholery? - rzucił z irytacją. - Czy to miał być dowcip? Jeśli tak, to kiepski.

Skrzyżowała ręce na piersi, obejmując się ramionami.

- Oboje wiemy, że to nie dowcip - odparła spokojnie. - Przywiozłeś mnie tu z zamiarem pozbawienia życia.

- Nie mam czasu na takie bzdury. Czeka mnie mnóstwo pracy.

- Zakładam, że zostanę ofiarą tragicznego wypadku. - Uśmiechnęła się lekko. - Jakie to smutne. Sekretarka poszła popływać i utonęła. Ciągle się słyszy o takich tragediach.

Spojrzał na nią z takim wyrazem twarzy, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem nie zwariowała, a potem pokręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też nie mogłam. Ale teraz jestem pewna, że nosisz się z tym zamiarem od tygodni.

- W porządku, rozważmy to - powiedział tonem wyrozumiałego terapeuty. - Ty i ja stanowimy tandem od dwunastu lat. Dlaczego właśnie teraz miałbym chcieć cię zabić?

- Jest kilka powodów. Po pierwsze, niedawno odkryłam, że od kilku miesięcy pozwalasz paru odrażającym typom używać Crocker World jako przykrywki dla nielegalnego handlu bronią. Wygląda na to, że te wszystkie maszyny rolnicze, którymi tak hojnie obdarowujesz różne kraje rozwijające się, strzelają ostrymi nabojami. Chyba możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie.

Przez chwilę miała wrażenie, że będzie ciągnął tę farsę jeszcze jakiś czas. Ale to był Martin. Potrafił dotrzeć do sedna szybciej niż ktokolwiek inny. Uśmiechnął się ze stosowną dozą niekłamanego żalu i postawił torby z zakupami na ziemi.

- Wiedziałem, że moja dodatkowa działalność może ci się nie spodobać. Dlatego od początku nie wtajemniczałem cię w ten projekt.

- Nie chodzi tylko o to, co robisz, choć już to jest wystarczająco okropne, ale przede wszystkim o ludzi, dla których pracujesz. Jego oczy zaiskrzyły wściekłością.

- Dla nikogo nie pracuję - wycedził przez zęby. - Crocker World należy do mnie. To ja zbudowałem tę firmę, do cholery, ja jestem Crocker World.

- Byłeś. Bo teraz tę firmę, którą zbudowałeś, zresztą z moją pomocą, oddałeś w ręce jakiejś organizacji przestępczej.

- Ty nie miałaś nic wspólnego z sukcesem Crocker World - zachnął się. - Powinnaś dziękować mi na kolanach za to, co dla ciebie zrobiłem. Gdybym nie pojawił się w twoim życiu, nadal pracowałabyś w tej nędznej kwiaciarni i mieszkałabyś sama z paroma kotami, bo przerażasz każdego mężczyznę, który staje na twojej drodze. Do diabła, czasami przerażasz nawet mnie.

To ją zaskoczyło.

- Przerażam cię?

- Tak. Wystarczy, że spojrzysz na człowieka, i już wiesz, co go kręci, czego najbardziej pożąda i czego się najbardziej boi. Znasz jego mocne i słabe strony. Jak myślisz, dlaczego chcę się ciebie pozbyć?

- Zapomniałeś o czymś, Martinie. Gdybyś dwanaście lat temu nie zaproponował mi pracy, nadal prowadziłbyś trzeciorzędne kasyno w Binge w Nowadzie. To ja pokazałam ci oszustów, którzy cię obrabiali. To ja pomogłam ci spłacić tego mafijnego bossa. Gdyby nie ja, leżałbyś teraz w jakimś płytkim grobie na pustyni.

- Bzdura - odparł.

- To ja - ciągnęła uparcie - znalazłam tę spółkę, która wsparła cię finansowo, kiedy postanowiłeś sprzedać kasyno i zostać deweloperem.

Aura Martina płonęła teraz niczym ogień piekielny.

- I bez ciebie znalazłbym inwestorów - warknął.

- Nieprawda. Jesteś marnym strategiem, Martinie. Potrafisz wyczuć nadarzącą się okazję i opracować plan działania. W tym niewielu jest w stanie ci dorównać. Ale nie znasz się na ludziach...

- Zamknij się wreszcie!

- ... a bez tej umiejętności nawet największy talent do robienia interesów jest bezużyteczny. Do zbudowania imperium finansowego nie wystarczy umieć liczyć i znać podstawy ekonomii. Trzeba także umieć dostrzec i wykorzystać mocne oraz słabe punkty przeciwnika.

Uśmiechnął się złowieszczo.

- Sądziś, że potrzebuję twoich pouczeń?

- Przez dwanaście lat tworzyłam dla ciebie profile osobowościowe. To ja ci mówiłam, kiedy twój wspólnik miał kłopoty, finansowe albo osobiste. Ostrzegałam cię, kiedy ktoś próbował cię oszukać. Rozpoznawałam mocne i słabe strony twoich partnerów i przeciwników. Ode mnie wiedziałeś, co powinieneś zaoferować, żeby podpisać kontrakt, a kiedy najlepszym wyjściem z sytuacji było zerwanie negocjacji.

- Masz swoje zalety, muszę przyznać. Tyle że już nie jesteś mi potrzebna. Zanim jednak z tym skończymy, chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób wpadłaś na trop mojej ubocznej działalności.

- Dla twoich gości i wspólników jestem tylko zwykłą asystentką.

Nikt nawet nie spojrzy na mnie dwa razy. Ale ja wszystkim uważnie się przyglądam. Przecież właśnie za to mi płacisz. Czasem coś zobaczę, czasem usłyszę. A tam, gdzie w grę wchodzi szukanie informacji, jestem bardzo, bardzo dobra, pamiętasz?

- Ile właściwie wiesz?

- O ludziach, z którymi się zadałeś? - Wzruszyła ramionami. - Niewiele. Tylko tyle, że prowadzą działalność przestępczą i dzięki swoim wyjątkowym zdolnościom wciągnęli cię w swoje brudne interesy.

Aura Martina zapłonęła jaśniej.

- Nikt mnie nie wciągnął w żaden przestępczy proceder.

- Jeszcze do niedawna nie wątpiłabym, że mówisz prawdę - odparła. - No bo co banda jakichś gangsterów musiałaby zaoferować jednemu z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na świecie, by zechciał zaryzykować wolność, reputację i życie?

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - rzucił gniewnie. - Ta organizacja nie jest żadną bandą.

- Ależ jest, Martinie. Kiedy tylko zaprosiłeś tych dwóch mężczyzn do swojej rezydencji w Miami, powiedziałam ci, że są wyjątkowo niebezpieczni.

- Tak jak ja - syknął Martin. Uniósł rękę i zdjął swoje ciemne, lustrzane okulary. - Dzięki moim nowym wspólnikom jestem bardziej niebezpieczny, niż przypuszczasz. A ty nie jesteś mi już potrzebna.

- O czym ty mówisz?

- Organizacja, do której należą ci ludzie, reprezentuje nie tylko wielkie pieniądze, ale przede wszystkim władzę. Władzę, o jakiej światowi przywódcy i miliarderzy mogą tylko marzyć.

Nagle wszystko stało się jasne. Nie sądziła, że Martin mógłby ją przerazić bardziej, ale teraz rozumiała, że była w błędzie.

- To wyjaśnia zmiany, jakie zaszły w twojej aurze przez kilka ostatnich miesięcy - powiedziała.

Martin, wyraźnie zaskoczony, spytał ostro:

- Jakie zmiany?

- Przypuszczałam, że może jakaś choroba psychiczna wpłynęła na twoje postrzeganie pozazmysłowe.

- Nie jestem chory, do cholery!

- Jesteś, ale nie wskutek jakiegokolwiek naturalnego procesu. Sam to sobie zrobiłeś. Z pewną pomocą swoich nowych przyjaciół, rzecz jasna.

Martin zrobił krok w jej stronę. Nie wydawał się zirytowany. Raczej podekscytowany i zafascynowany.

- Widzisz wpływ tego środka na moją aurę?

- Tak - odparła. - Narkotyk to jedyne logiczne wytłumaczenie.

Ci dwaj dostarczają ci jakiś środek, który wpływa na twoje postrzeganie pozazmysłowe.

- Być może, ale zarazem przedłuży moje życie, może o kilkanaście lub nawet o kilkadziesiąt lat. Co więcej, będą to dla mnie bardzo dobre lata. Nie zestarzeję się i nie osłabnę. Zachowam wszystkie siły.

- Nie wierzę własnym uszom. Martinie, jesteś przecież świetnym biznesmenem. Nie widzisz, że ktoś wciska ci kit? Obietnica długowieczności to najstarsze oszustwo na świecie.

- Wynalazcy tego środka nie mają pewności co do efektu wydłużenia życia, bo istnieje jeszcze za krótko, żeby można to sprawdzić w praktyce. Nawet ci na samym szczycie używają go zaledwie od kilku lat. Ale wyniki badań laboratoryjnych wyglądają bardzo obiecująco.

- Jesteś głupcem, Martinie.

- Wierzę im - upierał się. - Jeśli nawet mylą się co do możliwości wydłużenia mojego życia, nie zmienia to faktu, że specyfik rzeczywiście działa. Może podnieść moje zdolności strategiczne z poziomu siódmego na dziewiąty albo dziesiąty.

- Nie podniósł. Zauważyłabym to. Coś się zmieniło w twojej aurze, ale cokolwiek to jest, nie jest... - urwała, szukając odpowiedniego słowa - ...nie jest zdrowe.

- Zdrowe? - roześmiał się Martin. - Cóż to za kryterium?

Myślisz, że obchodzi mnie, czy to jest zdrowe? Ale przyznaję, że środek, który mi dali, nie rozwinął moich zdolności. Bo nie to jest jego celem.

- Nie bardzo rozumiem.

- Ten specyfik może być modyfikowany genetycznie na wiele sposobów, tak by pasował do indywidualnego profilu psychicznego.

Wersja, którą przyjmuję, zapewniła mi całkiem nową zdolność.

- Jeśli w to wierzysz, chyba zupełnie oszalałeś.

- Nie jestem szalony! - krzyknął.

Jego słowa przez chwilę wibrowały wokół nich jak echo, a potem nastąpiła chwila przerażającej ciszy. Aura Martina była oślepiającym światłem.

Zrozumiała, że nadszedł krytyczny moment. Teraz Martin próbuje ją zabić. Nie wiedziała, czy zamierza użyć rewolweru, czy zrobić to gołymi rękami. Ale jedno było pewne - stojąc tu, na końcu pomostu, nie miała dokąd uciekać. Obezwładniająca fala energii pojawiła się nie wiadomo skąd. Ogluszyła ją i przyniosła zapowiedź bólu, dezorientacji i upadku w przepaść bez dna. Nie użyje rewolweru. Osunęła się na kolana, ulegając sile, która zdawała się miażdżyć jej zmysły. I nie zrobi tego gołymi rękami. Popelniła błąd w swoich przewidywaniach. Martin patrzył na nią z góry, wyraźnie zachwycony własną mocą.

- Mieli rację - wydyszał. - Mówili prawdę o tym narkotyku.

Gratuluję. Za chwilę sama się przekonasz, co pozwolą mi robić moje nowe zdolności.

- Nie dotykaj mnie.

- Nie mam zamiaru. To nie będzie konieczne. Zniszczę cię moją mocą psychiczną. Zapadniesz w śpiączkę, a potem umrzesz.

- Martinie, nie, nie rób tego. - Jej głos brzmiał trochę pewniej.

Zaczęła odzyskiwać siły. Zdołała się otrząsnąć ze skutków pierwszego wstrząsu. Opanowała ból, co znaczyło, że jest w stanie walczyć z napierającymi na nią falami energii. - Może nie jest jeszcze za późno. Może któryś ze specjalistów ze Stowarzyszenia będzie w stanie ci pomóc.

- Błagasz mnie o litość. Podoba mi się to.

- Nie mam zamiaru błagać cię o litość. Ale jest coś, co powinieneś wiedzieć, zanim mnie zabijesz.

- Co?

- Gdybyś nie pojawił się w moim życiu, byłabym teraz właścicielką tej kwiaciarni. Całej sieci kwiaciarni.

- To twoja największa wada - odparł Martin. - Twoje marzenia i ambicje zawsze były znacznie skromniejsze od moich.

Zintensyfikował wysyłaną w jej stronę mroczną energię i jego twarz ściągnęła się z wysiłku. Ale ona także wyteżyła wszystkie siły, by ją odeprzeć. Ból zelżał jeszcze bardziej.

- Umieraj, do cholery - syknął Martin i podszedł bliżej. - Dlaczego nie umierasz?

Poczuła, jak wraca jej moc. Teraz była w stanie skupić się na utrzymywaniu tarczy energetycznej, którą stała się jej aura. Martin zachwiał się lekko, ale chyba nie zauważył, że ona z nim walczy. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Zebrał się w sobie i zrobił kolejny krok w jej kierunku, wzmacniając wysyłaną ku niej energię.

- Masz umrzeć! - krzyknął.

Wyciągnął ręce, chcąc chwycić ją za gardło. Podniosła ramiona w obronnym geście i złapała go za nadgarstki. Świat eksplodował, miała wrażenie, że jej ciałem wstrząsają wyładowania elektryczne. Martin zadrżał konwulsyjnie. Spojrzał na nią oczami człowieka, który patrzy w piekielną otchłań.

- Nie! - wycharczał.

Obrócił się wokół własnej osi, stracił równowagę i runął z pomostu do wody. Jego aura zgasła w mgnieniu oka. Wstała. Serce waliło jej jak młotem. Po raz drugi zabiła człowieka. Ale tym razem nie był to jakiś zwykły człowiek, tylko potężny, wpływowy multimiliarder, który przypadkiem okazał się współnikiem niebezpiecznego przestępczego przedsięwzięcia. I ciągle paliły ją dłonie.

Rozdział 1

Waikiki

Potężny mężczyzna w koszuli w pomarańczowe i fioletowe kwiaty za pięć minut stanie się problemem. Nie trzeba było żadnych szczególnych zdolności, by wyczuć złą energię unoszącą się wokół stolika numer 5. Zauważyłby to każdy doświadczony barman. A dla barmana, który ma pewien dar i pracował kiedyś jako policjant, niewidzialne ostrzegawcze znaki były wyraźne jak neony już w chwili, kiedy Pan Kolorowe Kwiaty wszedł do Dark Rainbow pół godziny wcześniej.

Luther Malone zamieszał *mai tai* długą łyżeczką i postawił szklanekę na tacy tuż obok piwa i drinka Blue Hawaii. Julie pochyliła się i wyjęła z chłodziarki wisienkę oraz plasterek ananasa.

- Mamy problem przy piątce - powiedziała cicho. - Ten bałwan przyczepił się do Szalonego Raya. Na szczęście dla niego, Ray jeszcze tego nie zauważył.

- Ja się tym zajmę - odparł Luther.

Choć bar Dark Rainbow mieścił się w Waikiki, trafiało tu niewielu turystów. Wciśnięty między budynki kilka przecznic od zawsze pełnej ludzi Kuhio Avenue, gościł głównie ekscentrycznych stałych bywalców. Niektórzy, jak Szalony Ray, byli bardziej ekscentryczni niż inni. Ray już dawno zaprzedał duszę bogom surfingu. Jeśli akurat nie surfował, zapadał w stan przypominający letarg. Wszyscy, którzy znali Raya, wiedzieli, że lepiej zostawić go wtedy w spokoju.

- Uważaj - dodała Julie, przybierając *mai tai* wisienką i anansem. - Ta masa to mięśnie, nie tłuszcz.

- Taa, widzę. Dzięki za radę.

Julie posłała Lutherowi szeroki uśmiech.

- Naprawdę nie chce, żeby przytrafiło ci się coś złego, szefie.

Godziny pracy w tym barze idealnie pasują do moich zajęć w hotelu. Jak wielu pracowników branży turystycznej na Hawajach, Julie miała dwa etaty. Życie na wyspach, choć pełne zalet, było raczej kosztowne. Julie przychodziła do Dark Rainbow w piątkowe i sobotnie wieczory i codziennie w porze lunchu, ale jej głównym zajęciem była praca recepcjonistki w jednym z licznych tanich

spjonatów, którym jakoś udawało się przetrwać w cieniu wielkich luksusowych hoteli przy plaży. Poza Julie, w Rainbow zatrudniano też pomywacza, ale teraz na tym stanowisku znowu był wakat. Pomywacze pojawiali się i znikali z taką częstotliwością że właściciele baru, Petra i Wayne Grovesowie, nie starali się nawet pamiętać ich imion. Każdego nazywali Bud i to zupełnie im wystarczało. Ostatni Bud porzucił pracę poprzedniego wieczoru. Najwyraźniej kolidowała z regularnymi spotkaniami z jego dostawcą narkotyków.

Drzwi kuchni otworzyły się i stanął w nich Wayne Groves z tacą pełną talerzy, na których piętrzyły się różności smażone w głębokim tłuszczu. Prawie wszystko, co wychodziło z kuchni Dark Rainbow, było smażone.

Wayne zatrzymał się gwałtownie i wbił wzrok w mężczyznę w kwiecistej, pomarańczowo-fioletowej koszuli. Był wysoki i żyłasty, a jego twarz o ostrych rysach przywołała na myśl rewolwerowca. Do tego wizerunku pasowały też oczy, zimne jak lód. Miał sześćdziesiąt pięć lat, ale wciąż potrafił odczytać litery w najniższym rzędzie na tablicy u okulisty. Byłby w stanie odczytać jeszcze mniejsze znaki, ale twórcy testów okulistycznych nie przewidzieli badań osób obdarzonych nadprzyrodzonym wzrokiem.

Całe ciało Wayne'a pokrywały tatuaże, z których najbardziej widoczny przedstawiał czerwonoookiego węża wijącego się wokół jego łysej czaszki. Głowa węża znajdowała się wysoko nad czołem, niczym mroczny klejnot złowieszczej korony.

Wayne przez większość czasu koncentrował się głównie na odbieraniu zamówień na hamburgery i rybę z frytkami albo polerowaniu szklanek. W tej chwili jednak absorbowało go coś innego. Kwiecista Koszula nie miał o tym pojęcia, ale znalazł się właśnie w polu uwagi człowieka, który kiedyś pracował jako snajper dla tajnej agencji rządowej.

Luther chwycił trzcinę wiszącą na haku przy ladzie. Czas ruszyć do akcji. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali w barze Rainbow, to awantura, która mogłaby sprowadzić im na głowy miejscową policję. Firmy mające siedziby w sąsiedztwie na pewno nie byłyby tym zachwycone. W tej okolicy nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi. Dotyczyło to zwłaszcza bywalców Dark Rainbow, wśród których przeważali skrzywieni nadwrażliwcy w rodzaju Szalonego Raya.

Luther wyszedł zza baru i zatrzymał się na moment przy Wayne.

- W porządku - powiedział. - Zajmę się tym. Wayne zamrugał, wytrącony z odrętwienia.

- Jak chcesz - mruknął.

Odwrócił się i ruszył w stronę pobliskiego stolika. Drzwi kuchni znowu się otworzyły. Zapachniało gorącym tłuszczem i pojawiła się Petra Groves, kucharka i współwłaścicielka baru. Powiodła wzrokiem po sali, wycierając ręce o poplamiony fartuch.

- Miałam przecucie - oznajmiła. Od lat nie mieszkała w Teksasie, ale nadal mówiła z południowym akcentem. Intuicja Petry, tak jak zdolność Wayne'a trafienia w cel z nieprawdopodobnie dużej odległości, nie mieściła się w najszerzej nawet pojętej normie. Prawdę mówiąc, można ją było określić tylko jak paranormalną.

I Petra, i Wayne posiadali pewne zdolności paranormalne i pracowali kiedyś dla tej samej tajnej agencji. W czasach, kiedy Wayne był snajperem, Petra naprowadzała go na cel. Stanowili wtedy śmiercionośną parę. A potem zostali też partnerami życiowymi.

Petra była korpulentną kobietą po sześćdziesiątce. Długie siwe włosy splatała w warkocz, który opadał jej na plecy. Na czubku jej głowy tkwił poźółkły kucharski czepek, a w jednym uchu połyskiwało złote kółko. Podczas gdy Wayne zawsze miał rewolwer w kaburze na kostce u nogi, ona

wolała sporych rozmiarów nóż, który trzymała w pochwie pod długim fartuchem.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewnił Luther.

- Okej. - Petra kiwnęła głową i wróciła do kuchni.

Luther ruszył przed siebie po pokrytej terakotą podłodze. Napięcie w sali rosło z każdą chwilą. Goście zaczęli się niepokoić. Ponieważ parapsychologia została zdyskredytowana przez świat nowoczesnej nauki, wielu ludzi przechodzi przez życie, ignorując, tłumiąc pewne aspekty swojej natury lub po prostu nie uświadamiając sobie ich istnienia. Ale w sytuacjach takich jak ta nawet ci o przeciętnej wrażliwości doskonale wyczuwają, że coś jest nie tak. A goście Dark Rainbow pod tym względem do przeciętnych się nie zaliczali.

Kwiecista Koszula wydawał się kompletnie nieświadomy obecności Luthera ani niespokojnej energii bywalców baru. Był zbyt zajęty drażnieniem Szalonego Raya kąśliwymi uwagami.

- Hej, surferze - powiedział. - Zarabiasz na życie, posuwając turystki? Ile bierzesz za pokazanie swojej małej deski?

Ray go zignorował. Siedział nad swoim piwem, przeżuując miarowo rybę z frytkami. Miał szerokie ramiona i ogorzałą twarz człowieka, który spędza całe dnie, ślizgając się po grzbietach fal. Jego rzadkie włosy były spłowiałe od słońca. Nic dziwnego, że Kwiecista Koszula obrał go za cel, pomyślał Luther. Ray sprawiał wrażenie safandudy dla kogoś, kto nie był w stanie zobaczyć jego aury.

- No jak? - prowokował Kwiecista Koszula. - Nie potrafisz odpowiedzieć na proste pytanie? Gdzie ten duch aloha, o którym ciągle tyle tu słyszysz?

Ray wziął łyk piwa, odstawił szklankę i zaczął podnosić wzrok. Luther wyostrzył zmysły, by zobaczyć aury wszystkich wokół. Ciemność zmieniła się w światło, a światło w ciemność, ale nie tak, jak na fotograficznym negatywie. Kiedy spinał się w sobie, widział wszystkie barwy poza czernią i bielą. Kolory pojawiały się w różnych miejscach spektrum aury. Nie było słów, które mogłyby je opisać.

Energia pulsowała i błyskała wokół wszystkich ludzi w polu jego widzenia. Rosnące napięcie, które wyczuwał zmysłami, przefiltrowane przez jego nadnaturalne zdolności, zmieniło się w powódź pełną niebezpiecznych wirowych prądów. Nagły zawrót głowy, zawsze towarzyszący mu w chwilach zmiany percepcji, minął w mgnieniu oka. Był przyzwyczajony do tych krótkich momentów dezorientacji. Żył ze swoim darem od czasu, kiedy wkroczył w okres nastoletni.

Najpierw skoncentrował się na Rayu. Kwiecista Koszula prowokował go, a Ray był kompletnie nieprzewidywalny. W jego chaotycznie pulsującej, mrocznej aurze wyraźnie czaiło się szaleństwo, gotowe w każdej chwili eksplodować. Najbardziej niepokojące były nieregularne, żółto-zielonkawe błyski, które nasilały się w miarę, jak coraz bardziej tracił kontakt z rzeczywistością i zapadał się we własny paranoidalny świat.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - burknął cicho Ray.

Na dźwięk jego głosu każdy rozsądny człowiek wycofałby się natychmiast. Ale Kwiecista Koszula tylko uśmiechnął się szeroko, nieświadomy faktu, że za chwilę uwolni groźnego dzina z butelki, i powiedział:

- Nie martw się, dupku. Nie mam najmniejszego zamiaru się do ciebie zbliżyć. Pewnie złapałbym jakąś chorobę, którą się zaraziłeś, świadcząc te swoje turystyczne usługi.

Ray zaczął się podnosić. Pod spraną koszulką rysowały się napięte mięśnie ramion. Luther był zaledwie pół metra od niego. Skoncentrował się na niezdrowej zielonkawej energii, która błyskała w

aurze Raya, i z idealną precyzją - błędy miawały bardzo nieprzyjemne konsekwencje - wysłał falę tłumiącej energii z własnej aury. Trafił w cel. Żółtozielone błyski wyraźnie przybladły.

Ray, dezorientowany, zamrugał i zmarszczył brwi. Gdy Luther wysłał w jego stronę jeszcze trochę swojej energii, stracił zainteresowanie Kolorową Koszulą i ciężko opadł na krzesło.

- Może dokończysz piwo - zwrócił się do niego Luther - a ja się tym zajmę.

Ray, wdzięczny za wskazanie mu kierunku we wszechogarniającej mgle, podniósł butelkę do ust i pociągnął długi łyk.

Pozbawiony ofiary Kwiecista Koszula wykrzywił twarz w szyderczym grymasie, spojrział z ukosa na Luthera i znów zwrócił się do Raya.

- Hej, do ciebie mówię, dupku! - krzyknął.

- Nie - odparł Luther takim samym tonem jak wcześniej do Raya. - Mówisz do mnie. Rozmawiamy właśnie o tym, że chcesz już stąd wyjść.

Aura Kwiecistej Koszuli była znacznie bardziej zrównoważona niż aura Raya. To dobrze wróżyło. Źle jednak wróżył fakt, że jej barwy zdradzały frustrację i wściekłość. Według teorii poprawnej politycznie ludzie tego pokroju cierpią z powodu niskiej samooceny i usiłują to sobie zrekompensować, robiąc z innych swoje ofiary. Zdaniem Luthera był to stek bzdur.

Faceci w rodzaju Kwiecistej Koszuli uważają się za lepszych od innych i są pozbawieni empatii. Lubią dokuczać ludziom i sądzą, że mogą sobie na to pozwolić. Jedyne sposoby na powstrzymanie ich ataków to realna groźba. Jest to bowiem gatunek obdarzony silnym instynktem samozachowawczym.

W rytmie, w jakim pulsowała energia Kwiecistej Koszuli, nie było nic niezwykłego ani tajemniczego. Wyraźnie zdradzał przemożne pragnienie słownej agresji. Luther wygenerował falę tłumiącą to uczucie. Chęć zranienia i zdominowania Raya znikła natychmiast, ustępując miejsca zmęczeniu. Ale Kwiecista Koszula już stał, całą swoją uwagę skupiając na barmanie.

- Zejdź mi z drogi, jeśli nie chcesz oberwać.

Chwycił Luthera za ramię, żeby go odsunąć. To był błąd. Kontakt fizyczny wzmocnił energię, którą emanował Luther. Kwiecista Koszula zachwiał się i niemal stracił równowagę. Żeby nie upaść, chwycił krawędź stolika.

- Co jest? - wykrztusił. - Chyba jestem chory czy coś...

- Nie martw się o rachunek. - Luther ujął Kwiecistą Koszulę pod ramię i pociągnął go w stronę drzwi. - Dziś piłeś na koszt firmy.

Kwecista Koszula nie był w stanie się skupić.

- Co... co się dzieje? - bełkotał.

- Właśnie wychodzisz - poinformował go Luther.

- Wychodzę? - Kwecista Koszula zmarszczył czoło. - W porządku. Jestem strasznie zmęczony.

Pozostali goście patrzyli w milczeniu, jak Luther wyprowadza osiłka na zewnątrz.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, podjęli przerwane rozmowy.

- Co jest? - spytał Kwecista Koszula i potarł powieki. - Dokąd idziemy?

- Wracasz do hotelu - odparł Luther.

- Tak? - W głosie osiłka nie było nawet nuty sprzeciwu, tylko bezbrzeżne zdumienie.

Luther poprowadził go między donicami, w których rosły rachityczne palmy, zasadzone przez Wayne'a w płonnej nadziei na dodanie knajpie lokalnego kolorytu.

Dochodziła dziesiąta. Właściciel klubu strzeleckiego na drugim piętrze wywiesił w oknie napis obiecujący turystom „bezpieczną rozrywkę, prawdziwą broń, markową amunicję i profesjonalną

obsługę”. Z powodów, których Luther nigdy do końca nie rozumiał, w Waikiki kwitły firmy pozwalające odwiedzającym wyspę zabawiać się z bronią na zamkniętych strzelnicach.

Studia tatuażu Red Skuli i Zen Comics były już zamknięte, ale zardzewiałe wentylatory w oknach klubu wideo dla dorosłych jak zwykle ze zgrzytem miały powietrze. Tylko po tym można było poznać, że klub ciągle jest otwarty. W szczelnie zasłoniętych oknach nigdy nie widać było światła. Klienci wchodzili i wychodzili, zadowoleni z osłony ciemności.

Luther przeprowadził swojego podobnego w tej chwili do zombie towarzysza pod deską surfingową wiszącą nad wejściem na dziedziniec, a potem wyszedł z nim na Kuhio Avenue. O tej porze panował tu duży ruch, w tawernach i ulicznych knajpkach kłębiły się tłumy ludzi.

Zastanawiał się, czy nie odprowadzić Kwiecistej Koszuli jeszcze przecznicę dalej, do Kalakaua, gdzie turystów wabiły oświetlone witryny luksusowych butików i eleganckie restauracje. Uznał jednak, że byłby to zbędny wysiłek. To, co zamierzał, mógł zrobić także tutaj. Nie zamierzał zostawić Kwiecistej Koszuli na ulicy, efekt stłumienia utrzymywał się bardzo krótko. Za parę minut facet wróci do swojego poprzedniego stanu, a wtedy przypomni sobie, że jego próby wciągnięcia Raya w awanturę spelzły na niczym i że przeszkodził mu barman. Będzie też pamiętał, że został w uwłaczający mu sposób wyprowadzony z lokalu przez faceta podpierającego się laską. Te wspomnienia wystarczą by chciał wrócić do Dark Rainbow w poszukiwaniu odwetu.

Strach, jedna z najbardziej prymitywnych emocji, bazuje na pierwotnym instynkcie samozachowawczym, który, jak wszystkie instynkty, jest zapisany głęboko w ludzkim mózgu. Oznacza to, że człowiek doświadcza strachu całym spektrum zmysłów, naturalnych i nadnaturalnych. Strach bardzo łatwo wzbudzić, jeśli dysponuje się odpowiednią wiedzą. A raz wyzwolony, zwykle utrzymuje się dość długo.

Luther wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Nie lubił tego, ale barman musi robić to, co do niego należy. Zintensyfikował swoją energię, wyostrzył zmysły i odwrócił Kwiecistego w taki sposób, by osiłek zobaczył przed sobą wylot alejki prowadzącej do Dark Rainbow.

- Już nigdy tu nie przyjedziesz - powiedział. - Ludzie, którzy przychodzą do tej knajpy, to szaleńcy. Nie sposób opisać, do czego są zdolni. Równie dobrze mógłbyś usiąść na bombie zegarowej. Musiałbyś być idiotą, żeby tu wrócić.

Jego słowom towarzyszyły impulsy energetyczne wycelowane w punkty strachu paranormalnego spektrum zmysłów Kwiecistej Koszuli. Luther starał się pobudzić jak najwięcej z nich. Wysyłał energię tak długo, aż Kwiecista Koszula zaczął się pocić, drżeć i spoglądać w stronę knajpy jak na wrota piekieł. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, samo wspomnienie Dark Rainbow będzie wywoływać u niego głęboki niepokój.

Kwecisty, chociaż nieświadomy przyczyny tego lęku, jeśli przypadkiem znowu zawędruje w tę okolicę, instynktownie będzie unikał tego miejsca. Właśnie tak działa strach na poziomie podświadomości.

Zazwyczaj, bo istnieją ludzie, którzy lubią się konfrontować ze swoimi lękami. Luther wiedział jednak z doświadczenia, że tacy drobni awanturnicy do nich nie należą. Osłabił wysyłałą energię i Kwiecista Koszula trochę się uspokoił.

- Teraz wrócisz do swojego pokoju hotelowego - zdecydował Luther. - Wypiłeś trochę za dużo i musisz się przespać.

- Chyba tak - wykrztusił Kwecisty, wyraźnie marząc tylko o tym, żeby się oddalić. - Za dużo wypiłem. Szybkim krokiem ruszył do skrzyżowania i przeszedł przez ulicę. Po chwili znikł za rogiem,

zmierzając w stronę Kalakaua i światła bezpiecznych, jasnych hoteli.

Luther oparł się ciężko na lasce. Ciężka mu myśl o tym, co właśnie zrobił. Nie cierpiał tego. Korzystając ze swoich zdolności w konfrontacji z kimś takim jak Kwiecisty, zawsze musiał zapłacić słoną cenę. Wprawdzie drań zasłużył sobie na to wszystko, ale prawdę mówiąc, od samego początku była to nierówna walka. Facet był bez szans, nie wiedział nawet, z czym miał do czynienia. Tak, to była najgorsza część.

Rozdział 2

Po zamknięciu restauracji jak zwykle poszli w dół Kuhio Avenue do Udon Palace. Milly Okada, właścicielka, podała im miseczki wypełnione parującym, aromatycznym rosołem *udon* z kluseczkami. Stawiając supę przed Lutherem, spojrzała na niego znacząco.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Doskonale, Milly. - Luther sięgnął po pałeczki. - Muszę tylko zjeść trochę twojego rosołu, to wszystko. To był długi dzień.

- Znowu jesteś przygnębiony - zawyrokowała. - A teraz, kiedy z twoją nogą jest już prawie w porządku, powinieneś czuć się lepiej.

- Pewnie - zgodziła się Petra. - Ale on nie czuje się lepiej, tylko gorzej.

Rana się zagoiła, ale noga już nie będzie taka jak przedtem. Już nigdy nie będzie chodził bez tej cholernej laski. Wciąż nie potrafił się z tym pogodzić, lecz nie dlatego tego wieczoru czuł się tak kiepsko. Tyle że nie wiedział, jak wytłumaczyć innym, w czym naprawdę tkwi problem.

- Czuję się lepiej - powtórzył z uporem. - Jestem tylko trochę zmęczony. Jak już mówiłem, to był długi dzień.

- Przyniosę ci jeszcze jedno piwo - powiedziała Milly. Zniknęła za białą-czerwona zasłoną z pasów materiału, która oddzielała kuchnię od sali restauracyjnej.

- Milly i Petra mają rację, znowu jesteś przygnębiony. - Wayne nabrał na pałeczki porcję kluseczek i włożył do ust. - Weź tę robotę dla J&J. Poprawi ci to nastrój.

- No właśnie - dodała Petra. - Wyrwiesz się wreszcie z tego marazmu, w którym tkwisz od miesiący. Luther spojrzał na nich gniewnie.

- Praca, którą zaproponował mi Jones, to nuda. Dwa dni niańczenia kogoś na Maui.

- I co z tego? - Wayne postukał pałeczkami o brzeg miseczki. - Praca to praca. No i wrócisz do gry.

- Nie, nie wrócę. Fallon Jones po prostu lituje się nade mną.

Może czuje się winny z powodu tego, co się stało, kiedy ostatnio dla niego pracowałem, więc postanowił rzucić mi kość ze swojego stołu.

- Akurat - prychnęła Petra. - Fallon Jones nad nikim się nie lituje i prawdopodobnie nawet nie wie, co to znaczy poczucie winy.

- W porządku, przyznaję, że Fallon rzadko poddaje się sentymentom - odparł Luther. - Zostaje więc tylko jedno wytłumaczenie.

- Jakie? - spytała Petra.

- Robota musi być tak kiepsko płatna, że Jones nie chce tracić forsy na sprowadzenie agenta z kontynentu.

- Może. - Petra wzruszyła ramionami. - Ale i tak radzę ci podnieść tę kość.

- Dlaczego?

- Bo powinieneś zająć się czymś poza własnymi myślami. Praca dla J&J, nawet jeśli to tylko dwudniowe zlecenie, dobrze ci zrobi.
 - Tak uważasz?
 - Tak - odparła. - Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego powinieneś wziąć to zlecenie.
 - Jaki?
 - Mam co do niego pewne przeczucie.
 - Miałaś też przeczucie co do ostatniego zlecenia - przypomniał jej Luther.
- Wszyscy spojrzeli na laskę zawieszoną na oparciu krzesła.
- To przeczucie jest trochę inne - powiedziała Petra.

Rozdział 3

Było już po drugiej, kiedy utykając, wspinał się na piętro starego dwukondygnacyjnego budynku Sunset Surf Apartments. Bruno Cudowny Pies ujadł wściekle, gdy Luther mijał drzwi mieszkania jego właściciela. Pies był mały, kudłaty i ważył ze trzy kilo, ale miał instynkt dobermana. Każdy, kto wchodził do Sunset Surf Apartments, był przez niego głośno anonsovany.

W mieszkaniu Luther włączył światło, oświetlając wytarty dywan, spłowiałe ściany i używane meble, które kupił na wyprzedaży dwa lata temu, wkrótce po przyjeździe na wyspy. Spłacał wtedy koszty drugiego rozwodu, więc miał niewiele pieniędzy. Zresztą nadal miał ich mało.

Pracował dla J&J, żeby podreperować stan konta, ale gdy dwa miesiące temu wreszcie odbił się od dna i zaczął się nawet zastanawiać nad przeprowadzką do lepszego mieszkania, przyjął niefortunne zlecenie. Postrzał nie tylko przysporzył mu wiele bólu, ale i odbił się negatywnie na jego finansach.

Wayne i Petra mieli rację. Powinien wziąć tę robotę. Będzie to cios dla jego dumy, ale pieniądze bardzo mu się przydadzą. J&J dobrze płaciło.

Wszedł do ciasnej kuchni i wyjął z szafki butelkę przedniej whisky, którą dostał na urodziny od Petry i Wayne'a. Nalał sobie sporą porcję do szklanki, rozsunął szklane drzwi i wyszedł na miniaturowy balkonik.

Oparł się o balustradę i pociągnął łyk. Jedwabista nocna ciemność wydawała się tulić do niego jak niewidzialna kochanka, kojąc wszystkie zmysły. Sunset Surf był jednym z licznych czynszowych domów wciśniętych w labirynt uliczek Waikiki. Z jego okien nie było widać ani zachodów słońca, ani surferów. Nie miał też klimatyzacji ani basenu. Ale za budynkiem rosło drzewo banyan o potężnych konarach, które podczas gorących letnich miesięcy ocieniały okna.

Sąsiadami Luthera byli właściciel domu, starszy mężczyzna znany jako Bea, małżeństwo emerytów z Alaski, podstarzały surfer utrzymujący się nie wiadomo z czego i facet, który twierdził, że pisze powieść. Nie była to zbyt towarzyska grupa. Whisky zaczęła działać. Poczul się lepiej, a w każdym razie wpadł w lekko filozoficzny nastrój.

Jakby na zamówienie zadzwoniła komórka. Odpiął ją od paska i odebrał połączenie, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni. Tylko trzy osoby znały jego numer, a nie miał wątpliwości, że Wayne i Petra już śpią.

- Wiesz, która tu jest godzina, Fallon? - spytał.

- O tej porze roku na Hawajach jest dwie godziny wcześniej niż w Kalifornii - odparł Fallon głosem, w którym jak zwykle pobrzmiwała irytacja. - Ale nie bardzo rozumiem, co to ma do rzeczy.

Fallon, szef Jones & Jones, unikającej rozgłosu agencji detektywistycznej, w której wykorzystywano

zdolności paranormalne, miał kilka wspaniałych cech, w tym zdolność dostrzegania powiązań i wzorów tam, gdzie inni widzieli tylko przypadek lub zbieg okoliczności. Jednakże innych zalet, takich jak dobre maniery czy cierpliwość, zdecydowanie mu brakowało.

- Miałem zadzwonić do ciebie rano - powiedział Luther.

- Jest po czwartej. To już rano. Nie mogę dłużej czekać, aż zdecydujesz, czy bierzesz tę robotę czy nie. Muszę wiedzieć teraz. Nie mam czasu na cackanie się z twoimi wątpliwościami.

- Co oznacza, że nie masz w okolicy nikogo innego, kto mógłby wziąć to zlecenie.

- Tak, to też. Jesteś dobry i jesteś osiągalny. Jak dla mnie, idealna kombinacja. Z czym masz problem? To do ciebie niepodobne. Luther sam nie wiedział, dlaczego się waha. Brał zlecenia od J&J, odkąd odszedł z policji w Seattle dwa lata temu. Podobała mu się ta praca. No, postrzał oczywiście mu się nie podobał. Ale ilekroć był w takim nastroju jak teraz, marzył o jakimś zleceniu od J&J.

Była to agencja jedyna w swoim rodzaju. Została założona jeszcze w epoce wiktoriańskiej, jej głównym klientem była rada zarządu Towarzystwa Arkane, a najważniejszym zadaniem - ochrona największych tajemnic Towarzystwa.

Jednak gdzieś po drodze rada uznała, że policja nie dysponuje odpowiednimi środkami, by radzić sobie z pewnymi typami socjopatów. Tylko nieliczni funkcjonariusze współczesnych sił bezpieczeństwa przyznawali, że niektórzy zabójcy są obdarzeni specyficznymi zdolnościami. Radzie bowiem odpowiadało takie podejście. Wszystko, co związane z paranormalnymi aspektami rzeczywistości, i tak zbyt często dostawało się do mediów, choć na ogół były to tylko sensacyjne artykułiki w brukowcach i głupie telewizyjne talk-show. Nikomu nie zależało na tym, by policja zaczęła opowiadać mediom o przestępcach mających zdolności parapsychiczne.

W epoce wiktoriańskiej rada, choć niechętnie, podjęła się ścigania pewnych niebezpiecznych degeneratów o takich zdolnościach, hołdując teorii, że lepiej zdusić te problemy w zarodku, zamiast ryzykować, pozwalając przestępcom działać.

Praca na Maui okaże się pewnie rutynowym zleceniem ochroniarskim, ale zawsze to praca, a pieniądze bez wątpienia mu się przydadzą. No i Petra miała przeczucie.

- Biorę tę robotę - powiedział.

- No, wreszcie wrócił ci rozsądek - burknął Fallon. - A tak przy okazji, tym razem będziesz pracował z partnerem.

- Jak to? Chwileczkę. Przecież mówiłeś, że chodzi o ochronę.

- Raczej o opiekę.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Osoba, którą się zajmiesz, nie należy do moich stałych agentów. Można ją określić raczej jako specjalistę. Konsultanta. To jej pierwsza robota w terenie. Ty masz tylko dopilnować, żeby nie wpadła w kłopoty. Poczekaasz, aż zrobi swoje, i zabierzesz ją stamtąd. Proste.

- Nie nadaję się na opiekuna.

- Nie marudź, Malone. To ty będziesz odpowiedzialny za całą operację.

- Czyżby? Z mojego doświadczenia wynika, że specjaliści i konsultanci nie lubią się podporządkowywać.

- Cholera, to wielka szansa na przyszpilenie Eubanksa. Nie zamierzam jej zmarnować tylko dlatego, że nie masz ochoty pracować ze specjalistą.

Eubanks był podejrzany o zabójstwo młodej kobiety, której rodzina w całości rekrutowała się z

zarejestrowanych członków Towarzystwa Arkane. Kiedy policja wykluczyła wypadek jako przyczynę śmierci, rodzice ofiary poprosili J&J, by zbadała sprawę.

Uzdolniony paranormalnie psycholog wysłany na miejsce zbrodni przygotował profil sprawcy, który Fallon przekazał jednemu z pracowników Wydziału Genealogicznego Towarzystwa. Ten przepuścił dane przez specjalny program komputerowy, który wytypował trzech potencjalnych podejrzanych. Pierwszy na liście był właśnie Eubanks.

- Poszukaj kogoś innego - mruknął Luther.

- Nie ma nikogo innego. Ty i Grace Renquist do jutra macie być na miejscu. Eubanks pojawi się pojutrze. Jeśli podejrzewa, że jest śledzony, będzie uważał raczej na osoby, które przyjadą do hotelu po nim, a nie przed nim.

- Znam zasady - odparł Luther. - A co możesz mi powiedzieć o Grace Renquist?

- Między innymi czyta aury, ale jest naprawdę niesamowita.

- Każdy, kto ma dar, jest niesamowity. Na czym polega to w jej przypadku?

- Czyta aury jak nikt, kogo znam - w głosie Fallona brzmiała nuta autentycznego podziwu. - Wystarczy, że rzuci okiem na Eubanksa, a będzie w stanie powiedzieć, czy on rzeczywiście pasuje do profilu przygotowanego przez agenta, który był na miejscu zbrodni. Prawdopodobnie będzie też w stanie stwierdzić, czy Eubanks popełnił jakiś akt przemocy w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Córka naszych klientów została zamordowana sześć tygodni temu.

- Chyba żartujesz. Nikt nie widzi w aurze takich rzeczy.

- Grace Renquist widzi. Znasz stare porzekadło, że każde morderstwo zostawia po sobie jakiś ślad? Ona mówi, że to prawda w tym sensie, że zostają po nim specyficzne „plamy” w aurze.

- Hm... A skąd to wie?

- Nie zadaję Grace takich pytań - odparł Fallon.

- Ale jeśli nawet uda jej się zidentyfikować sprawcę, i tak niewiele to pomoże. Policji trzeba przedstawić twarde dowody. Wciąż nie chcą aresztować ludzi na podstawie odczytu aury.

- Tak, to prawdziwy wrzód na dupie - mruknął Fallon. - Ale będę się martwił o dowody, kiedy zdobędę pewność, że to właściwy facet. Ciągle przyglądam się także dwóm pozostałym podejrzany.

- Wspominałeś, że Grace Renquist nie należy do twoich stałych agentów. Więc co ona robi?

- Pracuje w bibliotece Wydziału Genealogicznego.

- Jest bibliotekarką?

- Specjalizuje się we wzorach dziedzicznych skaz psychicznych.

Towarzystwo Arkane miało ogromny zbiór danych dotyczących genealogii swoich członków, którego początki sięgały końca XVII wieku. Uwagi założyciela Towarzystwa, Sylwestra Jonesa, wybitnego, choć ekscentrycznego alchemika, nie umknął fakt, iż talent paranormalny może być przekazywany z pokolenia na pokolenie. W ciągu kilku ostatnich lat wydział umieścił zawartość wielkiej kolekcji pokrytych kurzem tomów z drzewami genealogicznymi w komputerowej bazie danych.

- Chcesz, żebym został partnerem jakiejś siwowłosej staruszki z biblioteki genealogicznej? - powiedział Luther. - To ma być żart?

- Przecież nie mogę tam wysłać tej niewinnej starszej pani samej. Nie poradziłaby sobie. Znając moje szczęście, podłożyłaby się Eubanksowi, który złapałby ją za koczek i wrzucił do ścieku. A Stary Dziób przejechałby się po mnie za to, że pozwoliłem zabić jego pracownika.

Harry Beakman, wpływowy szef Wydziału Genealogicznego, nosił to niezbyt pochlebne przezwisko od lat ze względu na charakterystyczny profil i niezbyt miły charakter.

- Możesz sobie darować te dramatyczne argumenty - mruknął Luther ze znużeniem. - Wiem, o co ci chodzi.

- Wydział Genealogiczny prowadzi dla mnie wiele badań.

Współpraca ze Starym Dziobem i jego zespołem jest naprawdę przydatna. Jeśli cokolwiek się stanie któremuś z jego ludzi, będę miał poważne kłopoty.

- Podziwiam twoją troskę o innych, Fallonie.

- Posłuchaj, to proste zlecenie. Najwyżej dwa dni. Pojedziesz z panną Renquist na Maui, zaczekasz, aż ona zrobi swoje, a potem wsadzisz ją do samolotu, zanim zdąży spać mi śledztwo. Czy to naprawdę taki duży problem?

- Niech zgadnę. Mam odegrać rolę troskliwego syna odwożącego matkę staruszkę na wakacje na Hawajach? Proszę, powiedz, że nie będę musiał udawać jednego z tych czterdziestolatków, którzy ciągle mieszkają z rodzicami.

- Dokumenty dotyczące twojej nowej tożsamości dziś wieczorem zostaną dostarczone Renquist - powiedział jakoś zbyt gładko Fallon. - Będzie je miała przy sobie, kiedy spotkacie się jutro w Honolulu.

- Na pewno nie miałaś na myśli dzisiejszego ranka?

- Nie robię takich błędów. Renquist ma bilet na lot z Portland w Oregonie na jutro ósmą rano. Masz długopis?

Luther wszedł do mieszkania. Długopis i notatnik leżały na kuchennym blacie.

- Mów - poprosił.

Fallon podał mu numer lotu.

- Wyląduje w Honolulu o jedenastej trzydzieści pięć. Pojedziecie razem na Maui i używając fałszywych dowodów tożsamości, zameldujecie się w hotelu.

- Ona mieszka w Portland? - spytał Luther. Ot tak, z ciekawości.

- Nie, w Eclipse Bay - odparł Fallon. - To małe miasteczko na wybrzeżu.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Tak? No cóż, odniosłem wrażenie, że właśnie dlatego pannie Renquist się tam podoba.

- Na Hawaje przylatuje mnóstwo starszych kobiet - stwierdził Luther. - Jak ją rozpoznam?

- Będzie w rękawiczkach.

- W rękawiczkach? Jutro będzie pewnie z trzydzieści pięć stopni.

- Panna Renquist lubi nosić rękawiczki. Jest pod tym względem nieco ekscentryczna.

- Będzie się wyróżniać, to pewne. Powiedz jej, że będę miał na sobie spodnie khaki i ciemnobrązową koszulę.

- W kwiaty?

- Nie, gładką.

- Jestem pewny, że rozpoznacie się bez trudu.

Fallon zakończył rozmowę kilkoma dziwnymi chrząknięciami i przerwał połączenie.

Luther położył kartkę z notatkami na blacie i wrócił na balkon.

Prześpi się trochę, a potem zadzwoni do Petry i Wayne'a i powie im, że wziął to zlecenie. Przynajmniej oni będą zadowoleni. Dokończył whisky i pomyślał o dziwnych dźwiękach, które Fallon wydał pod koniec rozmowy. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, byłby pewny, że to tłumiony śmiech.

Rozdział 4

Eclipse Bay, Oregon

Gdy tylko wróci z Maui, weźmie psa. Podjąwszy decyzję, Grace Renquist odwróciła się od toaletki i włożyła starannie złożoną koszulę nocną do walizki. W białej bawełnianej koszuli nie było nic seksownego - miała długie rękawy i opadała aż do kostek. Nie miała jednak kusić i uwodzić, nie po to została kupiona. Grace wybrała ją z powodów praktycznych. Zimowe noce w stanie Oregon bywały bardzo chłodne.

Koszula nie nadawała się jednak na Hawaje, podobnie jak wszystko inne, co trafiło już do walizki, a zwłaszcza zapasowa para cienkich skórzanych rękawiczek. Rok wcześniej porzuciła dotychczasowe życie, zabierając ze sobą tylko to, w co akurat była ubrana. Teraz nie miała nawet kostiumu kąpielowego. W Eclipse Bay nie był jej potrzebny. Nie zamierzała jednak sprawiać sobie nowej garderoby tylko z powodu krótkiego wyjazdu na Maui. Towarzystwo Arkane płaciło nieźle, ale znacznie gorzej niż jej poprzedni pracodawca. W swoim nowym życiu genealoga Grace musiała więc liczyć się z pieniędzmi.

Praca, choć fascynująca i przynosząca wiele satysfakcji, nie była w stanie rozproszyć narastającego mroku samotności. Powinnam była wziąć psa już kilka miesięcy temu, pomyślała. Ale przecież opierała się tej pokusie nie bez powodu. Podczas pierwszego roku, który spędziła jako Grace Renquist, wszystko było jeszcze niepewne. A jeśli namierzą ją władze Florydy? Albo ci dwaj mężczyźni o aurach pulsujących mroczną energią wpadną na jej ślad lub J&J odkryje, że jej nowa tożsamość jest fałszywa? Wtedy pozostawałoby jej tylko zniknąć w mgnieniu oka; pies skomplikowałby każdy plan ucieczki.

Wiedziała, że nie byłaby w stanie go porzucić. Ale minął już ponad rok od dnia, w którym zginął Martin Crocker. Gdyby ktoś jej szukał, z pewnością już by to wyczuła. Jej instynkt samozachowawczy był nierozzerwalnie związany ze szczególnymi zdolnościami odczytywania aury, które posiadała. Jedno i drugie wyostrzyło się nagle, kiedy skończyła czternaście lat.

Uspokajał ją też fakt, że zdołała przejść przez sito J&J. Teraz była bezpieczna. Siedziała w wielkich, pełnych kurzu podziemiach budynku Towarzystwa Arkane, znanego pod nazwą Wydziału Genealogicznego. Dane z ksiąg zgromadzonych w bibliotece znajdowały się teraz także w komputerowej bazie danych, lecz nadal była to biblioteka.

Tak, jest bezpieczna. Może wziąć psa. Zadzwoiła jej komórka. Spojrzała na zaszyfrowany numer i natychmiast odebrała.

- Dzień dobry, panie Jones - powiedziała. Używała takich oficjalnych sformułowań, aby utrzymywać dystans w relacjach z ludźmi.

- Jesteś już spakowana?

Jeszcze nigdy nie spotkała się z tym człowiekiem. Fallon Jones zarządzał J&J z jednoosobowego biura, które mieściło się w małym miasteczku na wybrzeżu północnej Kalifornii. Niektórzy uważali go za nieuleczalnego odludka. Inni twierdzili, że mieszka i pracuje samotnie, bo nikt nie jest w stanie znieść w jego obecności dłużej niż pięć minut. Fakt, miał wzrok rozdrażnionego nosorożca. Ale był też wybitnie uzdolniony.

Wkrótce po tym, jak Harley Beakman zaczął jej przekazywać pytania Jonesa, zrozumiała, że jest jedyną osobą w wydziale, która ma cierpliwość do niekończących się żądań wyjątkowo trudnego w kontaktach szefa J&J.

Bez większych problemów odkryła, że Fallon to potomek w linii prostej Caleba Jonesa, założyciela

J&J. To zresztą nie stanowiło tajemnicy. Powszechnie wiadomo było także, że na skali Jonesa Fallon plasował się bardzo wysoko, może nawet wykraczał poza skalę. Wiedziała, że członkowie rodziny Jonesów często zaniżali swoje pozycje w ogólnodostępnych rankingach, starając się przedstawiać jako mniej uzdolnieni, niż byli w istocie. Nie miała im tego za złe. Sama dyskretnie zmieniła swoją pozycję w rankingu do mniej onieśmiałej siódemki.

Jednak natura uzdolnień Fallona pozostawała niejasna - prawdopodobnie dlatego, że jak dotąd nikt nie wymyślił uprzejmego i neutralnego naukowego określenia na to, co ludzie nazywają skłonnością do teorii spiskowych. Ale Fallon różnił się od większości szaleńców z obsesją na punkcie spisków. Misterne intrygi, które wplatał w swoje teorie, nie były produktem jego wyobraźni. Były rzeczywiste. Prawie zawsze.

- Już kończę - odparła. - Przed wyjazdem muszę jeszcze poprosić panią Waggoner, żeby przetrzymała dla mnie pocztę, i poinformować właścicielkę domu, że przez kilka dni nie będzie mnie w mieście.

- Musisz spowiadać się z tej podróży przed całym miastem? - warknął Fallon.

- Jeśli nie powiem właścicielce domu o wyjeździe i nie zostawię wiadomości na poczcie, w ciągu dwudziestu czterech godzin całe miasto zacznie huczeć od plotek. A potem do moich drzwi zacznie dobijać się policja, żeby sprawdzić, czy żyję. To Eclipse Bay, nie Portland.

- Jasne, wiem, jak funkcjonują małe miasteczka. W Scargill Cove jest identycznie. Zrób, co musisz zrobić, i ruszaj w drogę.

- Tak, proszę pana.

- Na dzisiejszą noc masz zarezerwowany pokój w hotelu przy lotnisku. Kurier z Towarzystwa dostarczy tam dokumenty, którymi będziecie się posługiwać ty i Malone. Samolot do Honolulu startuje jutro o ósmej rano. Malone będzie czekał przy bramkach na terminalu Interisland. Potem oboje wsiedzicie do samolotu na Maui.

- Jak rozpoznam pana Malone'a?

- Malone ma zdolność odczytu aury na poziomie ósmym, więc przy twojej wrażliwości bez problemu zauważysz go w tłumie. Na lotnisku w Honolulu nie będzie chyba wielu ósemek.

Luther Malone był jedynym czynnikiem w tym przedsięwzięciu, który ją niepokoił. Nie miała okazji zająć się jego drzewem genealogicznym, ale nie martwiła się jego zdolnościami. Poziom ósmy wskazywał na moc wykraczającą poza przeciętną, nie było w tym jednak nic szczególnie niezwykłego, w każdym razie w Towarzystwie. Obawy budził w niej fakt, że Malone był kiedyś policjantem, a dokładnie detektywem w wydziale zabójstw. Co więcej, miał bardzo wysoki współczynnik rozwiązanych spraw.

Policjanci potrafią być bardzo przebiegli. Ale przecież z wieloma już sobie poradziła. Poradzi sobie także z tym.

- W porządku, będę szukać ósemki - powiedziała. - Czy to już wszystko?

- Jego zdjęcie jest na prawie jazdy, które kurier dostarczy ci dziś wieczorem - odparł Fallon. - Aha, wspominał, że będzie w spodniach khaki i ciemnobrązowej koszuli. Bez kwiatów. Powiedziałem mu, że ty będziesz miała rękawiczki. Więc się nie martw. Na pewno się znajdziecie.

Spuściła wzrok na rękawiczki w walizce i westchnęła. Tak jak wszyscy, których teraz poznawała, Luther Malone uzna ją za dziwaczkę. Opinia dziwaczki zaczynała ją męczyć.

- Chyba powinienem cię ostrzec - dodał Fallon - że Malone nie jest zachwycony perspektywą pracy z partnerem. Będzie chciał jak najwięcej się o tobie dowiedzieć. Może cię trochę maglować. To były gliniarz, nie da rady się powstrzymać.

Nie ma problemu, pomyślała. Skoro zdołała przechrzcić Martina Crockera i zataić swoje sekrety przed Fallonem Jonesem, nie powinna mieć żadnych problemów z osobą o ponadprzeciętnych uzdolnieniach. Zresztą Malone'a nie interesuje śmierć Crockera. Nie ma powodu o cokolwiek ją podejrzewać, będzie po prostu ciekaw, kim jest jego partnerka.

- Na pewno będzie nam się dobrze współpracować - odparła tonem wyrażającym profesjonalną kompetencję. Wyćwiczyła go dobrze podczas dwunastu lat pracy z Martinem.

- To twoje pierwsze zadanie w terenie - ciągnął Fallon. - Będiesz miała co nieco do zrobienia, ale nie chcę, żebyś podejmowała choćby najmniejsze ryzyko. Od tego jest Malone.

- Od podejmowania ryzyka?

- Od pilnowania, żebyś ty tego nie robiła. To rutynowa operacja, która ma na celu obserwację i identyfikację, a nie zdjęcie obiektu. Kiedy potwierdzisz profil psychologiczny Eubanksa, twoje zadanie będzie skończone. Malone natychmiast wsadzi cię do samolotu. Zrozumiano?

- Tak, panie Jones.

- A, jeszcze jedno. Malone potrafi być jak wrzód na dupie, ale jest dobry w tym, co robi. Jeśli zaczniesz ci rozkazywać, a pewnie zaczniesz, po prostu się zamknij i rób, co ci każe. Jakies pytania?

- Nie, proszę pana.

- Uwielbiam, kiedy agenci tak do mnie mówią. Aha, byłbym zapomniaw, jest jeszcze coś, co pomoże ci rozpoznać Malone'a.

- Co?

- Chodzi o lasce.

To ją zmroziło.

- Przydzielił mi pan ochroniarza, który porusza się o lasce?

- Jakiś czas temu miał mały wypadek. Lekarze twierdzą, że jego noga już nigdy nie będzie w pełni sprawna. Jest skazany na laskę do końca życia.

- Rozumiem. Czy pan Malone nosi przy sobie broń?

- Nie, odkąd odszedł z policji. Powiedział mi kiedyś, że nie lubi broni, palnej. Szczerze mówiąc, i tak kiepsko strzelał.

Wspaniale. Dostała ochroniarza, który chodzi o lasce i nie umie strzelać.

- Odnoszę wrażenie, że dla J&J nie jest to priorytetowa operacja - powiedziała.

- Nie, nie jest. - Fallon westchnął. - Nie zrozum mnie źle. Jeśli Eubanks zabił tę kobietę, chcę, żeby zniknął z ulic. Ale to rutynowa sprawa. J&J zajmuje się dziesiątkami takich spraw. Klienci przychodzą, a ja przekazuję zlecenia moim agentom. Ich zadaniem jest zdobycie dowodów, które będą wiarygodne dla sądu.

- Ale ma pan też ważniejsze sprawy?

- Tak, Grace, mam - odparł dziwnie znużonym głosem.

Chciała zapytać, jakie, ale знаła Fallona na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie uzyskałaby odpowiedzi. Jones był irytująco dyskretny.

- Rozumiem - powiedziała więc tylko. - Czy jest pan pewny, że pan Malone to odpowiedni człowiek? Chyba powinien pomyśleć raczej o emeryturze.

- Malone mieszka na Oahu, co jest bardzo dogodnie. I potrzebuje pieniędzy.

- A więc na dodatek jest bankrutem?

- Dwa rozwody w ciągu czterech lat potrafią doprowadzić do bankructwa. Dorabia jako barman w małej knajpce o nazwie Dark Rainbow.

- Rozumiem. No cóż, to naprawdę bardzo dogodne.

- Zgadza się. Słuchaj, muszę kończyć. Mam na drugiej linii nowego Mistrza Towarzystwa. Baw się dobrze na Maui.

Usłyszała dźwięk przypominający prychnięcie, a potem połączenie zostało przerwane.

Zamknęła telefon i przez chwilę uważnie mu się przyglądała. Czyżby właśnie miała okazję usłyszeć śmiech Fallona Jonesa? Niemożliwe. Wszyscy wiedzieli, że Fallon Jones nie ma poczucia humoru.

Schowała telefon do torebki i wróciła do pakowania. Włożyła do walizki laptopa. Przyda się, jeśli trzeba będzie poszukać jakiejś informacji. Zamknęła walizkę i odetchnęła głęboko. Po roku spędzonym na lizaniu ran znowu była gotowa żyć. Dostała możliwość przeżycia ekscytującej przygody i postanowiła z niej skorzystać.

Gdy dwadzieścia minut później wyszła z poczty, na parking wjechał SUV pomalowany w zielono-brązowe łaty. Wsiadła z niego starsza siwowłosa kobieta w wojskowych bojówkach i ciężkich czarnych butach. Nosila czapeczkę z daszkiem, jej oczy zasłaniały ciemne lustrzane okulary, a u szerokiego skórzanego pasa miała lornetkę, latarkę i małą nowoczesną kamerę.

Była to Arizona Snow w dziennym uniformie. Na wieczorne patrole po Eclipse Bay wkładała czarne spodnie i bluzę, a do paska przypinała noktowizor.

- Cześć, Grace! - zawołała. - Słyszałam, że wybierasz się na wakacje.

Grace uśmiechnęła się. Arizona Snow, jedna z najbardziej ekscentrycznych mieszkanek Eclipse Bay, musiała być już po osiemdziesiątce, ale poza początkami artretyzmu cieszyła się doskonałym zdrowiem. Poświęcenie, z jakim próbowała chronić miasteczko przed tajemniczym spiskiem, istniejącym zapewne tylko w jej głowie, nigdy nie słabło.

- Wieści szybko się rozchodzą-powiedziała Grace, przystając obok.

- Nie wszystko, co się słyszy, jest prawdą - mruknęła Arizona. Z jednej z licznych kieszeni na nogawkach spodni wyjęła długopis i notatnik. Otworzyła notes i nacisnęła koniuszek długopisu. - Wybierasz się na Hawaje?

- Tak - potwierdziła Grace.

Arizona zapisała coś w notatniku.

- Data powrotu?

- Jeszcze nie wiem. Ale nie jadę tam na długo. Na dwa, najwyżej trzy dni. A czemu pytasz?

Arizona podniosła wzrok i pokręciła głową, zdumiona tak idiotycznym pytaniem.

- Muszę wiedzieć, kiedy wracasz, żeby zawiadomić szeryfa, gdybyś nie pojawiła się na czas.

Arizona interesowała się Grace od samego początku i chętnie wynajęła jej domek. Zazwyczaj traktowała przybyszów z zewnątrz bardzo podejrzliwie. Ale w stosunku do Grace przyjęła postawę pełną przyjacielskiego zrozumienia. Jakby uważała, że dzielą w milczeniu jakieś tajemnice.

I pewnie ma rację, pomyślała Grace. W ciągu kilku ubiegłych miesięcy odkryła, że choć Arizona mieszkała w Eclipse Bay od zaledwie kilku lat, nikt nie wiedział ani kiedy dokładnie tu przyjechała, ani skąd.

W miasteczku krążyły różne plotki na jej temat, a według najbardziej sensacyjnej Arizona pracowała wcześniej dla jakiejś tajnej rządowej agencji wywiadowczej, z której odeszła lub została wysłana na emeryturę, gdy zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością.

- Obawiam się, że data mojego powrotu musi zostać kwestią otwartą - odezwała się łagodnie Grace.

- Rozumiem. - Arizona zamknęła notes i rozejrzała się dookoła, by się upewnić, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchiwać.

Potem przysunęła się bliżej, zachowując jednak pewien dystans.

Arizona była jedną z niewielu osób, które intuicyjnie wyczuwały, że Grace nie lubi, kiedy ktoś ją dotyka.

- A więc agencja wysłała cię wreszcie w teren - powiedziała, zniżając głos. - Bądź ostrożna, kochaneczko. Z tego, co widzę, jesteś analitykiem, a nie wyszkolonym agentem. Założę się, że doświadczenie zdobywałaś przy biurku z komputerem. Mam nadzieję, że dołożą ci jakiegoś mięśniaka, żeby miał na ciebie oko.

Grace nie mogła powstrzymać uśmiechu. Arizona widziała wszystko przez pryzmat własnej paranoi. I właśnie dlatego była jedyną osobą w Eclipse Bay bliską odgadnięcia prawdy. Gdyby kiedykolwiek odgadła, że Towarzystwo Arkane jest tajną, liczącą kilkaset lat organizacją zajmującą się studiami nad zjawiskami paranormalnymi, bez problemu włączyłaby tę informację do własnego świata.

- Nie martw się o mnie - uspokoiła ją Grace. - Będę miała partnera.

- Doskonale. - Arizona kiwnęła głową, usatysfakcjonowana. - Przekaż mu ode mnie, żeby dobrze się tobą opiekował.

- Przekażę - obiecała Grace, choć nie zamierzała prosić Luthera Malone'a o opiekę. Nie potrzebowała żadnej pomocy, bo umiała sama się o siebie zatroszczyć od dnia, kiedy zmarła jej matka.

- Będę miała na oku twój domek - dodała Arizona. - Dopilnuję, żeby te sukinsyny nie próbowały włamać się do twoich danych.

- Dziękuję.

- Bądź czujna i wracaj żywa. - Arizona zasalutowała i ruszyła przez parking w stronę drzwi poczty.

Grace wsiadła do samochodu. Jadąc w stronę autostrady do Portland, myślała o Arizonie.

Jest bez wątpienia uzdolniona paranormalnie, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Jej talent przypominał dar Fallona. Potrafi dostrzec porządek w pozornym chaosie, ale gdzieś po drodze straciła kontrolę nad tym aspektem swojej psychiki. Może gdyby dorastała jako członek Towarzystwa Arkane, nauczyłaby się panować nad swoim darem. A może nie.

Teraz było już za późno na jakąkolwiek interwencję. Arizona weszła zbyt głęboko w swój własny świat i jej dar nad nią panował. Ciekawe, czy Fallon Jones nie obawia się, że i on kiedyś zostanie schwytany w pułapkę spisków i intrygi, nie zdoła wrócić do rzeczywistości. Za dużo pracuje, pomyślała. Zarządzanie biurem na Zachodnim Wybrzeżu i prowadzenie J&J to zbyt duże wyzwanie dla jednej osoby. Przydałby mu się asystent.

Zaczęło padać. Włączyła wycieraczki i zaczęła się zastanawiać, czy nie kusi losu, przyjmując zlecenie od J&J. Nagle opadły ją wątpliwości. A jeśli nie podoła tej misji? A jeśli Luther Malone odkryje jej tajemnice?

Nie myśl tak, skarciła się w duchu. Czy człowiek o lasce może stanowić istotne niebezpieczeństwo? Już i tak dość długo chowała się w Eclipse Bay.

Kurier z Towarzystwa Arkane - młody mężczyzna wyraźnie podekscytowany faktem, że może coś zrobić dla legendarnej firmy J&J - dostarczył przesyłkę do hotelu. Gdy wręczał ją Grace w holu, wyczuła, że to prawdziwy łowca. Nie musiała wyostrzać zmysłów, aby wiedzieć, że miał dużą moc.

- Jak się nazywasz? - spytała, cofając się odruchowo, by zwiększyć dzielący ich dystans.

- Sean Jones, proszę pani - odparł.

No tak, pomyślała. Drzewo genealogiczne rodziny Jonesów było pełne łowców.

Podziękowała mu i poszła do windy. Kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, rozerwała

zapięczętowaną kopertę i wysypała jej zawartość na stół. Na wierzchu znalazło się fałszywe prawo jazdy Luthera Malone'a. Podniosła je i spojrzała na zdjęcie, zżerana niezrozumiałą dla niej samej ciekawością.

Jak większość zdjęć tego rodzaju, fotografia nie była zbyt pochlebna. Możliwe, że to tylko kwestia oświetlenia, intuicja podpowiadała jej jednak, że ta surowa kanciasta twarz w rzeczywistości wygląda bardzo podobnie. Ciemne włosy miał krótko ostrzyżone, a oczy, w rysopisie określone jako brązowe, na zdjęciu były po prostu ciemne i nieodgadnione, niczym oczy samotnego wilka.

Malone wydawał się na tej fotografii zimny jak głaz, ale z jakiegoś powodu nie mogła oderwać od niego wzroku. Z ociąganiem odłożyła prawo jazdy i sięgnęła po swój bilet lotniczy oraz rezerwację hotelową.

Mniej więcej sześćdziesiąt sekund później - tyle czasu potrzebowała, by zapanować nad drżeniem rąk - wystukała numer Scargill Cove.

- Nie uprzedził mnie pan, że Malone i ja mamy występować jako pan i pani Carstairs - powiedziała lekko podniesionym głosem, choć bardzo chciała zachować profesjonalny spokój. - Jest tylko jeden pokój.

- Nie ma powodu do zdenerwowania - odrzekł Fallon dziwnie kojącym głosem. - Upewniłem się, że dostaniecie apartament. Weź sypialnię. Ma oddzielną łazienkę. A Malone może spać na rozkładanej kanapie w saloniku.

- Nie wiem, czy mogę się tego podjąć. Powinien pan był mnie uprzedzić.

- Wiedziałem, że wpadniesz w panikę, jeśli ci powiem, że macie udawać małżeństwo - wyjaśnił Fallon tonem wyrozumiałego pracodawcy, który musi sobie poradzić z wyjątkowo trudnym pracownikiem.

- I nie mylił się pan.

- Naprawdę nie masz się czym martwić. Malone to profesjonalista. Ma cię ochraniać, a tylko w ten sposób będzie mógł wykonać swoje zadanie.

Przełknęła ślinę. Fallon miał rację. Malone był profesjonalistą. Ona amatorką. Jeśli rzeczywiście chce w przyszłości zostać agentką J&J, musi zacząć się stosownie do tego zachowywać.

- Pan Malone zgodził się na ten plan? - spytała ostrożnie.

- Nie będzie mu to przeszkadzać.

- Więc on jeszcze nie wie, że mamy występować jako małżeństwo?

- Uznałem, że będzie lepiej, jeśli ty mu o tym powiesz - odparł Fallon.

- Wielkie dzięki.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła współpracować z Fallonem Jonesem, odłożyła słuchawkę, zanim on zdążył to zrobić. Potem dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w fałszywe prawo jazdy Malone'a i w hotelową rezerwację. Pora wrócić do życia.

Rozdział 5

Korytarzem prowadzącym z terminalu ciągnął tłum turystów i biznesmenów. Samoloty lądujące i startujące za oszkloną ścianą nosiły oznaczenia z całego świata, w tym z kilku krajów prawie nieznanymi poza rejonem Południowego Pacyfiku. Ciepła bryza niosła ze sobą zapach paliwa i lekką mgiełkę, która nadciągała od strony gór.

Luther oparł się o ścianę, zaciskając dłoń na uchwycie laski, i patrzył na ciemnowłosą kobietę, która

szła w jego kierunku. Zauważył ją nieco wcześniej na końcu długiego korytarza i z jakiegoś powodu ciągle wracał do niej wzrokiem.

Zresztą do diabła, miał jeszcze trochę czasu. Z informacji wyświetlonych na monitorach wynikało, że samolot Grace Renquist wylądował parę minut temu przy głównym terminalu, Luther był jednak pewny, że dotarcie na terminal zajmie jej dłuższą chwilę.

Starsza pani będzie pewnie wolała zaczekać na busik kursujący między terminalami niż odbyć tę drogę pieszo przez lotnisko. Ciemnowłosa kobieta znikła za dużą grupą starszych ludzi obwieszonych wieńcami z kwiatów. Niecierpliwie czekał, aż się ponownie pojawi. Kiedy znowu ją dostrzegł, była dużo bliżej. Ciągle szła w jego stronę. Teraz widział ją dokładnie. W jednej ręce trzymała niewielką walizkę. Poruszała się szybkim krokiem, pewnym i zarazem seksownym. Zdecydowanie działała na jego zmysły, wszystkie zmysły. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł coś takiego.

Włosy, ostrzyżone bardzo krótko na karku, z przodu opadały po obu stronach twarzy poniżej kości policzkowych. Zafascynowała go, choć sam nie wiedział, dlaczego. Była atrakcyjna w jakiś nieuchwytny sposób, w niczym bowiem nie przypominała modelek z okładek kolorowych pism. W mocnych liniach jej nosa i brody widać było determinację i pewną niedostępność, która Lutherowi wydawała się bardzo pociągająca. Nosila ciemne okulary. Na Hawajach, gdzie wszyscy osłaniają oczy przed słońcem, nie ma w tym nic niezwykłego, jej jednak ciemne szkła dodawały egzotycznej tajemniczości.

Musiała właśnie przybyć z kontynentu, pomyślał. Z jakiegoś miejsca, gdzie padał deszcz, bo miała na sobie lekki trencz. Płaszcz był rozpięty i ukazywał ciemne spodnie oraz klasyczną bluzkę koszulową w odcieniu głębokiej miedzi. Na ramieniu niosła czarną skórzaną torebkę z mosiężnym zapięciem. Jedną rękę zaciskała na rączce walizki, drugą schowała do kieszeni płaszcza.

Nie potrafił oderwać oczu od tej kobiety. Może to w nim było coś, co sprawiało, że wydała mu się interesująca, bo inni zdawali się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi. Jego od dawna uspiiony apetyt seksualny znalazł sobie zaiste doskonały moment, by się obudzić. Odkąd Luther pogrzył się we własnym świecie smutku, w jego życiu panował niezmacony spokój. Może Wayne, Petra i Milly mają rację. Może rzeczywiście był na krawędzi depresji. Ale przynajmniej życie było takie spokojne. I nudne.

Była już całkiem blisko. Wyostrzył zmysły. To co jasne, stało się ciemne, i na odwrót. Ludzie zaczęli się jarzyć jak robaczki świętojańskie. Ich aury lśniły i pulsowały kolorami należącymi do tych, którzy nie posiadają szczególnych zdolności paranormalnych.

Jednak wokół ciemnowłosej kobiety jaśniała prawdziwa moc. Wyróżniała się z tłumu niczym wielobarwny motyl wśród szarych ciem. Musiała mieć wielki dar. To zapewne na ów dar tak silnie zareagowały jego zmysły. Zauważył go już na normalnej płaszczyźnie; na paranormalnej czuł go jeszcze wyraźniej. Chciał podejść do niej bliżej. Znacznie bliżej.

Zacisnął dłoń na rączce laski i oderwał się od ściany. Leciwa bibliotekarka jeszcze przez chwilę pewnie się nie pojawi. Zrobił krok i zatrzymał się gwałtownie. Co on wyprawia? Jest przecież w pracy. Zostaw tę kobietę, durniu. Dwoje mających dar ludzi przechodzi obok siebie w tłumie. Zdarza się.

Być może, ale jemu nigdy coś takiego się nie zdarzyło. Spotykał już ludzi obdarzonych wielkimi zdolnościami. Dwa miesiące temu jeden z nich chciał go nawet zabić. Ale on na żadną z tych osób nie reagował w taki sposób. Teraz kobieta była niespełna dwa metry od niego. Nim zdążył się poruszyć, by zastąpić jej drogę, zatrzymała się nagle tuż przed nim. Żarzyła się blaskiem, który niemal palił

jego zmysły. Zrozumiał, że rozpoznała w nim człowieka z darem, tak jak on rozpoznał wcześniej ją.

Cholera. Ale co miał do stracenia?

- Pan Malone? - spytała cicho.

Wrócił do normalnego świata. Ogień, który zdawał się płonąć wokół kobiety, znikł, ale jego fascynacja pozostała. Przypomnił sobie śmiech Fallona Jonesa w słuchawce. Starsza, siwowłosa bibliotekarka. Niech to wszyscy diabli.

- To ja - odparł. - Grace Renquist?

- Tak.

- Cóż, nie wiem, co powiedzieć. Fallon Jones ma jednak poczucie humoru.

Uśmiechnęła się lekko.

- Obawiam się, że nieco skrzywione.

- A czego można się spodziewać po Jonesie? - Wyciągnął rękę. - Miło mi panią poznać, panno Renquist. Uhm... panna, prawda? A może to także źle zrozumiałem?

- Panna, zgadza się. - Uprzejmie skinęła głową. - A kogo lub czego się pan spodziewał?

Spojrzał w dół i zobaczył, że ciągle trzyma walizkę w obleczonej w rękawiczkę dłoni. Drugą rękę miała schowaną w kieszeni płaszcza.

- No cóż, odniosłem wrażenie, że przybędzie ktoś bardziej... dojrzały. Zdjęła ciemne okulary. W jej szarozielonych, jakby przydymionych oczach, zabłysło rozbawienie.

- Siwy? - powiedziała. - Z aparatem słuchowym?

- Fallon pozwolił mi wyciągnąć pewne wnioski.

- Jeśli uważasz, że spotkała cię niespodzianka, zczekaj, aż zobaczysz swoje nowe dokumenty.

Wyjęła rękę z kieszeni, ukazując drugą rękawiczkę.

- Jest chyba za ciepło na płaszczy i rękawiczki - zauważył. Zignorowała tę uwagę, tak jak wcześniej jego próbę uściśnięcia jej dłoni. Zdjęła tylko z ramienia skórzaną torbę, otworzyła i wyjęła z niej kopertę. Podała mu ją ostrożnie, uważając, by nie dotknąć dłonią w rękawiczkę jego skóry.

Takie już ma szczęście. Najbardziej ekscytująca kobieta, jaka pojawiła się w jego życiu, wyraźnie cierpi na jakąś fobię związaną z dotykiem innych ludzi. Cóż, w końcu ja też niezupełnie mieszczę się w normie.

Otworzył kopertę i wyjął z niej prawo jazdy, kilka kart kredytowych oraz złożoną na pół rezerwację hotelową. Z prawa jazdy i kart bankowych dowiedział się, że jego nowe nazwisko brzmi Andrew Carstairs i że mieszka w Los Angeles. Z rezerwacji hotelowej - że jest żonaty. Podniósł głowę.

- Miło mi panią poznać, pani Carstairs.

Ku jego zdumieniu, oblała się rumieńcem i ukryła obie ręce w kieszeniach płaszcza.

- Kiedy pan Jones powiedział mi o tym, było już za późno, żebym mogła się wycofać.

- Jones wie, jak skłonić swoich agentów, by robili to, co chce. - Spojrzał na zegarek. - Mamy trochę czasu do odlotu na Maui. Jesteś głodna?

- Nie, ale chętnie napiłabym się kawy.

- Świetnie.

Weszli do pobliskiej kawiarni. Grace zamówiła czarną kawę. On także taką pijał. Więc jednak coś nas łączy, pomyślał. Trzeba skupić się na pozytywach.

- Będziesz musiała zdjąć rękawiczki, zanim wsiądziemy do samolotu - powiedział cicho, gdy usiedli przy stoliku.

Grace, która właśnie podnosiła filiżankę do ust, znieruchomiała.

- Dlaczego?
- Bo jeśli tego nie zrobisz, będziesz odstawała od wszystkich jak... jak bolący palec.

Skrzywiła się i spojrzała na rękawiczki.

- Bałam się, że to powiesz.

- Czy to duży problem? - spytał.

- Mam swoje powody - rzuciła chłodno.

Ruchem głowy wskazał łaskę opartą o brzeg stolika.

- Ja też. Moje są natury fizycznej. A twoje?

- Psychicznej. Ale mój problem jest związany ze zmysłem dotyku, co czasem komplikuje mi życie.

- Byłaś u któregoś z psychiatrów z Towarzystwa? Zmrużyła oczy. Niemal czuł, jak wycofała się w głąb siebie.

- Nie - odparła.

- Posłuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale w tych okolicznościach muszę wiedzieć, czego się spodziewać. Zesztywniała.

- Nie obawiaj się. Zapewniam cię, że ta fobia nie ma wpływu na moje zdolności odczytywania aury.

- To świetnie. Ale i tak będziesz musiała zdjąć rękawiczki. Jesteś w stanie to zrobić?

Przez chwilę był pewny, że pośle go do wszystkich diabłów. Ona jednak bardzo ostrożnie zdjęła najpierw jedną rękawiczkę, a potem drugą. Włożyła je do torebki i podniosła filiżankę z kawą.

- Zadowolony?

Miała zaskakująco delikatne dłonie o starannie przyciętych, niepomalowanych paznokciach. Żadnego pierścionka.

- Tak - powiedział i odetchnął głęboko. - Przepraszam cię za to.

- Uhm.

Przeprosiny wyraźnie nie zrobiły na niej wrażenia.

- Dasz sobie radę? - zapytał cicho.

- Nie przejmuj się mną - rzuciła. - Potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Od dawna to robisz, prawda?

- Owszem - potwierdziła. - Od dawna.

Rozdział 6

Wynajęty samochód, zarezerwowany na nazwisko Andrew Carstairsa, czekał na nich przed lotniskiem na Maui. Trzeba przyznać, że J&J jest bardzo skuteczna, pomyślała Grace.

- Włączyć klimatyzację? - spytał Luther, siadając za kierownicą.

- Nie. Nie lubię klimatyzacji. Wolałabym otworzyć okna.

- Ja też. - Wrzucił bieg i wyjechał z parkingu.

Grace pomyślała, że pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej Luther Malone, mogłaby podsumować w trzech słowach: silny, opanowany, fascynujący. Chociaż przyszło jej do głowy jeszcze jedno: podniecający. Atmosfera w samochodzie była wyraźnie naładowana elektrycznością, przynajmniej ona tak to odbierała.

Spotkała już kilku mężczyzn, którzy jej się podobali, nigdy jednak nie doświadczyła tak zmysłowej ekscytacji. Moc zawsze jest interesująca; a moc kontrolowana tak doskonale, jak miało to miejsce w przypadku Luthera, szczególnie, przynajmniej dla niej. Jeden rzut oka na jego aurę wystarczył, by

rozumiała, że nie pasuje się na poziomie ósmym - raczej na dziesiątym albo nawet wyżej. Najwyraźniej postarał się, by fakt ten nie znalazł się w aktach. Nie mogła mieć mu tego za złe, w końcu zrobiła to samo. W Towarzystwie wybitnie uzdolnione jednostki dostawały etykietkę „egzotyków”, która nie miała nic wspólnego z szacunkiem czy podziwem. W najlepszym wypadku inni traktowali takich ludzi z dużą ostrożnością, w najgorszym - po prostu ich unikali.

Moc jest intrygująca, ale może także być niebezpieczna. Zdjęcie w fałszywym prawie jazdy Luthera nie kłamało. Sprawiał wrażenie równie twardego jak na fotografii. I miał brązowe oczy, zgodnie z rysopisem. Ale był to brąz w mglistym bursztynowym odcieniu, który przywodził jej na myśl mroczne dżungle i zakazane namiętności. Nie żeby miała duże doświadczenie z jednym czy drugim.

- Powietrze jest tu cudowne - oznajmiła, biorąc głęboki wdech. - Upajające. Mam ochotę wystawić głowę przez okno jak pies.

- Większość ludzi reaguje tak na Hawaje. - Zerknął na nią z ukosa, ale ciemne szkła okularów skrywały jego oczy. - Jak się czujesz bez rękawiczek?

To pytanie ją zirytowało. Spojrzała na swoje dłonie, a potem uniosła głowę.

- Mówiłam ci już, dam sobie radę.

- Na pewno? Zauważyłem, że w samolocie przez cały czas trzymałaś ręce schowane pod płaszczem.

- Nie podjęłabym się tego zadania, gdybym uważała, że sobie nie poradzę.

- Przykro mi.

- Wcale nie jest ci przykro. - Zmarszczyła nos. - Denerwujesz się. Ja cię denerwuję.

- Może jestem po prostu ciekawy?

- Denerwujesz się - powtórzyła spokojnie. - Rozumiem twój brak zaufania, ale spróbuj spojrzeć na tę sytuację z mojej perspektywy.

- To znaczy? Uniosła brwi.

- Mam ochroniarza, który nie lubi broni i musi podpierać się laską.

- Fallon powiedział ci o broni?

- Tak.

Zastanawiał się nad tym chwilę, a potem kiwnął głową.

- Masz rację. Z twojej perspektywy to może się wydawać niepokojące.

- Na szczęście dla mnie dobrze ci się przyjrzałam - odparła.

- Przyjrzałaś się mojej aurze - uściślił.

- Czytam z aury. Tym się zajmuję.

Ku jej zaskoczeniu, uśmiechnął się i spytał:

- I co takiego w niej zobaczyłaś?

- Zobaczyłam, że masz determinację buldoga.

- Determinacja buldoga to zaleta?

- Tak, bo oznacza, że zrobisz wszystko, by doprowadzić tę misję do końca. Poza tym znasz swoją siłę i potrafiśz nad nią panować. Jesteś też pewny swoich zdolności, więc ja też jestem ich pewna.

Zobaczyła w jego aurze znacznie więcej, ale nie zamierzała wchodzić w szczegóły. O pewnych sprawach nie rozmawia się na pierwszej randce, pomyślała, uśmiechając się pod nosem. Luther milczał chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Jesteś w stanie zobaczyć w aurze takie rzeczy, jak determinacja? - spytał wreszcie, na poły z ciekawością, na poły z niedowierzaniem.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Czy pan Jones nie wspomniał ci, że mój dar jest raczej nietypowy?
- Wspomniał tylko, że potrafisz odczytać z aury profil psychologiczny. Najwyraźniej nie rozumiałem, co dokładnie miał na myśli. Dziwne, że nie zaproponował ci pracy w charakterze parapsychologa.
- Nie mam odpowiedniego wykształcenia.
- Jak trafiłaś do Wydziału Genealogii?
- Złożyłam podanie o pracę. Lubię genealogię i mam zdolności w tym kierunku. A jak ty trafiłeś za bar w Waikiki?
- Mam zdolności w tym kierunku. Grace wiedziała, kiedy dać za wygraną.
- Jasne. A skoro mowa o twoich zdolnościach, jak zamierzasz odnaleźć naszego złoczyńcę? Mam węszyć po hotelu jak pies szukający narkotyków i przyglądać się aurom? Uśmiechnął się lekko.
- Spróbujemy zastosować jakiś subtelniejszy sposób.
- Nawet jeśli będziemy bardzo subtelni, szybko namierzymy Eubanksa. Silne talenty rzadko się zdarzają. Jakie są szanse, że w hotelu trafi się więcej niż jedna dziewiątka?
- To samo mówił Fallon.
- Jeśli ktoś naprawdę zna się na rachunku prawdopodobieństwa, to właśnie on.
- Zdradzę ci pewien sekret dotyczący Fallona - oznajmił Luther.
- Jaki?
- Fallon na ogół ma rację, ale od czasu do czasu zdarza mu się popełnić błąd, i to zawsze jest duży błąd.
- Może jest tak pewny swojego talentu, że nie dopuszcza innych możliwości. A może po prostu jest przepracowany. Odniosłam wrażenie, że znajduje się pod ogromną presją.
- Chyba wiesz, że Fallon ma obsesję na punkcie teorii spiskowych, a od innych świrów odróżnia go tylko wysoki wskaźnik trafności podejrzeń?
- Tak. - Grace odchrząknęła. - Ale nie czuję się dobrze, rozmawiając o panu Jonesie w taki sposób.
- Trzeba jednak przyznać, że dobrze płaci - powiedział Luther. Uśmiechnęła się.
- Owszem, całkiem nieźle.

Rozdział 7

Było po czwartej, kiedy zameldowali się w hotelu przy plaży w Wailea. Dostali apartament na czwartym piętrze, którego okna wychodziły na basen, ogrody i ocean, a na ocieniony taras można było wyjść i z sypialni, i z salonu. Idealne miejsce na podróż poślubną, pomyślał ponuro Luther. Nie żeby coś o tym wiedział. Po obu swoich ślubach pojechał do Vegas.

Wszedł do łazienki przy salonie i postawił swoją torbę podróżną na blacie koło umywalki. Grace rozpakowywała się w sypialni.

Pomyślał, że miło byłoby być prawdziwym panem Carstairsem w prawdziwej podróży poślubnej z prawdziwą żoną. Daj spokój. Ona nie jest twoją żoną tylko partnerką, której nie chciałeś, bo brak jej doświadczenia w terenie. A to nie wróży dobrze.

Była też pierwszą od miesiący kobietą, która tak silnie rozbudziła jego zmysły. To wprawdzie nie wróżyło źle, ale go rozpraszało. Będzie musiał się starać, żeby się skoncentrować. Rozboliła go noga. Lot z Honolulu i jazda z lotniska dały mu się we znaki. Zirytowany, sięgnął do torby po lek przeciwbólowy i wytrząsnął na dłoń cztery tabletki. Z trudem opanował nagłe pragnienie, by

roztrzaskać fiolkę o ścianę. Ta cholerna noga już nigdy nie będzie sprawna. Pogódź się z tym.

Wrzucił tabletki do torby, chwycił laskę i wyszedł z łazienki. Była w salonie. Przebrała się w lekkie spodnie i bluzkę z długimi rękawami, podobną do tej, którą miała na sobie wcześniej. Przynajmniej pozbyła się płaszcz. Uświadomił sobie nagle, że apartament nie zrobił na niej większego wrażenia. Na nim zrobił. Najpierw długo był w wojsku, potem kilka lat pracował w policji, aż w końcu wylądował za barem i zaczął brać zlecenia od J&J, nigdy więc nie zarabiał na tyle dużo, by móc sobie pozwolić na mieszkanie w eleganckich hotelach. Natomiast Grace wydawała się przyzwyczajona do luksusu. Cóż, może on także powinien się postarać o pracę w Wydziale Genealogii.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał.

- Myślałam o spacerze po plaży - odparła. - Prawie cały dzień spędziłam w samolotach. Chciałabym się trochę odprężyć przed obiadem.

Uznał, że czas ją uświadomić.

- Zapamiętaj zasadę, która będzie obowiązywać podczas tej operacji. Nazwiemy ją zasadą numer jeden.

Uniosła brwi.

- To znaczy?

- To znaczy, że ja wydaję rozkazy. A pierwszy z nich jest taki, że nie wolno ci samej wychodzić z pokoju. Żadnych samotnych spacerów, chyba że wyrażę na to zgodę. Grace posłusznie skinęła głową i rzekła:

- Zakładam więc, że pójdziesz na plażę ze mną.

- No cóż, i tak muszę rozejrzeć się w terenie. - Otworzył przed nią drzwi. - Ale rozkaz nadal obowiązuje. Nigdzie nie wychodzisz sama. Zrozumiano? Minęła go, starannie unikając kontaktu fizycznego.

- Fallon uprzedził mnie, że ty jesteś tu szefem.

- Tym lepiej. Wszystko jest jasne.

Wyszli na korytarz. Luther zaczekał na trzask oznaczający zamknięcie zamka w drzwiach, a potem ruszył za Grace do windy, walcząc z pokusą, by naruszyć tę niewidzialną zakazaną strefę, która otaczała ją niczym jeszcze jedna warstwa aury. Zauważył, że ręce skrzyżowała na piersi w sposób, który mógłby wydawać się swobodny, gdyby nie fakt, że starała się dokładnie ukryć palce.

Co musiało spotkać kobietę, by tak bardzo zaczęła się obawiać kontaktu z innymi istotami ludzkimi? Świadomość, że zetknięcie z jego skórą mogłoby sprawić jej ból, była bardzo nieprzyjemna. Źle czuł się na myśl, że mogłaby cierpieć pod jego dotykiem, zwłaszcza że sam był pewny, iż dla niego byłaby to czysta przyjemność.

- Czuję się winny z powodu tej sprawy z rękawiczkami - powiedział.

- I słusznie.

- Cholera...

- Nie przejmuj się, rozumiem. - Uśmiechnęła się zagadkowo. - Noszenie ich podczas operacji byłoby nieprofesjonalne.

Luthera ogarnęło pragnienie wkroczenia w zakazaną strefę.

- Od dawna pracujesz w Genealogii? - zagadnął.

- Od roku.

- Tylko tyle? Fallon mówił, że uważa cię za bardzo wartościowego pracownika.

- Miło mi to słyszeć - odparła z szerokim uśmiechem. - Pan Jones jest, delikatnie mówiąc, oszczędny w pochwałach.

- Na pewno nigdy zdobędzie tytułu Szefa Roku. Ale wierz mi, nie korzystałby z twoich usług, gdybyś nie zrobiła na nim wrażenia.

- Dobrze wiedzieć.

- Co robiłaś wcześniej?

- Pan Jones ci nie mówił? - spytała.

- Fallon rzadko mówi o rzeczach, które uważa za nieistotne.

- Pracowałam dla Crocker World.

- W firmie Martina Crockera?

- Tak. A skąd znasz tę firmę?

- O śmierci Crockera było głośno w mediach. W Towarzystwie zresztą też. Był jego członkiem i sfinansował wiele projektów badawczych.

- Tak, wiem.

- Co robiłaś w Crocker World?

- Pracowałam w zespole badań korporacyjnych. Po śmierci Crockera szybko stało się jasne, że bez niego u steru wszystko się rozpadnie. Zaczęłam więc szukać nowej pracy. Powiedziała to gładko i swobodnie, ale coś w jej głosie dało mu do myślenia. Wyostrzył zmysły, by dokładniej przyjrzeć się jej aurze. Nie był w stanie wychwycić tylu szczegółów co ona, lecz zdołał wyczuć silne emocje. Przede wszystkim napięcie, które pojawiło się nagle wokół niej. Jako policjant nauczył się wiązać ten rodzaj napięcia z kłamstwem.

- Od kiedy należysz do Towarzystwa? - spytał.

- Matka zapisała mnie zaraz po urodzeniu. - Spojrzała na niego. - A ty?

- Też od urodzenia. Moi rodzice oboje byli członkami.

Drzwi windy rozsunęły się, ukazując kabinę szczelnie wypełnioną ludźmi. Luther ocenił sytuację jednym spojrzeniem. Gdyby wsiedli, Grace byłaby narażona na fizyczny kontakt z innymi. Czuł, jak nagle zeszywniała.

Uśmiechnął się uprzejmie do ludzi w windzie.

- Pojedziemy następną - powiedział. Drzwi się zamknęły.

- Dziękuję - szepnęła Grace.

- Nie ma sprawy. Zaproponowałbym schody, ale... - Spojrzał z niesmakiem na laskę. Nie chciał wyjaśniać, że noga mu dokucza, a zejście po schodach z czwartego piętra jeszcze pogorszyłoby jej stan. - Mógłbym zejść na dół, ale nie byłby to najpiękniejszy widok - powiedział tylko.

- W porządku - odparła łagodnie. - Nigdzie nam się nie spieszy.

Stali w milczeniu, patrząc na podświetlone cyfry nad trzema windami. Grace wydawała się spokojna i opanowana. A Luther zastanawiał się, dlaczego okłamała go w sprawie pracy dla Crocker World.

Rozdział 8

Wypili drinka w barze na wolnym powietrzu, a potem poszli do restauracji, gdzie zamówili rybę w sosie imbirowym. Na stołach paliły się świece, powierzchnia morza migotała w świetle księżyca, a w tle ktoś cicho grał na gitarze. Gdyby zamknęła oczy i poddała się urokowi chwili, byłaby w stanie uwierzyć, że to prawdziwa randka, pomyślała Grace. Oczywiście trudno było przeoczyć, że

bała się choćby ująć swojego towarzysza za rękę. Nie żeby Luther próbował zainicjować tak intymny kontakt. Wręcz przeciwnie. Starał się utrzymywać jak największy dystans, zapewne w obawie, że gdyby choć musnął jej dłoń, dostałaby szału i wszystko zepsuła.

Była zaskoczona, kiedy po kolacji zaproponował spacer wzdłuż plaży. W pierwszej chwili chciała odmówić. Po zmroku zawsze czuła się niepewnie. Dawna obawa, że ktoś się za nią skrada, na ogół odzywała się w nocy, bo właśnie nocą Potwór zakradł się do jej sypialni. Ale tego wieczoru nie będzie musiała sama zmagać się z ciemnością. Chociaż nie zdradziła Lutherowi swoich tajemnic, przy nim czuła się bezpiecznie.

Gdy ruszyli słabo oświetloną ścieżką łączącą hotele położone przy plaży, uważał, by z nadto się do niej nie zbliżyć. Laska cicho stuknęła o chodnik. Grace wyczuwała jego z trudem hamowaną irytację.

- Boli cię noga? - spytała.

- Nie, jest tylko trochę sztywna - mruknął.

Kłamie, pomyślała. Ale przecież ona też go okłamała, kiedy zaczął ją wypytywać. Wiedziała, że nie był usatysfakcjonowany jej odpowiedziami. Najbardziej niepokoiła ją rozmowa przy windach, po tym jak zameldowali się w hotelu. Potem jednak przemyślała wszystko dokładnie i uznała, że perfekcyjnie odegrała swoją rolę.

Luther, były policjant, mógł wyczuć coś intuicyjnie, ale skoro Fallon Jones nie zdołał odkryć prawdy o jej misternie sfabrykowanej przeszłości, jemu także się to nie uda.

- Od dawna mieszkasz na Hawajach? - spytała, patrząc, jak fale lśnią w świetle księżyca rozbijają się o przybrzeżne skały.

- Od dwóch lat. Przeniosłem się tu po drugim rozwodzie. Wtedy rzuciłem też pracę w policji. Uznałem, że zmiana scenerii dobrze mi zrobi.

- Przykro mi z powodu twojego rozwodu - powiedziała cicho.

- No cóż, nie była to największa tragedia pod słońcem.

- Kochałeś żonę?

- Cokolwiek czułem do Tracey, skończyło się w dniu, kiedy zastałem ją w łóżku z moim partnerem.

- Ciekawe, jak często odkrycie zdrady jest końcem związku.

- Wiesz coś o tym?

- Tak.

- Były mąż?

- Nie, nigdy nie byliśmy małżeństwem.

Dobry Boże, co ja wygaduję? - skarciła się w duchu. - Nawet gdyby zmieniła nazwisko, by ukryć tożsamość winowajcy, jakakolwiek próba objaśnienia jej skomplikowanej relacji z Martinem Crockerem byłaby nie tylko bardzo trudna, ale i niebezpieczna - Przez całe życie miała różne tajemnice i umiała ich dochować. Była profesjonalistką. Ale ten nocny spacer z Lutherem sprawił, że przestawała mieć się na baczności.

- Czy w twojej rodzinie często pojawia się dar czytania z aury? - zapytała, chcąc zmienić temat.

- Sporadycznie. Miał go mój dziadek. Twierdził, że mój ojciec był utalentowanym strategiem, a matka potrafiła czytać barwy i wzory.

- Sama moc jest na ogół dziedziczna, ale trudno przewidzieć, jaką przybierze postać. Dlaczego dziadek mówił ci o uzdolnieniach rodziców?

- Bo to on mnie wychowywał. Rodzice zginęli w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, kiedy byłem małym dzieckiem. Zupełnie ich nie pamiętam.

- A dziadek jeszcze żyje?

- Nie, zmarł, kiedy skończyłem szkołę średnią i poszedłem do wojska.

Wiedziała, że powinna dać sobie spokój z tymi pytaniami, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Masz jeszcze jakąś rodzinę?

- Może są gdzieś jacyś dalecy kuzyni - odparł - ale jeśli nawet, nie pokazali się po śmierci moich rodziców.

- Innymi słowy, nie masz nikogo?

- Mam dwoje przyjaciół na Oahu. To właściciele restauracji, w której jestem barmanem. A ty?

- Moja matka zmarła, kiedy miałam trzynaście lat, na jakąś rzadką chorobę.

- Musiało być ci ciężko.

- Było.

- A ojciec?

- Nigdy go nie poznałam - odparła. - Kiedy moja matka zdecydowała się na dziecko, poszła do banku spermy.

- O cholera - mruknął.

Nie mógł powiedzieć jej wyraźniej, że rozumie.

- No właśnie - rzekła z uśmiechem.

- A skoro już mowa o białej plamie w twoim życiu... - powiedział Luther. - Jesteś genealogiem. Próboweś kiedyś odszukać swojego ojca?

- Oczywiście. Wiele dzieci poczętych w ten sposób próbuje odszukać ojców. Ustaliłam, że moja matka korzystała z usług Burnside Clinic, założonej przez jednego z członków Towarzystwa. Doktor Burnside dawał gwarancję, że wszyscy jego dawcy są wybitnie uzdolnieni parapsychicznie, obiecywał też całkowitą dyskrecję zarówno im, jak i klientkom.

- Udało ci się dotrzeć do akt ojca?

- Nie. Kilka lat temu klinika doszczętnie spłonęła i nie zachowały się żadne akta. Podejrzewano podpalenie, ale nikt nie został aresztowany.

- Mógł to zrobić jakiś dawca, który nie chciał, by go odszukano.

- Tak sądzisz?

- Są także inne możliwości - stwierdził Luther w zamyśleniu. - Mogła to być matka, która nie chciała, żeby dawca odnalazł swoje potomstwo. Albo dziecko, które się wkurzyło, bo nie było w stanie odnaleźć ojca. Podpalaczem mógł być też ktoś, kto nie aprobuje tego rodzaju usług.

- Innymi słowy, lista podejrzanych jest bardzo długa.

- Na to wygląda. Milczała przez chwilę.

- Nie udało mi się dowiedzieć, kto jest moim ojcem, ale kiedy zaczęłam pracować w Genealogii, znalazłam kilka informacji, które matka wprowadziła do moich akt, gdy rejestrowała mnie w Towarzystwie. Dotyczyły głównie stanu zdrowia i uzdolnień.

- No i?

Wzruszyła ramionami.

- Mój ojciec pochodził z rodziny cieszącej się dobrym zdrowiem i miał duży talent. Ale przecież doktor Burnside stawiał takie warunki wszystkim swoim dawcom.

- No tak.

- Mam po nim oczy - dodała Grace. - Ale to by było na tyle.

Nawet nie czytał z aury. Moja matka opisała go jako stratega.

- Informacja, że czytasz z aury i jesteś zielonooką córką zielonookiego stratega, to rzeczywiście mało.
- Tak - przyznała. - W Towarzystwie są tysiące strategów. Zawężenie kręgu kandydatów przez dodanie kryterium wieku, płci i koloru oczu niewiele pomogło. W końcu więc dałam za wygraną. Z naprzeciwka szła w ich stronę jakaś pogrążona w rozmowie para, która zajmowała prawie całą szerokość ścieżki. Luther kilka razy stuknął laską o chodnik. Para szybko zrobiła im przejście. Grace otrząsnęła się z melancholii, która ogarniała ją, ilekroć myślała o swoim nieznanym pochodzeniu.

- Laska czasem się przydaje - zauważyła.

- Ma swoje zalety. Ludzie zwykle schodzą mi z drogi. Nikt nie chce przewrócić człowieka o lasce.

- Jak to się stało, że musiałeś zacząć jej używać? Fallon wspominał coś o wypadku.

- Byłem nieostrożny.

Grace zrozumiała, że to koniec rozmowy na ten temat.

Przynajmniej na razie. Właśnie zastanawiała się, jak dowiedzieć się więcej, kiedy nagle poczuła chłód na karku. Zesztywniała i skrzyżowała ręce na piersi, instynktownie starając się chronić dłonie. Na ścieżce było wielu ludzi, ale człowiek, który wyłonił się z cienia naprzeciwko nich, poruszał się nieco inaczej niż reszta. Znajdował się kilkanaście metrów od nich, więc w ciemności nie widzieli jego twarzy, lecz w jego kroku było coś niepokojącego. Nie szedł ani nie truchtał, tylko sunął miękko jak drapieżnik, który wyruszył na polowanie.

Grace wyczuła, że Luther także zwrócił uwagę na zbliżającego się mężczyznę.

Wyostrzyła zmysły. Wystarczył jeden rzut oka na silną aurę, która go otaczała, by zrozumiała, kim jest ten człowiek. Parałowcą.

Instynkt kazał jej odwrócić się i uciekać, choć rozum podpowiadał, że byłoby to bezcelowe. Jeśli to na nią polował ten mężczyzna, dogoniłby ją bez trudu. Wprawdzie parałowcy nie są nadludźmi, ale znakomicie widzą w ciemności, reagują błyskawicznie jak dzikie zwierzęta, potrafią bezbłędnie wyczuć słaby punkt swojej ofiary i najchętniej polują na ludzi.

Wielu łowców pracuje w wojsku albo w policji, niektórzy jednak należą do niebezpiecznych przestępców.

Aura Luthera także wzmogła aktywność, chociaż wydawał się całkiem spokojny. Szedł ciągle w tym samym tempie, ale przysunął się do niej w taki sposób, by mężczyzna nadchodzący z przeciwka minął ich od jego strony.

Kimkolwiek jest ten człowiek, nie na ciebie poluje, powtarzała sobie w duchu. Gdyby cię odnaleźli, wysłaliby kogoś do Eclipse Bay. Nie czekaliby, aż wyjedziesz na Hawaje.

Ale z drugiej strony...

Łowca był zaledwie dwa metry od nich. Szła u boku Luthera w równym rytmie wyznaczanym przez jego laskę. Trochę się uspokoiła. Logika i zdrowy rozsądek zapanowały nad bardziej pierwotną stroną jej mózgu. Nie, to nie logika i zdrowy rozsądek osłabiły jej strach. Tak naprawdę powinna być śmiertelnie przerażona. Dlaczego więc nie czuła lęku? To pytanie było równie przerażające jak zbliżający się do niej mężczyzna.

Próbowała wzbudzić w sobie strach. Powinna go odczuwać. W tych okolicznościach była to naturalna reakcja. Cholera, musi zacząć się bać. Dziwny spokój znikł. Wróciło przerażenie, a wraz z nim poczucie normalności. Tak właśnie powinna się czuć. Zanim zdążyła się przyzwyczaić do odczuwanych emocji, jej uwagę zwróciła aura Luthera. Pulsowała w dziwnych punktach spektrum. Moc zdawała się rezonować w mroku.

Dwaj mężczyźni byli już bardzo blisko siebie, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Nagle, jak za naciśnięciem guzika, aura nieznajomego przygasła. Wciąż była to aura parałowcy, ale już nie szukającego ofiary. Otaczające go pole energetyczne przybrało barwy i długość fal typowe dla osób, które są bardzo spokojne, niemal senne. Kimkolwiek był ten człowiek, nie interesowali go ani ona, ani Luther. Przeszedł, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Grace zwalczyła pokusę, by obejrzeć się za nim przez ramię.

- W porządku - odezwał się Luther. - Już poszedł.

- Łowca - wyszeptała.

- Tak.

Spojrzała na niego z obawą, niepewna, co może zobaczyć. Ale jego aura znowu wyglądała normalnie. Czyżby przed chwilą popełniła błąd? Może bliskość drapieżnej aury łowcy zmyliła jej zmysły?

- Widziałeś, że to był łowca? - spytała.

- Nie mam takiego talentu do czytania z aury jak ty, ale nietrudno dostrzec ten rodzaj energii, zwłaszcza kiedy aura się intensyfikuje. Zauważyłaś, jak wszyscy odruchowo schodzili mu z drogi? Nawet ludzie nie obdarzeni zdolnościami paranormalnymi potrafią wyczuć silnego drapieżnika, jeśli pojawi się w pobliżu. A ty na co zwróciłaś uwagę?

- Niestety, nie robiłam notatek. Ale czułam jego siłę, zwłaszcza że, jak sam zauważyłaś, jego aura była bardzo intensywna.

- Polował?

Zastanawiała się chwilę.

- Nie. Tego w jego aurze nie dostrzegłam. Nie był skoncentrowany, nie sędzę więc, żeby polował na konkretną osobę.

Może po prostu wyszedł na spacer i nagle go wzięło. Wiesz, jak to jest. Czasem korzystasz ze swoich zdolności tylko dlatego, że możesz.

- Może wyszedł na rekonesans - spekulował Luther. - Rozejrzeć się trochę w terenie.

- To możliwe. Tylko po co?

- Dobre pytanie. Jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć?

- Tylko jedno - odparła. - Kimkolwiek jest, nie ma problemu ze stosowaniem przemocy.

- Zabójca?

Zawahala się.

- Myślę, że już zabijał, ale nie jest zaburzony i to go nie kręci. Nie wyczułam obłędu ani braku kontroli. Nie jest też psychopatą. Ich zawsze łatwo rozpoznać. Dostrzegłam raczej chłodny, niemal pragmatyczny stosunek do przemocy.

- Myślisz, że może być wojskowym albo policjantem?

- Możliwe. Może też być zawodowym gangsterem. Kimkolwiek jest, umie świetnie różnicować pola.

- A co to, do licha, znaczy?

Grace zmarszczyła nos.

- To znaczy, że bez względu na to, czym się zajmuje, może mieć kochającą żonę, rodzinę.

- Jak w tym kontekście - powiedział Luther swobodnie - wygląda teoria prawdopodobieństwa Fallona Jonesa?

Przełknęła ślinę.

- Innymi słowy, jakie jest prawdopodobieństwo, że na Maui będzie więcej niż jeden wybitny talent?

- Właśnie - rzekł Luther. - Myślę, że może się nie sprawdzić.
 - Zgadzam się. Ale jest też możliwe, że ten facet, który właśnie nas minął, to niewinny turysta, który zatrzymał się w jednym z okolicznych hoteli przy plaży.
 - A jednak...
 - A jednak łowcy o tak wybitnym talencie - weszła mu w słowo - rzadko się zdarzają.
 - Otóż to. - Luther zatrzymał się nagle. - Jakie jest prawdopodobieństwo pojawienia się trzech bardzo silnie uzdolnionych osób o tej samej porze na tym samym odcinku plaży?
 - Zastanawiasz się, czy ten zbieg okoliczności ma jakiś związek z naszym zadaniem?
 - Chyba będę musiał zadzwonić do Fallona i pogadać o tym, jak zepsuć ten piękny wieczór.
- Dokładnie wiedziała, kiedy sięgnął po telefon komórkowy, bo żeby to zrobić, musiał rozluźnić palce mocno zaciśnięte na jej ramieniu.

Rozdział 9

W świetle księżyca nie widział dokładnie twarzy Grace, ale wyraźnie wyczuł jej zaskoczenie. On także był zaskoczony, choć nie dlatego, że właśnie jej dotknął.

Oboje spojrzeli na jej ramię, na którym jeszcze przed chwilą zaciskał palce.

- Przepraszam - powiedział. - Zrobiłem to odruchowo. Chciałem odciągnąć cię jak najdalej od niego. Nic ci nie jest?

- Nie - odparła, dotykając jego dłoni końcami palców. - Nic mnie nie boli. Nic. Uraz minął. Trwało to ponad rok. Nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga znowu być mniej więcej normalną.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Tak. - Jej głos brzmiał radośnie, niemal euforycznie. - Mogę dotykać ludzi! - Spojrzała na swoje dłonie. - A w każdym razie ciebie.

Uświadomił sobie nagle, że mu to pochlebiło. Spodobała mu się myśl, że jest kimś wyjątkowym, przynajmniej dla niej. Pewnie nawet nie przypuszczała, jak mocno zachwiała nagle jego nieco dziwnym światem. Jeszcze nikt nie zdołał wyczuć jego zdolności do manipulacji aurą, a tym bardziej się jej oprzeć.

Łowca przeszedł obok nich niczego nieświadomy, nie wiedząc, że jego zmysły zostały na kilka chwil przytępione. Ale kiedy Luther chciał uspokoić Grace, oparła się tej próbie z taką łatwością, z jaką zamknęłaby uchylone przez wiatr drzwi. Dlaczego aż tak go to intrygowało?

- To pewnie magia Hawajów - stwierdził. - Chodź, znajdziemy jakieś ustronne miejsce, z którego będę mógł zadzwonić do Fallona.

Zeszli ze ścieżki i zagłębili się w porośnięty bujną roślinnością ogród jednego z hoteli. Luther przystanął pod zwisającymi nisko gałęziami jakiegoś potężnego drzewa i znowu wyostrzył zmysły, chcąc się upewnić, że w pobliżu nikogo nie ma. Nie dostrzegł żadnej ludzkiej aury, wybrał więc numer Fallona i czekał, przyglądając się ciemnej sylwetce Grace, która stała obok w milczeniu z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Był ciekaw, o czym myśli.

To dobrze, że nie wiedziała, co próbował zrobić przed chwilą na ścieżce. Czuł, że nie była też świadoma tego, co sama robiła. Całą jej uwagę pochłaniał łowca. Fallon odebrał po czwartym sygnale. Było to w jego przypadku nietypowe.

- Co jest, Malone? - warknął.

- Już myślałem, że nie ma cię w domu. Zwykle rzucasz się na telefon, jak tylko zaczniesz dzwonić.

- Właśnie robiłem sobie kolejny dzbanek kawy. To długa noc. Po co dzwonicz?

Luther zrelacjonował mu zwięźle spotkanie z łowcą, po czym czekał cierpliwie, aż Jones doda kolejny czynnik do swojego równania.

- Zgadzam się, to mało prawdopodobne, że natknęliście się na łowcę o tak wysokim poziomie przez czysty przypadek - powiedział w końcu Fallon. - Nie ma jednak powodu do paniki. Ludzie o zdolnościach paranormalnych jeżdżą na urlopy jak wszyscy inni. Do diabła, to mógł być nawet któryś z Jonesów.

- Wiem, że w waszej rodzinie zawsze było sporo łowców, ale jakie jest prawdopodobieństwo, że jeden z nich pojawił się tu w tym samym czasie, kiedy Grace i ja mamy się przyjrzeć wyjątkowo uzdolnionemu paranormalnie zabójcy?

- Około dwunastu procent. Wielu Jonesów mieszka na Zachodnim Wybrzeżu i wielu z nich lubi spędzać urlop na Hawajach. Sam tam kiedyś pojechałem.

- Byłeś kiedyś na urlopie?

- Dawno temu. Zanim zająłem się tą pracą. Jesteście pewni, że ten facet to łowca? Może jednak miał inne zdolności? A może to Eubanks przyjechał na Maui wcześniej?

- Mówiłeś, że Eubanks to strateg na dziewiątym poziomie. A ten facet na pewno jest łowcą. Oboje wyraźnie to widzieliśmy.

- No cóż, jestem dziś trochę zmęczony - odparł Fallon - i daleko mi do szczytowej formy. Musiałbym się nad tym zastanowić. Na razie trzymajmy się planu. Jeśli Eubanks pojawi się jutro o ustalonej porze, będziemy mogli założyć, że obecność tego łowcy w okolicy to tylko zbieg okoliczności.

- Sądziłem, że nie wierzysz w zbiegi okoliczności - rzekł Luther, zaskoczony reakcją Jonesa.

- Bo nie wierzę. Miej tego łowcę na oku. A jeśli znowu się pojawi, chcę poznać jego tożsamość.

- Przypuszczałem, że to powiesz. Poszukam go, a Grace wsadzę do samolotu i odeślę do Oregonu. Stojąca obok Grace zmarszczyła brwi.

- Będzie musiała jeszcze raz go zobaczyć - odparł Fallon.

- Nie. Mówiłem ci, sam bez problemu zidentyfikowałem go jako łowcę.

- Tylko dlatego, że facet był podgrzany. Ale czy zdołałbyś go przyuważyć, gdyby był wyluzowany i siedział spokojnie na plaży? Obaj znali odpowiedź na to pytanie.

- Pewnie nie - przyznał Luther. - Ale nie chcę, żeby zbliżył się do Grace.

- Grace jest agentką J&J, tak jak ty. W sytuacjach potencjalnego zagrożenia ma prawo sama podejmować decyzje.

- Ona jest specjalistą, a nie wyszkolonym agentem terenowym.

- Do diabła, Malone...

- Oddzwonię później.

Luther rozłączył się, zamknął telefon i przypiął go do paska.

- I co teraz? - spytała Grace.

- Trzymamy się planu. Czekamy na nasz cel i staramy się go rozpracować.

- A później próbujemy odkryć tożsamość łowcy - dodała szybko.

- Fallon chciałby się dowiedzieć, kto to jest, ale zdołam odszukać go sam.

- Ze mną byłoby ci łatwiej.

- Grace...

- Dam sobie radę. Następnym razem będę przygotowana. Nie wpadnę w panikę, obiecuję.

- Zapomnij o tym.

- Podśluchałam waszą rozmowę - odparła chłodno. - Fallon powiedział ci, że wybór należy do mnie, prawda?

- Są chwile, w których to, co mówi Fallon Jones, nie ma dla mnie znaczenia. I to jest właśnie jedna z tych chwil.

- Potrzebujesz mnie - upierała się Grace. - Przyznaj to.

- Wolałbym, żebyś była rozsądna. Nie jesteś specjalistą od ścigania łowców.

- Mówisz tak tylko dlatego, że trochę się zdenerwowałam, kiedy spotkaliśmy tego łowcę, prawda? To niesprawiedliwe.

Luther też zaczął się denerwować.

- Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. Nie jesteś wyszkolonym agentem, tylko genealogiem, którego wysłano w podróż służbową, bo wymagała tego sytuacja. Kiedy nasze zadanie dobiegnie końca, natychmiast wsadzę cię do samolotu. Grace wyprostowała się i rzekła stanowczo:

- Pan Jones najwyraźniej ma wobec mnie inne plany. A ja pracuję dla niego, nie dla ciebie.

- Mam dla ciebie wiadomość: kiedy jesteś ze mną, ja wydaję rozkazy.

- Na litość boską - warknęła - daj sobie spokój z tym wojskowym żargonem w stylu „ja tu rządzę”.

- Faceci, którzy „tu rządzą”, zwykle mówią takim językiem. Proponuję, żebyśmy porozmawiali o tym rano, kiedy wróci ci rozsądek.

- Teraz traktujesz mnie protekcyjnie.

- Więc tak to się nazywa? Ja powiedziałbym raczej, że robię, co do mnie należy. Wracajmy do hotelu. Masz za sobą długi dzień. Wyciągnął rękę, chcąc wyprowadzić ją z ogrodu, ale Grace szybko się cofnęła. A już myślał, że jest kimś wyjątkowym, bo mogła go dotykać. Opuścił dłoń, usiłując rozproszyć ogarniający go ponury nastrój.

- Jeszcze jedno, zanim stąd wyjdziemy - powiedziała.

- Co tym razem?

- Czy masz coś przeciw temu, żebym jeszcze raz spróbowała cię dotknąć?

Ponury nastrój znikł w mgnieniu oka, ustępując miejsca podnieceniu, które zelektryzowało jego zmysły. Ale po chwili zrozumiał, o co jej chodzi, i radosna ekscytacja zbladła.

- Chcesz przeprowadzić eksperyment? - zwałił. - Sprawdzić, czy teraz, kiedy nie jesteś skoncentrowana na łowcy, coś się zmieniło?

- Tak - przyznała. - Ale jeśli wolisz, żebym cię nie dotykała, zrozumiem to. Pewnie lepiej niż większość ludzi. Bo ja naprawdę rozumiem, dlaczego ktoś może nie życzyć sobie kontaktu fizycznego z innymi.

- Nie ma sprawy - odrzekł, unosząc dłoń. - Możesz przeprowadzić swój eksperyment.

Wspaniale, dodał w duchu. Zostałem sprowadzony do roli królika doświadczalnego.

Grace zrobiła krok w jego stronę, czujna i ostrożna niczym jakieś dzikie zwierzątko wabione przez człowieka. Potem wolno podniosła rękę, musnęła końcami palców jego dłoń i znowu poderwała je do góry. Luther z trudem oparł się pokusie chwycenia jej za nadgarstek i przyciągnięcia bliżej. Znowu opuściła rękę, położyła na jego dłoni i pozwoliła jej tam zostać. Czuł, jak przy tym drży.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak, w jak najlepszym. - Wydawała się oszołomiona. - To zdumiewające. W ubiegłym tygodniu przez przypadek dotknęłam ręki sprzedawczynie w sklepie i prawie mnie poraziło. Już zaczynałam tracić nadzieję, że tym razem z tego wyjdę.

Chciał zapytać, ile razy borykała się z tym problemem, ale uznał, że nie jest to odpowiedni moment.

- Czujesz coś? - zagadnął więc tylko.

- Tak, ale nic nieprzyjemnego.

- Taki komplement może uderzyć mężczyźnię do głowy.

- Przepraszam. Ale wiesz, od ponad roku nie byłam w stanie nikogo dotknąć, bo zawsze kończyło się to psychicznym wstrząsem.

Każda wizyta u dentysty była istną torturą. Musiałam brać wcześniej środki uspokajające. Nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga, że moje zmysły wracają do normy.

Ostrożnie zacisnął palce wokół jej dłoni. Drobne kosteczki, które wyczuwał pod jej skórą były delikatne i kruche. Skórę miała miękką i ciepłą. Nie próbowała uwolnić ręki.

- Ciekawe, czy dotyczy to tylko ciebie - powiedziała w zamyśleniu. - Bo jeśli to ma coś wspólnego z faktem, że oboje mamy zdolności paranormalne, może wcale nie jestem uleczona. Zacisnął palce trochę mocniej. Nawet nie drgnęła.

- Jeżeli w ramach eksperymentu zamierzasz rzucać się na każdego mężczyznę, którego spotkamy na swojej drodze, to zgłaszam sprzeciw - zażartował.

Roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem, który rozbudził jego zmysły. Przysunął się bliżej, chłonąc słodką, gorącą atmosferę, która ją otaczała.

- Może nie na każdego, ale badania na reprezentatywnej próbie dodałyby wynikowi wiarygodności.

- Jeśli masz ochotę na dalsze eksperymenty, służę pomocą.

- Jesteś prawdziwym altruistą.

- Altruista. Tak brzmi moje drugie imię.

Uniosła wolną dłoń i pogłaskała go delikatnie po policzku.

- Wyostrzasz zmysły - stwierdziła. - Czuję to.

- Coś mi mówi, że w takim razie to będzie jeszcze lepsze.

- Co będzie lepsze?

- Francuski pocałunek.

- Próbowałaś tego kiedyś? - spytała. Cóż, przynajmniej nie powiedziała „nie”.

- Raz czy dwa - przyznał.

- I?

- I nie było najlepiej. Ta druga osoba zwykle wpadała w panikę.

Wchodzenie z tak silną aurą w czyjeś pole energetyczne wytrąca z równowagi nawet zupełnie niewrażliwe kobiety.

- Więc pocałunek, o którym mówimy, dla ciebie również będzie rodzajem eksperymentu.

- Oczywiście.

Luther oparł się o pień drzewa, rozstawił lekko nogi i odłożył na bok laskę. A potem wyciągnął ramiona i przyciągnął Grace do siebie.

Nie opierała się.

- Nie boję się ciebie - wyszeptała.

Nie było to wyzwanie, tylko zwykłe stwierdzenie faktu.

- Wiem - odparł. - Ja też się ciebie nie boję.

- Na pewno? - spytała z lekką kpina.

Musnął palcami linię jej warg.

- A wyglądam, jakbym się bał?

- Nie.

Przywarł ustami do jej ust, wiedząc, że cokolwiek się wydarzy, tę chwilę będzie pamiętał do końca życia. Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się przytuliła. A potem oddała pocałunek, napierając na niego całym ciałem. Światło wokół niej mieniło się wszystkimi barwami tęczy, które nachodziły na siebie, mieszały się i rezonowały własną energią. Noc nagle stanęła w ogniu. Luther, rozpalony już wcześniej, teraz znalazł się na granicy eksplozji. Oszołomiony, utrzymywał się na nogach tylko dlatego, że opierał się plecami o pień drzewa. Choć prawdę mówiąc, wcale nie miał ochoty w tej chwili stać; zdecydowanie wolałby leżeć, czując pod sobą ciało Grace.

Chciał, żeby ten pierwszy pocałunek był delikatny i czuły. W końcu Grace od roku nikogo nie dotknęła, a konsekwencją nawet przypadkowego kontaktu zawsze był poważny wstrząs. W takiej sytuacji dżentelmen powinien zachowywać jak najdalej idącą ostrożność. A on z trudem panował nad odruchami, ogarnięty potężną falą pierwotnej żądz.

Miał wrażenie, że Grace zatraciła się w tym pocałunku tak samo jak on. Zaciśnęła ramiona na jego szyi i rozchyliła miękkie wargi. Może po prostu zareagowała tak na fakt, że koszmar, od którego tak długo nie była w stanie się uwolnić, wreszcie minął? Cóż, później będzie się o to martwić. Teraz ważne było tylko to, że wydawała się pragnąć go równie mocno, jak on jej. Namiętny pocałunek rozpalil jego zmysły bardziej niż jakiegokolwiek doznanie seksualne, którego doświadczył.

- Mógłbym skończyć już teraz - wyszeptał z ustami przy jej wargach. - Wystarczy, że cię całuję...

- Zdumiewające. - Zadrżała w jego ramionach i odsunęła się, by na niego spojrzeć. - Jeszcze nigdy nie czułam czegoś takiego, nawet zanim dopadła mnie ta fobia. To musi mieć coś wspólnego z faktem, że oboje mamy uzdolnienia paranormalne. Nie widzę innego wyjaśnienia.

- Zrób coś dla mnie. Przestań to analizować.

- Przepraszam - szepnęła. - Ale to wszystko jest takie dziwne.

Przyłgnął wargami do jej ust, a ona w odpowiedzi oplotła nogą jego łydkę, jakby chciała się na niego wspiąć. Sięgnął w dół do suwaka jej spodni i go rozpiął. Jęknęła cicho, kiedy wsunął dłoń pod jej majtki, między uda. Była gorąca i wilgotna. Bez trudu trafił kciukiem na nabrzmiąły najczulszy punkt. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Gdy wsunął palec do jej ciasnego wnętrza, zamknęło się wokół niego, jakby już od dawna na niego czekało.

- Tak. - Zaciśnęła ramiona na jego szyi. - Tak.

Pieścił ją uczył się jej. Skoncentrował się z największym wysiłkiem, by móc obserwować jej aurę. Nagle błyski i zmiany natężenia światła mówiły mu, że dotyka właściwych miejsc we właściwy sposób.

- Luther.

Powiedziała to, jakby właśnie przeżyła szok. W żaden inny sposób nie potrafiłby opisać tego zduszonego jęku. Przez jedną straszną chwilę był pewny, że zmysły znów się zbuntowały przeciw niej, a on zamiast przyjemności, zadawał jej ból. Była to przerażająca myśl.

Ona jednak nie próbowała uciec. Przeciwnie, wtuliła twarz w jego szyję i przyłgnęła do niego konwulsyjnie. Czuł, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze rozkoszy. Widział je w jej aurze. Kiedy było już po wszystkim, doznał ulgi niemal tak wielkiej jak ona.

- Do diabła - wymruczał w jej włosy. - Nigdy więcej mnie tak nie strasz. Przez moment myślałem, że zrobiłem ci krzywdę.

Wydawała jakiś słaby, stłumiony dźwięk. Dopiero po chwili zorientował się, że to śmiech. Opierała się o niego bezwładnie i dyszała ciężko, jak człowiek, który wyłonił się na powierzchnię, choć już sądził, że pójdzie na dno. Obejmował ją, starając się zapanować nad własnym oddechem. A potem

nagle dotarło do niego, że Grace już się nie śmieje. Koszulę miał moką od łez.

- Grace?

- Nie przejmuj się - odparła, nie odrywając twarzy od jego piersi.

- Nic mi nie jest. Tylko że nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżyłam.

Uśmiechnął się z twarzą wtuloną w jej włosy.

- To tak jak ja.

Znieruchomiała, a potem podniosła głowę.

- Ale ty nie...

- W porządku. - Odgarnął jej pasmo włosów za ucho. - Będziesz potrzebowała trochę czasu, żeby to wszystko przetrawić.

- Pewnie masz rację. Czuję się, jakbym cały dzień kręciła się na karuzeli.

- Nie tylko ty.

- Tak mi przykro - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Nie planowałam tego. Zdaję sobie sprawę, że to wysoce nieprofesjonalne. Położył palec na jej ustach.

- Proszę cię tylko o jedno - mruknął. - Nie mów, że ci przykro z powodu tego, co się właśnie stało.

To jedyne, czego nie chcę słyszeć. Czy to jasne?

Zawahała się, a potem kiwnęła głową.

Oderwał palec od jej warg, odsunął się od niej i chwycił laskę.

Wrócili do hotelu w milczeniu, nawet się nie dotykając.

Rozdział 10

Harry Sweetwater poczuł vibracje swojej komórki w chwili, kiedy zszedł ze ścieżki i zaczął wspinać się na schody prowadzące do hotelu. Spojrzał na numer na wyświetlaczu, po czym stanął w cieniu wielkiej palmy, by odebrać połączenie.

- Witaj, ślicznotko - powiedział.

- Witaj, przystojniaku - odparła Alison.

Ta rytualna formuła powitalna obowiązywała od początku ich związku, czyli od ich pierwszej randki przed trzydziestoma czterema laty.

- Jesteś na miejscu? - spytała Alison.

Wyobraził sobie żonę przy biurku, na którym stały komputer oraz telefony i na którym zawsze panował idealny porządek. Biurko stało w małym, anonimowym gabinecie mieszczącym się w wysokim biurowcu na niewielkiej wyspie położonej dogodnie w pobliżu lądu.

Większość firm mających siedziby w tym budynku oferowała usługi finansowe ludziom, którzy uważali, że powinni poddać swoje pieniądze porządnemu praniu, zanim zainwestują je w jakieś legalne przedsięwzięcie. Wśród nich mała rodzinna firma Sweetwaterów, oferująca dość specyficzne usługi ekskluzywnej klienteli, nie rzucała się w oczy.

- Wszystko gotowe - zameldował Harry. - Dostałem pokój tuż obok tego, w którym jutro zamelduje się cel.

- Coś mi się zdaje, że mamy problem z klientem.

Harry nawet nie próbował polemizować. Alison była wysokiej klasy intuicjonistką.

- Wykonaliśmy już mnóstwo zleceń dla Numeru Drugiego - zauważył.

Mieli tylko dwóch zleceniodawców, więc dział obsługi klienta nie narzekał na nadmiar pracy.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - ciągnęła Alison.

- Dwójka używa prawidłowych kodów bezpieczeństwa. Sama nie wiem, co mnie niepokoi w tym zleceniu. Może chodzi o sposób, w jaki klient próbuje nami sterować.

- Znowu dostałaś maila?

- Tak. Przyszedł kilka minut temu i zawiera prośbę o kolejną relację z naszych postępów. To dziwne, bo do tej pory Numer Drugi po prostu zlecał nam zadanie i nie kontaktował się, jeżeli nie zaszły jakieś zmiany. A po wykonaniu zadania na koncie pojawiały się pieniądze.

Miała rację. Żadnego z ich klientów nie interesowały dotychczas szczegóły związane z realizacją poszczególnych zleceń. Może błoga nieświadomość pozwalała im lepiej spać w nocy.

- Sprawdziłaś to? - spytał.

- Tak. I otrzymałam właściwą odpowiedź, ale dalej coś mi nie pasuje.

- Podejrzewasz, że ktoś się włamał do naszego systemu?

- Poprosiłam Jona, żeby sprawdził jeszcze. Uważa, że nasze komputery są bezpieczne, ale zawsze istnieje możliwość, że ktoś włamał się do systemu Dwójki.

Harry'ego ogarnęła fala ojcowskiej dumy. Jego najmłodszy syn był informatycznym geniuszem. Należał do paranormalnych strategów posiadających wybitne uzdolnienia w kierunku dostrzegania i tworzenia skomplikowanych wzorów w nowym wymiarze, jakim jest cyberprzestrzeń. Nie był łowcą, jak większość mężczyzn w rodzinie Sweetwaterów, ale miał wszystkie właściwe im instynkty.

Jeśli ktokolwiek potrafi wykurzyć hakera ze swojej kryjówki, to właśnie Jon.

- Niech szuka dalej - powiedział do Alison. - Mamy czas, a pomyłki są takie żenujące.

- Oddzwonię do ciebie, jak tylko czegoś się dowiem.

- Będę czekał.

- Jak jest na Maui?

- Ciepło. Balsamiczne powietrze. Palmy. Plaża. Jak to na wyspie. Alison parsknęła śmiechem.

- Zawsze wiem, kiedy pracujesz. Wtedy nigdy nie masz czasu, żeby się zatrzymać i powąchać kwiaty.

- Nie, kiedy jestem na zleceniu - odparł. I w tej samej chwili ogarnął go dziwny niepokój. Kilka minut wcześniej przeprowadził rozpoznanie terenu. Szedł ścieżką wzdłuż plaży, maksymalnie wyostrając wszystkie zmysły, ale w pewnej chwili bezwiednie uspokoił się i zszedł do normalnego poziomu. Było to całkiem do niego niepodobne. Podczas zleceń zawsze zachowywał najwyższą czujność. Od kołyski uczono go, że świadomość wszystkiego, co się dzieje w jego bezpośrednim otoczeniu, ma kluczowe znaczenie. Najmniejsze przeoczenie może prowadzić do poważnego błędu. A błędy źle wpływają na wizerunek firmy.

A więc co się z nim, u diabła, stało tam na ścieżce? Myśl, że w wieku zaledwie pięćdziesięciu dziewięciu lat jego zdolności mogłyby zacząć słabnąć, była bardzo przygnębiająca. Jego dziadek i ojciec pracowali jeszcze po siedemdziesiątce. Oczywiście w miarę upływu lat musieli trochę zwolnić, ale jeśli nawet stracili trochę na szybkości i wrażliwości psychicznej, nadrabiali to doświadczeniem. I wcale nie osłabienie zdolności skłoniło ich do przejścia na emeryturę. Obaj zostali do tego zmuszeni przez swoje żony.

- Jak się czuje Teresa? - zapytał.

- Dobrze, ale trochę się niecierpliwi. Martwi się o Nicka. Dla niego to było dziewięć bardzo długich miesięcy. Harry się uśmiechnął. Ich najstarszy syn był twardym jak gład łowcą ale gdy w grę wchodziła jego ukochana żona i pierwsze dziecko, które wkrótce miało przyjść na świat, miękł jak wosk. Teraz zlecenia ustawiał tak, by nie kolidowały z zajęciami w szkole rodzenia. Czytał

wszystkie publikacje na temat porodu i rodzicielstwa, jakie wpadły mu w ręce, uparł się nawet, by wynająć dekoratora wnętrz, który zaprojektował pokój dziecienny zgodnie z artykułem mówiącym o „inspirującym otoczeniu”. Postanowił też towarzyszyć żonie przy porodzie.

- Przeżyje to - powiedział Harry. - Ja przeżyłem.

- Fakt. Ale ilekroć wchodziłeś ze mną na porodówkę, bałam się, że zemdlejesz.

- No, może byłem trochę blady, ale nigdy nie dałem plamy.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym przeszli do rytuału pożegnania.

- Dobranoc, ślicznotko.

- Dobranoc, przystojniaku.

Telefon Harry'ego umilkł. Wrzucił go do kieszeni i przez chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w czarną taflę oceanu. Coś się stało tam, na tej ścieżce, był tego pewny. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy dokładnie jego zmysły zostały uspięte. Minał parę starszych ludzi, którzy trzymali się za ręce. Potem zauważył mężczyznę z laską i kobietę. Szli obok siebie, ale się nie dotykali. Coś w tym mężczyźnie zwróciło jego uwagę.

Wyostrome zmysły łowcy rozpoznały innego potencjalnego drapieżnika, ale niemal natychmiast stracił zainteresowanie tym człowiekiem. A kilka chwil później ocknął się nieco dalej na ścieżce. Spokojny i zrelaksowany, choć sytuacja wymagała od niego stanu pełnej gotowości.

Rozdział 11

Dzień, w którym zabiła Martina Crockera, wiele razy powracał w jej snach. Ale tym razem była świadoma faktu, że śni. I - co jeszcze bardziej zaskakujące - nie odczuwała strachu. „Śniło się jej, że Martin się zbliżał, dzieliło ją od niego już tylko kilka kroków. Torby z zakupami wypadły mu z rąk. Bochenek chleba, paczka kawy, plastikowy woreczek z sałatą - wszystko leżało na deskach pomostu. Chciała uciekać, ale nie była w stanie. Wiedziała, że za chwilę jej ciało przeszyje potworny ból. Wiedziała, że Martin za chwilę ją złapie.

Nie była jednak odrętwiała ze strachu, czuła się całkiem spokojna. Dziwne. Powinna być śmiertelnie przerażona nie tylko zamiarami Martina, ale i świadomością tego, co sama zaraz zrobi...

- Nie!

Walcząc z ogarniającym ją coraz silniej nienaturalnym spokojem, zaczęła szukać odpowiednich emocji”. Obudziła się, ale serce nie biło jej tak mocno, jak zawsze, gdy śniła o wydarzeniach tamtego dnia. Nie brakowało jej tchu w piersi, koszula nocna nie była mokra od potu. Otworzyła oczy i spojrzała w stronę rozsuwanych oszklonych drzwi. W szarym świetle poranka dostrzegła zarys balustrady tarasu i kontury leżaka. Nie jestem już w Eclipse Bay, pomyślała. No właśnie. Jest na Maui, wysłana w teren przez J&J. I... no tak, próbuje nauczyć się chwycić dzień.

- Wszystko w porządku? - zapytał Luther, stojąc w drzwiach sypialni.

Usiadła na łóżku i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Miał na sobie tylko spodnie. Nie potrafiła oderwać wzroku od jego szerokiej, umięśnionej klatki piersiowej. Najwyraźniej fakt, że musiał używać laski, nie przeszkadzał mu w ćwiczeniach siłowych. Przypomniła sobie, jak poprzedniego wieczoru dotykała tej silnej piersi.

Seks. Uprawiała z nim seks. Pozwoliła sobie na najbardziej intymny kontakt z tym mężczyzną. Wprawdzie nie doszło do penetracji przez organ uznawany - w świetle tradycji i prawa - za penetrujący, ale to, co zaszło, z pewnością można określić terminem „ostrych pieszczot”. Tak czy

inaczej, w sensie fizycznym mocno się do siebie zbliżyli. A wszystko zakończyło się niesamowitym orgazmem, przynajmniej dla niej. Czowała się z tego powodu trochę winna.

Jednak z drugiej strony, to doświadczenie było zbyt ekscytujące, by mogła czegokolwiek żałować. Samo utrzymanie się na nogach wymagało od niej mobilizacji wszystkich sił. Potem, dziwnie oszołomiona, miała wrażenie, że tkwi w zawieszeniu między niebotyczną ulgą a pełną zachwyty ekscytacją. Czy została uleczona ze swojej fobii, czy też wczorajsza noc była jakimś dziwnym interludium wywołanym przez bliskie spotkanie z tajemniczym łowcą na plaży?

Luther zachowywał się, jakby wszystko rozumiał. Albo po prostu, kiedy zaczęła szlochać na jego piersi, stracił zainteresowanie. Mężczyźni nie przepadają za płaczącymi kobietami. Zwłaszcza jeśli płaczą one po seksie. Nie mogła go za to winić. Potem wrócili do hotelu, i wjechali windą na górę. Kiedy dotarli do apartamentu, Luther od razu zaprowadził ją do sypialni i dokładnie zamknął za nią drzwi.

Najwyraźniej w nocy je otworzył. Cóż, w końcu jest jej ochroniarzem.

- Tak - odparła. Podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je ramionami. - To tylko zły sen. Krzyczałam coś?

- Nie.

- To dobrze. - Odprężyła się trochę.

- Krzyczałaś „nie!” - dodał. - Rzucałaś się na łóżku i kilka razy krzyknęłaś „nie!” To musiał być naprawdę zły sen.

- Cóż, do przyjemnych nie należał. - Oparła się o poduszki.

Przynajmniej nie wymieniła imienia Martina. A przecież niewiele brakowało.

- To pewnie przez to spotkanie z łowcą - zasugerował Luther.

- Pewnie tak - zgodziła się skwapliwie.

Ale to nie łowca pojawił się w jej śnie. Przypomniała sobie, jak mijając go, nagle się uspokoiła. Była zbyt zaabsorbowana pierwszym od niepamiętnych czasów orgazmem, żeby pomyśleć o tym, co zdarzyło się na ścieżce. Teraz jednak przyszło jej do głowy, że ubiegłego wieczoru doświadczyła tego samego dziwnego, nienaturalnego spokoju, który sprawił, że zareagowała na swój sen inaczej niż zwykle. W obu przypadkach ogarniająca ją panika nagle ustąpiła, co, biorąc pod uwagę sytuację, było bardzo dziwne.

Instynktownie zaczęła wówczas walczyć z tym spokojem.

- Jeśli na pewno nic ci nie jest, to skończę się ubierać - powiedział Luther, wycofując się z pokoju.

- Stój.

Zatrzymał się posłusznie.

- Coś się stało?

- Tak, myślę, że coś się stało. - Odrzuciła kołdrę, wstała i spojrzała na niego nad zmiętą pościelą. - Chcę, żebyś mi to wyjaśnił.

- Co?

- Wczoraj na ścieżce wykorzystałeś energię swojej aury do stłumienia mojej, prawda? I założę się, że to samo zrobiłeś kilka minut temu, gdy jeszcze spałam. Jak śmiałeś?

Stał w drzwiach całkiem nieruchomo.

- Uspokój się. Masz za sobą ciężki dzień, a do tego jeszcze dręczył cię koszmar. Na pewno jesteś zdenerwowana.

- Dziękuję za troskę, ale nie jestem zdenerwowana. Co mi zrobiłeś?

- Czowałaś to? - spytał, marszcząc brwi, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

- Oczywiście, że tak. Wczoraj wieczorem nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo byłam skupiona na łowcy, na tym, że nie zwrócił na nas uwagi, i... - urwała w pół zdania i spojrzała na niego, jakby nagle coś sobie uświadomiła. - Dobry Boże, jemu też to zrobiłeś, prawda? Stłumiłeś go czy coś w tym rodzaju. Nakręcał się, a potem nagle przestał. Wykorzystałeś własną aurę, żeby go uspokoić.

- Bardzo szybko to zrozumiałaś. - Patrzył na nią niepewnie. - Dotąd nikomu się to nie udało. No, może poza Fallonem Jonesem.

- On wie, co jesteś w stanie zrobić?

- Nigdy nie wiadomo, co wie Fallon.

- Cóż, to niewątpliwie wyjaśnia, dlaczego jesteś tak dobrym ochroniarzem - stwierdziła. Po chwili zastanowienia dodała: - A także barmanem, a kiedyś policjantem. Nic dziwnego, że nie lubisz broni. Nie jest ci potrzebna. Wystarczy, że skupisz się nad przeciwnikiem i stłumisz jego instynkt.

Luther zacisnął palce na uchwycie laski.

- Niestety, to nie takie proste. Efekt maleje w miarę wzrostu odległości. Jeśli przeciwnik jest za daleko, mogę najwyżej starać się go skłonić, żeby się do mnie zbliżył. Nie mógłbym na przykład wpłynąć na aurę snajpera na dachu.

Uśmiechnęła się lekko.

- A ilu twoich klientów potrzebuje ochrony przed profesjonalnymi snajperami?

- Rzeczywiście niewielu - przyznał. - Zagrożenie zwykle znajduje się gdzieś bliżej.

- Twoje zdolności musiały być bardzo przydatne, kiedy pracowałeś w policji.

- Właśnie z powodu tych zdolności odszedłem z policji - odparł.

- Nie rozumiem. Dlaczego?

- To długa historia.

- A nie jesteś w nastroju, żeby ją opowiedzieć?

- Nie.

Ma prawo do tajemnic, pomyślała. Ona też miała swoje sekrety. Wyostrzyła zmysły i przyjrzała się jego aurze. Dostrzegła sporo napięcia, w tym także seksualnego. Poczwała, że się czerwieni. Uśmiechnął się delikatnie.

- Zobaczyłaś coś interesującego?

Zaskoczona otworzyła usta, zamknęła je i znowu otworzyła.

- Wyczuwasz, kiedy patrzę na twoją aurę?

- Oczywiście. A ty nie wiesz, kiedy patrzę na twoją? Spojrzała na niego z lekką obawą.

- Nie, nie wiem.

- Naprawdę? - zdziwił się.

Przełknęła ślinę.

- To znaczy czasami, kiedy jestem blisko, wyczuwam pewien rodzaj energii, ale sądziłam, że ma to coś wspólnego z... eee... - urwała, zawstydzona.

- Z faktem, że się nawzajem pociągamy? - Wzruszył ramionami. - Może i tak. Musiałaś czuć, że obserwowałem cię wczoraj na lotnisku. Nie wiedziałem, kim jesteś, ale nie mogłem od ciebie oderwać oczu. Pomyślałem, że wyglądasz jak jakaś niezwykle uzdolniona parapsychicznie istota. Jak motyl.

- Jezu, a ja nie wiedziałam, dlaczego tak dziwnie się wtedy czułam. Przypomniała sobie podekscytowanie, jakiego doświadczyła, kiedy zobaczyła Luthera po wyjściu z samolotu. Zrobiło jej się gorąco. Ile wtedy zobaczył? Nie żeby miało to znaczenie po tym, co wydarzyło się w nocy. Pewnie od początku wiedział, że wydał jej się atrakcyjny.

Jeszcze nikt nie zdołał jej przejrzeć. Zawsze to ona czytała w innych jak w otwartych książkach; często wiedziała, co zrobią, jeszcze zanim oni sami to wiedzieli. Właśnie dlatego tak wiele potrafiła utrzymać w tajemnicy.

- Czuję się trochę niezręcznie - wyznała, rumieniąc się. Był wyraźnie rozbawiony.

- Trzeba się do tego przyzwyczaić, ale jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie również nie.

Wiedziała, że wkraczają na grząski grunt. Musi być ostrożna. Nie może narażać na niebezpieczeństwo swojego nowego stylu bycia, którego tak pieczołowicie strzegła.

- Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć - odparła słabo.

- Nie ma sprawy. A póki co, może mi powiesz, jak naprawdę wypadłaś w skali Jonesa?

To ją wytrąciło z równowagi. Opanowała się z trudem.

- Pan Jones ci nie mówił? - spytała.

- Wspomniał, że jesteś na poziomie siódmym, ale masz również niezwykłą zdolność tworzenia profilów psychologicznych na podstawie odczytu z aury. Ale to oczywiście kłamstwo, prawda? Założę się, że jesteś co najmniej dziesiątką. Nie zdziwiłbym się, gdybyś po numerze miała gwiazdkę. Jesteś egzotykiem. Nie mogę wpaść w panikę, pomyślała. Znacznie lepszą reakcją będzie gniew.

- Nie wiem, skąd to przypuszczenie - rzuciła chłodno. - Oficjalnie zostałam uplasowana na poziomie siódmym, tak jak ty na ósmym.

Z satysfakcją kiwnął głową.

- Czyli, tak jak przypuszczałem, to zwykła bujda.

- A więc przyznajesz, że skłamałeś? - spytała z niedowierzaniem.

- Owszem. Przecież ze swoimi zdolnościami na pewno już dawno to odkryłaś. Nie sądzę, żebyś zamierzała rozgłosić to wszem wobec.

- Nie, jasne, że nie. Tyko że pan Jones zapewniał mnie, że jesteś ósemką.

- Im prędzej zrozumiesz, że Jones łączy jak pies, jeśli tylko mu z tym wygodnie, tym lepiej dla ciebie.

Usiadła na brzegu łóżka tyłem do Luthera i zacisnęła dłonie na kolanach. Spojrzała na taras za oszklonymi drzwiami.

- Wątpię, żeby kłamał dla własnej wygody. Raczej po to, by nie zdradzić twojej tajemnicy.

- Dobrze się zastanów, zanim zaczniesz przypisywać Fallonowi szlachetne intencje. Dla niego najważniejsza jest ochrona tajemnic Towarzystwa. Żeby osiągnąć swój cel, nie cofnie się przed niczym.

- Pewnie masz rację - mruknęła, zastanawiając się, ile Jones wie, albo podejrzewa, na temat jej zdolności. Ogarnął ją niepokój.

- Sam zmienił dane w aktach, żeby nikt nie znał prawdziwego poziomu moich zdolności - oznajmił Luther. - Ale jak tobie udało się zmienić swoje dane?

- Dlaczego myślisz, że to zrobiłam?

- Bo odbieram długość i natężenie twoich fal - odparł. - Czuję je.

I wiem, że na pewno nie jesteś siódmką.

Może jednak zdoła go zwieść.

- Mówiłam ci, moja matka zmarła, kiedy miałam trzynaście lat, na krótko przed moim testem w Towarzystwie. Od razu dostałam się w tryby systemu rodzin zastępczych, gdzie nikt nie wiedział nic o Towarzystwie. W rezultacie zostałam przebadana, dopiero kiedy zaczęłam się ubiegać o pracę w Biurze. A wtedy umiałam już kontrolować swoje zdolności. Bez trudu pokierowałam testem tak, by uzyskać siódmkę na skali Jonesa. Wiesz, jak ludzie w Towarzystwie reagują na dziewiątki i dziesiątki.

- Jasne, uważają nas za dziwolągi. A dziwolągi, zwłaszcza obdarzone mocą, budzą niepokój. No to jaki jest naprawdę twój poziom? Dziesięć?

Odchrząknęła.

- Dziewięć.

- Bzdura. Powinnaś zobaczyć teraz swoją aurę. Pulsuje jak zwariowana. Więcej niż dziesięć, prawda?

Rzeczywiście, nie mylił się.

- Tak - potwierdziła.

- To tak jak ja.

Westchnęła.

- Skala Jonesa ma dziesięć punktów.

- Tyko dlatego, że jeszcze nie znaleźli sposobu mierzenia energii na wyższych poziomach. Stąd ta cholerna gwiazdka. Myślisz, że Fallon zna twój prawdziwy poziom?

- Aż do dziś byłam pewna, że nie. - Rozłożyła ręce. - Ale teraz już nie jestem. Biorąc pod uwagę naturę jego zdolności, mógł odgadnąć, że jest wyższy, niż wynika to z moich akt.

- Jesteś egzotykiem - rzekł z przekonaniem. - Jak ja. Tajemnica za tajemnicę. Zresztą, co może być złego w przyznaniu się do prawdy przed inną osobą o podobnych zdolnościach? Przed kimś, kto potrafi to zrozumieć? Przyniosło jej to nawet pewną ulgę.

- Tak. - Skrzywiła się lekko. - Ale nie cierpię tego słowa.

- Egzotykiem?

- To tylko nieco subtelniejsze określenie psychicznego dziwactwa.

- Nie jesteś dziwolągiem. - Podeszedł do niej, stukając cicho laską. - Moim zdaniem jesteś bardzo rzadkim stworzeniem.

Wstała i odwróciła się do niego.

- Tak sądzisz?

Znowu ogarnęła ją fala gorącej, zmysłowej energii. A on znowu przyglądał się jej aurze. Czowała lekkie

pulsowanie jego pola energetycznego i teraz już wiedziała, co to oznacza. On widzi mnie taką, jaka jestem naprawdę, pomyślała. Nikt inny mnie nigdy takiej nie znał.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął.

- W tym momencie powinienem powiedzieć „patrzę na ciebie, maleńka”.

Parsknęła śmiechem i nagle poczuła się beztroska i pełna energii. Seksowna. Odważna. Gotowa żyć chwilą.

- A podoba ci się to, co widzisz? - spytała. Dobry Boże, naprawdę z nim flirtowała.

- O, tak - odparł i dotknął jej policzka. - Nikt inny nigdy nie zauważył, że wpływam na jego aurę, nie mówiąc już o tym, by mnie powstrzymał.

Wstrzymała oddech, ale wstrząs nie nastąpił. W ramach eksperymentu musnęła dłonią jego nagą pierś. Czowała tylko ciepło gładkiej skóry i napięte pod nią mięśnie. A więc ubiegła noc nie była wyjątkiem. Naprawdę może go dotykać, nie odczuwając bólu. Położyła dłoń płasko na jego piersi.

Czowała intensywną, skupioną energię jego pożądania, która opływała ją całą silnymi i potencjalnie niebezpiecznymi prądami. Ale nie zwracała już uwagi na ostrzegawcze znaki.

- Chcesz powiedzieć, że pociągam cię tylko dlatego, że nie pozwalam ci manipulować moją aurą? - spytała.

Jego uśmiech był niezwykle zmysłowy.

- I dlatego, że jesteś napalona, oczywiście. Zamrugowała.

- Naprawdę uważasz, że jestem napalona?

Wsunął laskę za jej plecy i chwycił jej koniec z drugiej strony, zamykając Grace w pułapce. Przyciągnął ją do siebie i wyszeptał:

- Bardzo, bardzo napalona.

Te słowa rozpały wszystkie jej zmysły. Pragnął jej. Jeśli nawet częściowo dlatego, że uznał ją za interesujące wyzwanie, to co? Przynajmniej nie bał się jej, jak inni mężczyźni. To był już duży plus.

No i mogła go dotykać. Żyj chwilą.

- Tak - przyznała. - Ale przyjemnie usłyszeć takie słowa.

- A co powiesz na czyny? Czy one się nie liczą?

- O, tak - odparła bez tchu. - Czyny są bardzo ważne.

- To dobrze, bo mam ochotę przejść do działania.

Dotknął wargami jej ust. Objęła go i oddała mu pocałunek, przywierając do niego całym ciałem. Ten nagły ruch sprawił, że Luther stracił równowagę, zachwiał się i wypuścił laskę z rąk. Przewrócili się na nie posłane łóżko.

Grace wylądowała na gorze. Oszołomiona i rozpalona, zaczęła całować jego szyję. Przesunął dłońmi po jej biodrach i podciągnął do góry brzeg koszuli. Po chwili poczuła dotyk jego palców na swoich pośladkach.

Ścisnął je lekko. Zadrżała i wbiła paznokcie w jego plecy.

- O, tak, zdecydowanie jesteś napalona - mruknął ochryple.

Podniósł jedno kolano, zamykając ją między udami, i przycisnął krocze do jej nogi.

Przesunęła dłonią w dół jego piersi i brzucha, aż trafiła na suwak spodni. Pociągnęła go w dół, ale nie mogła go rozpiąć z powodu jego nabrzmiałej męskości. Luther głośno wciągnął powietrze i odsunął się nieco.

- Ja to zrobię.

- W porządku. Ale pośpiesz się.

Usiadł na brzegu łóżka.

- Wierz mi, śpieszę się, jak mogę.

Patrzyła na zarys jego szerokich ramion i ud, kiedy zdejmował spodnie. W końcu je zsunął, a wtedy dostrzegła głęboką świeżą bliznę biegnącą od biodra do kolana. Był to wstrząsający widok.

- Och, Luther - szepnęła. Spojrzał na bliznę i się skrzywił.

- Niezbyt piękna, prawda? Lekarz wspominał coś o operacji plastycznej, ale wtedy ostatnią rzeczą na jaką miałem ochotę, był powrót do szpitala.

- A jakie znaczenie ma wygląd? - Grace usiadła obok Luthera i delikatnie przesunęła palcami wzdłuż blizny. - Musiałeś stracić sporo krwi. Mogłeś zginąć.

- Mówiłem ci, popełniłem błąd. - Umilkł i przez chwilę przyglądał się jej uważnie. - Czy to cię niepokoi?

- Oczywiście, że tak. To musiała być bardzo poważna rana.

- Nie o to mi chodziło. Czy to cię odrzuca?

- Nie bądź śmieszny. Przestraszyłam się o ciebie, to wszystko.

Czy to był wypadek samochodowy?

- Nie. - Luther otworzył portfel i wyjął z niego prezerwatywę.

- Boli cię jeszcze?

- Czasami. - Wyjął prezerwatywę z folii. - Wolałbym teraz o tym nie rozmawiać. To może popsuć nastrój, nie sądzisz?

Zarumieniła się.

- Tego bym nie chciała.

Rzucił jej ten swój zmysłowy uśmiech, opadł na łóżko i pochylił się nad nią.

- Co do tego jesteśmy więc zgodni - powiedział cicho.

Położył rękę na jej piersi. Przez cienki materiał nocnej koszuli czuła ciepło jego silnej dłoni. Zacisnęła palce na jego ramionach. Zadrżał, jego aura rozjaśniła się nagle. Grace miała wrażenie, że jego energia dostroiła się do jej własnej. Ogarnęła ją euforia płynąca z poczucia kobiecej siły.

Luther wolno przesunął dłoń na wewnętrzną część jej uda, a potem położył ją między jej nogami. Zaczął ją pieścić tak jak poprzedniej nocy, jakby dokładnie wiedział, czego pragnie i potrzebuje. Poczwała znajomy rytm jego pulsującej energii. Cholera. Oczywiście, że wiedział, czego chce. Czytał z jej aury, żeby zobaczyć, co działa, a co nie.

- Chwileczkę - wydyszała. - To chyba oszustwo.

- W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

Zrobił coś, co sprawiło, że w jednej chwili wszystkie jej zmysły stanęły w ogniu. Jej nogi drgnęły i niemal niezależnie od jej woli rozchyliły się przed nim. Odruchowo sięgnęła w dół i objęła palcami jego męskość. Luther gwałtownie wciągnął powietrze i jęknął przeciągle. Nie musiała czytać z jego aury, by wiedzieć, że nacisnęła właściwy guzik.

- Masz rację - powiedziała, rozkoszując się jego reakcją. - Wszystkie chwytaki dozwolone.

Był bardzo podniecony. Obserwując uważnie jego aurę, szybko odkrywała, gdzie i w jaki sposób go dotykać. Seksualne napięcie w jego polu energetycznym pulsowało coraz mocniej i szybciej, wzmagając jej własną ekscytację. Nigdy z nikim czegoś takiego nie robiła. Ta gra wciągała i uzależniała. Grace uczyła się błyskawicznie dzięki informacjom zwrotnym, jakich dostarczała jego aura.

Usłyszała niski, schrypnięty śmiech i domyśliła się, że Luther wie, że ona obserwuje go w ten sam

sposób, w jaki on patrzy na nią. - Szybko załapałaś, o co w tym chodzi. - Chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał jej ręce nad głową.

- Ale nie pozwolę ci za szybko skończyć.

Grace uśmiechnęła się słodko, uniosła biodro i trąciła go lekko. Gdy odruchowo opuścił jedną dłoń, ugryzła go w ramię, delikatnie, ale tak, by poczuł na skórze jej zęby.

- Powiniennem być się domyślić - mruknął. - W porządku, zrozumiałem.

Uwolnił jej nadgarstki, a Grace wróciła do tego, co robiła wcześniej. On także. Walka na zmysły trwała, coraz ostrzejsza i coraz bardziej ekscytująca. Oboje robili wszystko, by wznieść się na wyższy poziom podniecenia.

A potem Luther znalazł się na niej, a ona zacisnęła palce na jego ramionach, uniosła kolana i opłótła go nogami. Sypialnię wypełniły niewidzialny ogień i światło. Grace przyciągnęła Luthera mocniej, zaborcza i zachłanna jak nigdy dotąd. Czuła, jak jego mięśnie napinają się pod jej dotykiem, a jej ciało coraz ciaśniej się wokół niego zamyka.

Nagle Luther zeszywniał, napięty i twardy, jakby został odlany ze stali. Z wysiłkiem otworzyła oczy i w świetle poranka zobaczyła nad sobą jego surową męską twarz. Była to twarz człowieka na progu seksualnego przesilenia albo śmiertelnej przemocy.

On też otworzył oczy i zobaczył, że Grace na niego patrzy. Nic nie powiedział. Wiedziała, że podobnie jak ona, nie był w stanie. Oboje zbyt głęboko dali się wciągnąć w ten ognisty wir. Ale w tej krótkiej chwili poczuła niezwykłą więź - więź całkowitego wzajemnego zrozumienia - która ich łączyła.

Zanim zdążyła zastanowić się nad tym nowym rodzajem energii, obezwładniająca rozkosz zaparła jej dech w piersi. A zaraz potem dołączył do niej Luther. Mogłaby przysiąc, że na kilka niekończących się sekund ich aury zlały się w jedno pole energetyczne, obejmujące ich złączone ciała.

Co, oczywiście, według praw parafizyki, było całkowicie niemożliwe.

Rozdział 12

W windzie była tylko jedna osoba: kobieta otulona jednym z białych szlafroków hotelowych. Luther uśmiechnął się pod nosem, widząc rozczarowanie na twarzy Grace. Wiedział, że bardzo chciała wypróbować swoją świeżo nabytą odporność na dotyk na kimś jeszcze, by się upewnić, że naprawdę została „wyleczona”.

Kiedy winda zatrzymała się na poziomie tarasu, na którym znajdowała się restauracja, Grace wysiadła pierwsza. Luther szedł za nią, zastanawiając się, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze i tak świeżo.

- Możesz wykorzystać tę sztuczkę z manipulowaniem aurą żeby rozpalić każdą kobietę? - spytała tonem akademickiej ciekawości. Uśmiech znikł z twarzy Luthera. Wiedział, kiedy ktoś próbuje zastawić na niego pułapkę.

- Do diabła, Grace, mów ciszej.

Rozejrzał się dookoła w nadziei, że coś pozwoli mu uniknąć tej rozmowy. Ale żadna z kilku osób znajdujących się w podcieniach prowadzących do restauracji nie była na tyle blisko, by móc ich podsłuchać. Ta wymówka nie wchodziła więc w grę. Zniżył głos i powiedział:

- To nie działa w ten sposób.

- Chyba się nie dziwisz, że jestem ciekawa. Nigdy nie natknęłam się na ten rodzaj talentu podczas

moich badań genealogicznych.

Luther założył okulary przeciwsłoneczne i spojrział na nią. Kiedy wstali z łóżka, wzięła prysznic. Teraz wilgotne jeszcze włosy miała założone za uszy. Była w spodniach i kolejnej koszulowej bluzce z długimi rękawami, które jednak podwinęła aż do łokci. Bardzo śmiały ruch.

- Nie działam jak jakieś małe urządzenie elektryczne, które możesz włączyć do prądu, ilekroć przyjdzie ci na to ochota - mruknął.

- Nie - przyznała. - Zwłaszcza że twoje urządzenie z pewnością nie zalicza się do małych. Więc jaka jest odpowiedź?

- Czekamy właśnie na śniadanie, a przy śniadaniu czytam zwykle gazetę. Możemy porozmawiać o tym kiedy indziej?

- Wystarczy proste „tak” albo „nie”.

- Tam, gdzie w grę wchodzi seks, nie ma prostych odpowiedzi - odparł.

Dobra riposta, Malone, pomyślał. Wręcz doskonała. Grace lekko przekrzywiła głowę, patrząc na niego przez ciemne szkła okularów.

- To nie jest odpowiedź - stwierdziła.

Luther wolno wypuścił powietrze z płuc i przybrał pozę człowieka głęboko urażonego.

- Pytasz mnie, czy używam swoich zdolności, by zdobyć każdą kobietę, jakiej zapragnę?

- Nie. - Przystanęła i odwróciła się do niego, wyraźnie zaskoczona. - Wiem, że nie zrobiłbyś niczego, co byłoby nieetyczne. On także się zatrzymał.

- Tak? A skąd wiesz?

- Tworzę profile psychologiczne na podstawie aury, pamiętasz?

Zmarszczył brwi. - Zrobiłaś mój profil?

- Oczywiście - odparła chłodno. - Myślisz, że poszłabym do łóżka z kimś, kogo wcześniej nie zanalizowałam? Zwłaszcza biorąc pod uwagę moje problemy?

- Chyba nie myślałam o tym w ten sposób. - Urwał na chwilę. - I co, zdałem egzamin?

- O, tak. - Rzuciła mu uśmiech jaśniejszy niż poranne słońce na Hawajach. - Zdecydowanie tak.

- A ja się zastanawiałem, czy nie pociągam cię tylko dlatego, że możesz mnie dotykać.

- Co? - Teraz ona patrzyła na niego z oburzeniem. - Jak mogłeś pomyśleć, że poszłabym do łóżka z mężczyzną tylko dlatego, że mogę go dotykać?

- Przecież sama mówiłaś, że od ponad roku nie byłaś w stanie do nikogo się zbliżyć.

- Moja fobia nie ma nic wspólnego z tym, co się wydarzyło wczoraj w nocy i dzisiaj rano - warknęła.

- W każdym razie nie w sposób, jaki sugerujesz. Obrażasz mnie.

- Uspokój się.

- Nie zamierzam się uspokoić. Jestem nie tylko obrażona. Jestem wściekła. Naprawdę wściekła.

- Wiem. Widzę to - odparł, podziwiając ogniki błyskające dziko w jej aurze.

- Wyjaśnijmy sobie jedno - rzuciła lodowato. - Nigdy nie poszłabym do łóżka z mężczyzną tylko dlatego, że mogę go dotykać. Płomienie oburzenia przeplatały się z barwnymi falami jej pożądania.

Była rozgniewana, ale nadal go pragnęła. Luther znowu poczuł się świetnie.

- Nie możesz mnie winić za to, że wyciągnąłem oczywisty wniosek - powiedział.

- Owszem, mogę.

- Słyszałaś kiedyś zdanie: „Jesteś śliczna, kiedy się złościś”?

Przez kilka sekund był pewny, że Grace eksploduje. Ale ona tylko się skrzywiła.

- Doskonale - mruknęła. - Niech będzie twoje na wierzchu. Zjedzmy coś.

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę wejścia do restauracji. Luther konsekwentnie grał rolę urażonego, kulejąc za nią z godnością. Kiedy wreszcie dotarł do stolika, hostessa już czekała z kartami w ręce i wyrazem głębokiego współczucia na twarzy.

Grace spojrzała na niego gniewnie. Uśmiechnął się, zadowolony z odwetu.

- Takie zachowania określa się jako pasywno - agresywne - oznajmiła, kiedy usiedli.

- Wiem. - Luther sięgnął po kartę. - Ale miło się je stosuje.

Posłuchaj, spróbuję odpowiedzieć na twoje pytanie, ale nie złość się, jeśli nie wszystko będzie dla ciebie jasne. To skomplikowana sprawa. Grace uniosła brwi.

- Słucham.

- Manipulowanie energią seksualną jest bardzo trudne - zaczął, przybierając pozę akademickiego autorytetu. A przynajmniej miał nadzieję, że tak to wyglądało.

- Trudniejsze niż wpływanie na inne elementy aury?

- Tak.

- Dlaczego?

- A skąd mam wiedzieć? Pewnie chodzi o biologię.

To by było na tyle, jeśli chodzi o akademicki autorytet.

- Tak łatwo się nie wywiniesz.

- Przede wszystkim, nie mogę wpłynąć na coś, czego nie ma - powiedział.

- Słucham?

- Jeśli się kobiecie nie podobam, nie ma energii. Nie jestem w stanie stworzyć jej z niczego.

- No dobrze, a naturalny pociąg seksualny? Nie możesz po prostu... - wykonała nieokreślony ruch dłonią - ...trochę jej podkreślić? Wprowadzić w odpowiedni nastrój? Gdyby to było takie proste.

- Może i tak. Gdyby nie była akurat skupiona na czymś innym, na przykład malowaniu, gotowaniu, nauczaniu fizyki czy słuchaniu muzyki.

- A dlaczego?

- Bo energia seksualna to surowe paliwo, którym można napędzać wiele różnych silników, to znaczy pasji. W sprzyjających okolicznościach byłbym w stanie podnieść poziom energii seksualnej kobiety, ale niestety, nie ma pewności, że zdołałbym skierować jej podniecenie w moją stronę. Mogłaby na przykład uznać, że facet, którego widziała wcześniej na plaży, był znacznie bardziej interesujący, niż jej się wydawało.

Grace w zamyśleniu ściągnęła usta.

- Ale gdyby była choć trochę zainteresowana tobą, mógłbyś wzmocnić jej zainteresowanie?

- Teoretycznie tak. Ale nawet gdybym manipulując jej aurą, zdołał ją zwabić do łóżka, co bym z tego miał? Następnego ranka zastanawiałaby się, co takiego we mnie widziała. Nie byłoby to korzystne dla mojego ego.

- Są mężczyźni, których nie interesuje, co kobieta pomyśli następnego ranka.

- Zapewne, ale ja do nich nie należę.

- Nie - przyznała z powagą. - Ty nie.

Zmarszczył brwi, nie bardzo wiedząc, jak to przyjąć.

- Ale pomijając ego, jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego manipulowanie aurą kobiety w łóżku mogłoby nie działać, a w każdym razie nie na długo.

- Jaki?

- Obserwowanie czyjejś aury wymaga niewiele energii i wysiłku. Natomiast manipulowanie energią

drugiej osoby wymaga ogromnej koncentracji i mobilizacji wszystkich sił. Taka randka nie byłaby dla mnie przyjemnością, bo cały czas musiałbym pracować, by utrzymać zainteresowanie kobiety na odpowiednim poziomie psychicznym. Obawiam się, że później nie miałbym już sił skupić się na, hm, fizycznym aspekcie przedsięwzięcia.

Grace postukała kartą o kant stolika.

- Nie pomyślałam o kwestii wydatkowania energii.

- Prawa fizyki są niezmiennie. - Luther wziął do ręki drugie menu. - Akcja wywołuje reakcję. Jeśli zużyjesz dużo energii, będziesz potrzebować dużo czasu, by ją odzyskać.

Kelner podał kawę, przyjął zamówienie i odszedł. Luther zauważył, że Grace zerka w stronę sąsiedniego stolika. Zanim odwróciła wzrok i sięgnęła po filiżankę, dostrzegł na jej twarzy dziwnie tęskny wyraz.

Spojrzał na stolik, który przyciągnął jej uwagę, i zobaczył siedzącą przy nim czteroosobową rodzinę. Atrakcyjna, dobrze ubrana blondynka była o kilkanaście lat młodsza od siwiejącego już męża. Między rodzicami siedzieli mniej więcej pięcioletni chłopczyk i jasnowłosa dziewczynka, która mogła mieć jakieś siedem lat. Luther podniósł filiżankę do ust.

- Nie wiem jak ty - powiedział cicho - ale ja, kiedy byłem dzieckiem, nie spędzałem wakacji w ekskluzywnych hotelach na Maui. Jeździłem z dziadkiem na kemping do stanowego parku narodowego; o dalszych wyprawach mogłem najwyżej pomarzyć.

Grace lekko zacisnęła palce na swojej filiżance, ale wyraz jej twarzy pozostał doskonale obojętny.

- Ta sytuacja nie jest taka idealna, jak może się wydawać. To jego drugie małżeństwo. Ma też dzieci ze swoją pierwszą żoną. Są już dorosłe i nie zachwyca ich fakt, że w ich życiu pojawiło się przyrodnie rodzeństwo.

- Zwłaszcza że będzie to miało wpływ na dziedziczenie i podział funduszy powierniczych?

- Wojna przy podziale spadku będzie zajadła, bo pierwsza rodzina nie dostawała tego, co dostaje druga.

Luther uniósł jedną brew.

- Uwagi i troski ojca, który dopiero teraz dojrzał do swojej roli?

- Zgadza się.

- A ona?

Grace machnęła ręką.

- Młoda kobieta, która wyszła za znacznie starszego bogatego mężczyznę. Historia stara jak świat. Zrobiła to dla pieniędzy i pozycji społecznej. Na razie jest zadowolona, ale wkrótce znajdzie sobie kochanka.

- Domyślasz się tego, czy naprawdę widzisz takie rzeczy w ich aurach?

- Nie mogę zobaczyć szczegółów, bo tak zwane czytanie w myślach nie istnieje, przecież wiesz. Ale jestem w stanie dostrzec w aurze pewne wzory oraz schematy i potrafię interpretować te elementy oraz znajdować powiązania między nimi. To intuicyjny proces.

- Nic dziwnego, że Fallon chce z tobą współpracować. - Luther przez chwilę przyglądał się parze z dwójką dzieci. - Ale rzeczywiście nie trzeba mieć zdolności parapsychicznych, by rozpracować model tej rodziny. Starszy mąż, piękna młoda żona i bardzo małe dzieci. To częsty scenariusz.

- To prawda - zgodziła się. - Ale tak się składa, że w tej grze jestem bardzo dobra.

- W grze?

Wzruszyła ramionami.

- Wymyśliłam ją, kiedy byłam dzieckiem, i nazwałam „Nie ma rodzin idealnych”. Przez wiele lat bardzo często w nią grałam. Pokaż mi rodzinę, jakąkolwiek rodzinę, a ja znajdę skazę.

Luther gwizdnął przeciągle.

- Strasznie ponura ta twoja gra.

Zaczerwieniła się.

- Wiem. Ale to klasyczny mechanizm obronny. Kiedy byłam młodsza i obserwowałam problemy w różnych rodzinach, mniej przygnębiał mnie fakt, że nie mam własnej. Gdzieś po drodze ta gra stała się nawykiem.

- Do diabła. Jesteś jeszcze bardziej cyniczna niż ja.

- O to akurat nietrudno - odparła, spoglądając na niego z rozbawieniem. - Ty jesteś prawdziwym romantykiem.

- Skąd ten pomysł? - zachnął się. - Nie ma we mnie cienia romantyzmu. Spytaj którąś z moich byłych.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i spytała:

- Twoje były nie znały cię zbyt dobrze, prawda?

Z pewnością nie tak dobrze jak ty po zaledwie jednej nocy, moja pani, pomyślał. Uznał jednak, że lepiej nie wypowiadać tego głośno.

- Uważały, że ich nie rozumiem - powiedział tylko. - I miały rację. Do obu rozwodów doszło z mojej winy.

- Dlaczego tak sądzisz?

Wzruszył ramionami.

- Bo to prawda. Patrząc wstecz, widzę, że obie się mnie bały.

Potrzebowały tylko czasu, żeby to zrozumieć. Mniej więcej roku, w obu przypadkach.

- Czy któraś z twoich żon była uzdolniona parapsychicznie?

- Nie.

Grace pokiwała głową. - A ty ukrywałeś przed nimi swój mały sekret aż do ślubu?

Poczuł, że się czerwieni.

- Myślałem, że łatwiej będzie to wytłumaczyć, kiedy lepiej się poznamy. Ale wszystko wychodziło na jaw za wcześnie, bo żony innych policjantów plotkowały na mój temat i tak dalej. Zaczynało się wypytywanie, a gdy próbowałem wyjaśnić, na czym polegają takie uzdolnienia jak moje, to tylko pogarszało sytuację. Koniec końców obie uznały, że nie jestem zwykłym dziwakiem, ale po prostu wariatem. Potencjalnie niebezpiecznym. I dostawałem pozew o rozwód.

- Myślę, że to było bardziej skomplikowane.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Moc, jakiegokolwiek rodzaju, zawsze na początku jest atrakcyjna. Jestem pewna, że twoje żony wyczuwały w tobie siłę i to je fascynowało, chociaż nie bardzo wiedziały, co je do ciebie przyciąga. A po pewnym czasie zaczynały czuć się nieswojo, bo dochodziły do wniosku, oczywiście podświadomie, że jesteś dla nich zbyt silny. Onieśmiały je, może nawet trochę przytłaczałeś. Nigdy nie było między wami równowagi sił. A związki, w których nie ma równości, często są skazane na niepowodzenie.

- Dlaczego więc uznałaś mnie za romantyka?

- Widzę to w twojej aurze - tłumaczyła. - I w ścieżce kariery, oczywiście.

- Oczywiście?

- Nie zostałeś policjantem przez przypadek, tak jak nie jest przypadkiem, że teraz pracujesz dla J&J.

Urodziłeś się, by chronić i bronić.

- Jestem też barmanem - zauważył. Uznał, że nie lubi być przedmiotem analizy. - Jak to dopasujesz do swojej teorii?
- Jeszcze nie wiem, ale jestem pewna, że to możliwe. Powiedz, próbowałeś kiedyś znaleźć kogoś przez *arkan.randka.com*?
- Nie - odparł. - Słyszałem, że swatanie egzotyków rzadko się udaje, zwłaszcza w przypadku osób, które zaniżają swoje wyniki na skali Jonesa. Za dużo niewiadomych, za duże ryzyko. A ty?
- Nie - powiedziała tylko. Nie wyjaśniła, dlaczego.
- Byłaś kiedyś mężatką? - spytał. Pokręciła głową.
- Nie.
- Dlaczego? Uśmiechnęła się słodko.
- W przeciwieństwie do ciebie, nie jestem romantyczna.
- Kłamczucha - prychnął. - Myślę, że nie wyszłaś za mąż, bo czekałaś na odpowiedniego kandydata.
- Możesz mnie nazwać wybredną.

Rozdział 13

Nowi goście zaczęli pojawiać się w hotelu wczesnym popołudniem. Luther siedział obok Grace na szerokiej, ocienionej werandzie. Po lewej widział basen i ciągnącą się dalej plażę; po prawej przestronny hol i blat recepcji. Na małym stoliku między ratanowymi fotelami stały dwie szklanki z mrożoną herbatą. Luther miał egzemplarz „Wall Street Journal”, a Grace powieść w miękkiej okładce. Oboje byli w okularach przeciwsłonecznych.

Patrząc, jak portier wyjmuje z bagażnika limuzyny komplet drogich kijów golfowych, wrócił do swoich fantazji na temat Grace. W ich najnowszej wersji spędzali na Maui miesiąc miodowy, za jego pieniądze, a nie za pieniądze Fallona Jonesa. I nie musieli się zajmować szukaniem uzdolnionego parapsychicznie zabójcy.

Z limuzyny wysiedli kobieta i mężczyzna, oboje z wieńcami z kwiatów na szyjach. Gdy portier prowadził ich do recepcji, Luther przyjrzał się ich austom. Mężczyzna wysyłał krótkie zielone wibracje wskazujące na rosnącą irytację, która przy najlżejszej prowokacji mogła zmienić się w gniew.

- Ona ma zdolności intuicyjne na jednym z niższych poziomów - powiedziała Grace, nie podnosząc głowy znad książki. - Może być trójką. Wystarczyło, żeby wybrała męża równie ambitnego jak ona, a dzięki niej stał się tym, kim jest dzisiaj.

- Myślisz, że jest świadoma tego aspektu swojej psychiki?

- Wątpię. Nie na tym poziomie. Pewnie jak większość kobiet traktuje swoją intuicję jako coś całkowicie naturalnego.

- A co powiesz o jej mężu? Grace przewróciła kartkę w książce.

- Jest zirytowany.

- To widzę. Pewnie lot był długi i męczący. Coś jeszcze?

- W tym związku ster trzyma żona. On wie, że jest inteligentniejsza od niego i że jej potrzebuje, by wspiąć się wyżej po korporacyjnej drabinie. Ale to tylko pogłębia jego frustrację. Prawdopodobnie ma kochankę, która potrafi sprawić, by czuł się silniejszy.

- Niezła jesteś.

- Owszem. - Przewróciła kolejną kartkę. - Właśnie dlatego pan Jones wybrał mnie do tej misji.

- Nie chcę rujnować twojego wizerunku jako kobiecej wersji Jamesa Bonda, ale wątpię, czy tę podróż można nazwać misją.

- A jak byś ją nazwał?

- Zleceniem.

- Zostanę przy misji. Brzmi bardziej ekscytująco.

Kiwnął głową.

- Ostatnie godziny były rzeczywiście ekscytujące, muszę to przyznać.

Przed hotelem zatrzymała się następna limuzyna, z której bagażnika portier wyjął kolejny zestaw kijów golfowych i coś, co wyglądało jak sprzęt do nurkowania. Z samochodu wysiadł elegancki mężczyzna po czterdziestce. Towarzysząca mu atrakcyjna rudowłosa kobieta mniej więcej w tym samym wieku sprawiała wrażenie osoby, która spędza dużo czasu w ekskluzywnych salonach fryzjerskich i kosmetycznych.

- Daję temu małżeństwu najwyżej pół roku - oznajmiła Grace chłodno. - On właśnie przechodzi kryzys wieku średniego i pragnie nowej żony, młodej i atrakcyjnej, którą mógłby zaimponować znajomym.

- Dzieci?

Grace przez chwilę przyglądała się parze.

- Tak. Ale ojciec powie im, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

- Masz rację - stwierdził Luther. - Jesteś naprawdę dobra w te klocki. Ale czasem to musi być przygnębiające?

- Raczej realistyczne.

Spojrzał na okładkę książki, którą trzymała w ręce. Widniała na niej kobieta z rewolwerem w dłoni. Tytuł był równie złowieszczy jak ilustracja.

- Kryminał? - spytał.

- Romans z wątkiem kryminalnym - odparła.

- Czyli?

- Czyli historia miłosna z jednym czy dwoma morderstwami.

- Lubisz takie książki?

- Tak.

Uśmiechnął się.

- A mówiłaś, że nie jesteś romantyczna.

- Bo nie jestem. - Przewróciła kolejną kartkę. - Ale to nie znaczy, że nie lubię czytać o romansach.

- A morderstwa?

- Zagadka zostaje rozwiązana dzięki sprytowi i inteligencji pary głównych bohaterów.

- W prawdziwym życiu ludzie popełniają morderstwa w znacznie prostszych sytuacjach - powiedział Luther. - Ktoś się wkurza, chwytą za broń, jeśli ma ją pod ręką, i załatwia gościa, który go zdenerwował.

- Naprawdę? - Nie wydawała się zainteresowana.

- Poza tym większość takich spraw zostaje rozwiązana, bo ktoś zaczyna sypać, a nie dzięki medycynie sądowej albo czyjejś szczególnej inteligencji.

- Gdyby interesowała mnie prawdziwa policyjna praca, czytałabym gazety, a nie powieści - odparła.

- No tak, oczywiście. Jak już ją przeczytasz, powiesz mi, jak się kończy?

Grace przewróciła następną kartkę.

- Wiem, jak się kończy.

- Przeczytałaś zakończenie?

- Zawsze to robię, żeby zdecydować, czy chcę czytać całość.

- Ale skoro znasz zakończenie, to po co czytasz resztę?

- Nie czytam książek dla zakończenia, tylko dla historii, które opowiadają. - Grace spojrzała na taksówkę, która właśnie zatrzymała się przed wejściem. - Życie jest za krótkie, żeby marnować je na książki, które źle się kończą.

- Źle, czyli nieszczęśliwie?

- O ile wiem, są to synonimy.

- Rozumiem. No więc jak kończy się ta książka? - Podniósł dłoń.

- Zaczekaj. Sam zgadnę. Mordercą był kamerdyner.

Grace, zamiast odpowiedzieć, zdrętwiała. Widząc to, Luther wyostrzył zmysły.

Kolory zblakły, a jego oczom ukazało się paranormalne spektrum barw. Aura Grace migotała odcieniami lęku, których nie można było pomylić z niczym innym. Nim zdążył ją zapytać, co się stało, zauważył, że wzrok ma utkwiony w wejście do holu. Podążył za jej spojrzeniem i zobaczył mężczyznę wysiadającego zza kierownicy jednego z samochodów, które się zatrzymały przed hotelem. Miał sylwetkę sztangisty na sterydach, ogoloną głowę i lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Jego aura była nie tylko silna, ale i niepokojąca. Iskry ciemnej energii błyskały ponuro, zaburzając wielobarwny wzór.

- Co jest, do diabła? - szepnął Luther. - Łowca - odparła Grace.

- Cholera. To by było na tyle, jeśli chodzi o Fallona i jego teorie prawdopodobieństwa.

- Tu nie chodzi tylko o prawdopodobieństwo - głos Grace lekko drżał. Wydawała się zdezorientowana. - To nie jest typowy profil łowcy.

- A na czym polega różnica?

- Nie odzwierciedla pełnej gamy zdolności występujących zwykle u łowców. W jego spektrum brakuje pewnych elementów.

- Na przykład jakich?

- Przede wszystkim umiejętności wykrywania agresji u innych, która zawsze charakteryzuje ponadprzeciętnie uzdolnionych łowców.

Ale ma świetny wzrok, jest silny i szybki.

- Brakuje mu czegoś jeszcze? - spytał Luther, nie odrywając wzroku od mężczyzny.

- Tak. Korelacji między ilorazem inteligencji a wysokim poziomem zdolności parapsychicznych, bez względu na ich rodzaj.

Łowca na poziomie ósmym czy dziewiątym, taki jak on, powinien mieć iloraz inteligencji znacznie wykraczający ponad przeciętną.

- A on nie ma?

- Nie. Nie jest głupi, ale to facet, którym ktoś, kto wie, jak to robić, będzie bez trudu manipulował. Ten gość nie kwestionuje rozkazów.

- Krótko mówiąc, nie jest bystrzakiem?

- Nie.

- I to raczej nie jest Eubanks? Pokręciła głową.

- Nie, chyba że profil, który otrzymałam, zawierał poważne błędy, w co wątpię.

Luther patrzył, jak kierowca otwiera tylne drzwiczki i z samochodu wysiada drugi mężczyzna. Był wysoki, dobrze po trzydziestce, miał kwadratową szczękę i idealnie równą opaleniznę, która mogła pochodzić tylko z butelki z rozpylaczem.

Grace zeszywniała.

- To jest Eubanks - szepnęła. - Wybitny talent strategiczny.

Wszystko inne też pasuje.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

- A te złe fale?

Odwróciła się do Luthera, zaskoczona.

- Widzisz je?

- Bez urazy, ale trudno byłoby je przeoczyć. Widziałem w życiu sporo szaleńców. Wielu z nich miało zaburzenia rytmu aury. Ale nie aż takie.

Eubanks zostawił bagaż kierowcy, zignorował boy'a hotelowego, który chciał mu podać wieniec z kwiatów, i podszedł do blatu recepcji.

- Zaburzenia aury występują też u narkomanów - powiedziała Grace z wahaniem.

Luther przyglądał się chwilę Eubanksowi, rozważając tę możliwość.

- Wibracje uzależnionych często przybierają dziwną postać. Ale z mojego doświadczenia wynika, że ich aury przypominają raczej aury chorych psychicznie. Mnóstwo wyładowań i spięć. Wzór jest nieprzewidywalny, zwykle fale na ogół z nim nie rezonują, a jeśli nawet, nigdy nie trwa to długo.

- Ale to jest regularny wzór - odparła Grace. - Zaburzenia są konsekwentnie nieprzewidywalne.

- To brzmi jak oksymoron.

- Jak myślisz, po co Eubanks przywiózł tego łowcę? - spytała.

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego ja znalazłem się tu z tobą. Łowca jest ochroniarzem.

Łowca powiódł wzrokiem po holu, sprawdzając każdy kąt. Na chwilę zatrzymał wzrok na nich, po czym odwrócił głowę. W jego aurze nie było śladu niepokoju.

Grace się odprężyła.

- Nie zwrócił na nas uwagi.

- Jak sama zauważyłaś, nie jest zbyt bystry. Tak czy inaczej, wykonałaś swoje zadanie. Pora zabrać cię z tej wyspy.

Na samą myśl, że ma ją wysłać z powrotem do jakiegoś małego nadmorskiego miasteczka w stanie Oregon, ogarnął go smutek, ale przecież nie chciał też, żeby przebywała w pobliżu człowieka pokroju Eubanksa.

- Jeszcze nie skończyliśmy - zaprotestowała. - Potrzebujesz mojej pomocy, żeby stworzyć profil tego łowcy, na którego natknęliśmy się wczoraj wieczorem.

- Sytuacja się skomplikowała.

- Poradzę sobie z komplikacjami.

- Ale nie będziesz robić tego tutaj.

- Potrzebujesz partnera - upierała się Grace. - A tylko ja jestem pod ręką. Eubanks to wyjątkowo niebezpieczny człowiek, lecz ten łowca też.

- Wiem, że laska nie robi najlepszego wrażenia, ale naprawdę potrafię sobie poradzić w takich sytuacjach.

- Doskonale wiem, co potrafisz - odparła. - Widziałam cię w akcji wczoraj wieczorem. Ale ty nie

jesteś szalony.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Myślisz, że Eubanks jest?

- Myślę - odparła ostrożnie - że jest z nim coś nie tak, podobnie jak z jego ochroniarzem.

- Nierówne fale?

- Tak. Uważam, że powinieneś trzymać się od nich obu z daleka.

W pierwszej chwili jej wyraźny brak zaufania do jego możliwości wprowadził Luthera w przygnębienie.

Zaraz jednak uświadomił sobie, że Grace po prostu obawia się o jego bezpieczeństwo. Spójrz na to od jaśniejszej strony, pomyślał. Zależy jej na tobie na tyle, żeby się o ciebie martwić.

- Nic mi nie będzie - rzekł z przekonaniem i dodał: - Zamiast wracać do domu, mogłabyś polecieć do Honolulu i tam na mnie poczekać. Nie zabawię tu długo. Jak tylko zadzwonię do Fallona, on zorganizuje długoterminowy nadzór nad Eubanksem. Pokręcę się trochę, spróbuję namierzyć tego łowcę, a potem... Urwał, bo zdał sobie sprawę, że Grace go nie słucha. Nie patrzyła też już na Eubanksa, który odebrał klucz do pokoju i ruszył do windy wraz ze swoim ochroniarzem. Jej uwagę przyciągnęła kobieta, która właśnie wysiadała z białej limuzyny.

Ktoś na stanowisku, pomyślał, patrząc, jak władczo zaczęła dyrygować hotelową obsługą. Towarzyszył jej potężnie zbudowany mężczyzna w źle skrojonym garniturze. Kobieta zignorowała wieniec z kwiatów, tak jak wcześniej Eubanks, i szybkim krokiem podeszła do recepcji.

- Popatrz na nich - rzuciła Grace nerwowo.

- Patrzę. No i co?

- Popatrz na nich - powtórzyła z naciskiem.

- No dobrze. - Posłusznie wyostrzył zmysły.

Aura kobiety zdawała się płonąć lodowatym błękitem i szklistą zielenią.

- Biada temu, kto stanie jej na drodze do czegoś, czego akurat zapragnęła - mruknął. - Miałem kiedyś takiego kapitana. Zależało mu tylko na awansie. Dążył do niego po trupach.

- Wątpię, czy jego aura wyglądała tak jak ta.

Wtedy dostrzegł małe czarne błyskawice, które przecinały błękitno—zielone światło, zmieniając rytm jego pulsu. Zakłócenia, choć różniły się od tych, które widzieli wcześniej u Eubanksa i łowcy, były do nich bardzo podobne.

Luther spojrzał na towarzysza kobiety i zauważył u niego tę samą ciemną energię.

- Łowca - szepnęła Grace. - Niekompletny, jak ten poprzedni.

- Jeszcze jeden ochroniarz. To wyjaśnia tę fatalną marynarkę.

Ma gnata.

- Co?

- Rewolwer.

- No tak. - Grace pokiwała głową. - Oczywiście, że ma gnata.

Przed hotelem zatrzymał się kolejny samochód. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden z nich nadzorował hotelowych boyów, którzy wyjmowali z bagażnika kije golfowe, a drugi poszedł prosto do recepcji.

- Wybitny talent w dziedzinie rachunku prawdopodobieństwa i jego ochroniarz - oznajmiła Grace. - Te same ciemne wyładowania, co poprzednio.

- Co się tu dzieje, u diabła? Jeszcze nigdy nie widziałem takich dziwnych zakłóceń.

- Ja widziałam - powiedziała Grace cicho.

- Takie właśnie odniosłem wrażenie. - Luther sięgnął po laskę. - Coś mi się zdaje, że musimy porozmawiać.

Rozdział 14

Co się tu, u diabła, dzieje, i co ty o tym wiesz? - spytał zimnym głosem policjanta Luther. Grace miała dość jak na jeden dzień. Nie była w stanie opanować irytacji.

- Nie mów do mnie w ten sposób.

- W jaki sposób?

- Jakbym była podejrzaną którą przesłuchujesz na komisariacie. Patrzył na nią w milczeniu, jak czasem robią policjanci i psychiatrzy w nadziei, że człowiekowi puszcza nerwy i zacznie mówić. Stali w cieniu tego samego drzewa, pod którym skryli się poprzedniego wieczoru, gdy dotknął jej po raz pierwszy. Ale Grace nie myślała o wspomnieniu tamtej słodkiej chwili, lecz o śnie, który miała tej nocy. Śnie o Martinie Crockerze.

Skupiła się na oceanie, usiłując zebrać myśli. Luther ma prawo wiedzieć to co ona na temat dziwnej grupy, która właśnie pojawiła się w hotelu. Ale nie musi mu zdradzać wszystkich swoich sekretów.

Nie pierwszy raz będzie musiała okłamać policjanta. Wiedziała, że to

- Znałam kiedyś kogoś, kto miał podobne zakłócenia aury - powiedziała cicho.

- Mów dalej.

- Wiesz, byłoby lepiej, gdybyś grał rolę dobrego gliny, a nie złego.

- Mów, Grace.

- Te dziwne wyładowania, jak je nazywasz, pojawiły się u niego, gdy zaczął przyjmować pewien środek.

- Jaki środek? - Luther nawet nie drgnął, wiedziała jednak, że wyostrzył zmysły. Obserwował uważnie jej aurę, szukając oznak zdenerwowania, strachu czy gniewu, jakichkolwiek emocji, które mogłyby sygnalizować kłamstwo albo uniki. Niech patrzy, pomyślała.

Jeśli nawet się boję, co z tego? On też powinien się bać.

- Nie znam nazwy tego środka - odparła - ale jestem pewna, że był nielegalny i miał na niego bardzo dziwny wpływ. Rozwinął u niego nowy rodzaj uzdolnień, których z pewnością przedtem nie posiadał. Trudno to wyjaśnić, ale...

- Cholera - przerwał jej Luther. - Cień Nocy.

Odwróciła się do niego, wyostrowając zmysły. Aura Luthera płonęła chłodnym, kontrolowanym podnieceniem, zupełnie niewidocznym na jego twarzy. Czowała, że zaczął się nakręcać, nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Adrenalina.

- Co to jest Cień Nocy? - spytała. - Jakiś nowy narkotyk?

- Nie. To kryptonim, jakim Fallon określa niedawno powstałą organizację zbuntowanych członków Towarzystwa, którym udało się odtworzyć formułę założyciela.

- Formułę? - Grace była zdumiona. - Przecież to tylko legenda, która krąży w Towarzystwie.

- Już nie. Poszukiwanie członków Cienia Nocy i identyfikacja liderów poszczególnych grup tej organizacji jest teraz priorytetem J&J. Wszyscy w agencji o tym wiedzą.

- Nikt mi o tym nie powiedział.

- Prawdopodobnie dlatego, że Fallon traktuje cię jako pomoc doraźną. Ale coś mi mówi, że twój status w firmie wkrótce się zmieni. Co wiesz na temat Cienia Nocy?

Uważaj. Nie musisz mówić mu wszystkiego. Kogo ona chciała oszukać? Jej prywatna puszka Pandory właśnie została otwarta. Nie miało sensu wpychać zawartości z powrotem. Poczwała, jak włącza się jej instynkt samozachowawczy. Dokonała szybkiej oceny sytuacji i doszła do wniosku, że ma dwa wyjścia. Albo znowu zniknąć, co jednak byłoby ryzykowne, bo J&J zrobiłaby wszystko, żeby ją wytropić; albo włączyć się w sprawę Cienia Nocy. Byłoby to ryzykowne, ale przy zachowaniu najwyższej ostrożności może zdołałaby nie zdradzić tajemnic.

Podjęła decyzję i rozprostowała ramiona. Poda Lutherowi informacje, które mogą okazać się pomocne J&J, ale nie będzie odkrywać wszystkich kart. Uznała, że ma jeden wielki atut: J&J potrzebowała danych, których właśnie ona mogła dostarczyć. To dawało jej pewną przewagę w negocjacjach. Gdyby doszło do najgorszego, będzie mogła to wykorzystać.

- Mówiłam ci, że zanim trafiłam do Wydziału Genealogicznego, pracowałam w bibliotece wielkiej korporacji - powiedziała.

- W Crocker World.

- Zgadza się. Spędzałam tam wiele czasu, poszukując w Internecie informacji na zlecenie różnych członków zarządu, w tym samego pana Crockera. Kilka razy zostałam wezwana na posiedzenia zarządu, gdzie musiałam przedstawić wyniki swojej pracy.

- Martin Crocker zapraszał do swojego gabinetu bibliotekarkę? - w głosie Luthera pobrzmiwała nuta irytacji i zniecierpliwienia. Nie wierzył jej.

- Pan Crocker był talentem strategicznym, a ludzie tego pokroju chcą wiedzieć jak najwięcej. Im więcej znają faktów i szczegółów, zanim podejmą decyzję, tym lepiej. Szukałam dla niego informacji.

Była zadowolona ze sposobu, w jaki to ujęła. Wszystko, co powiedziała, było szczerą prawdą.

- Mów dalej - rzekł Luther.

- W ciągu tych lat, kiedy pracowałam w głównej siedzibie firmy w Miami, często widywałam pana Crockera.

To też było prawdą.

- Podczas wizyt w jego gabinecie - odparł Luther neutralnym tonem.

Cholera. Kupił to czy nie?

- Próbuję ci powiedzieć, że miałam wiele okazji, by przyjrzeć się jego aurze.

Znowu prawda.

- Dlaczego to robiłaś?

To pytanie na moment zbiło ją z pantafelów. No właśnie, dlaczego zwykłą bibliotekarkę miałyby interesować aura jej szefa?

- Pewnie dlatego - rzuciła swobodnie - że chodziło o Martina Crockera. W świecie, w którym się obracał, był prawdziwą gwiazdą. A ja pracowałam dla niego.

- Zakładam, że zrobiłaś jego profil?

Kiwnęła głową.

- To był skomplikowany człowiek. Owładnięty swoimi ideami.

- Podobał ci się?

- Nie w sensie, jaki masz na myśli - odparła, znowu zgodnie z prawdą. - Ale można powiedzieć, że go podziwiałam. Wszyscy w firmie podziwiali jego zdolności i umiejętności. W końcu Martin Crocker był człowiekiem, który zbudował imperium.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Podczas ostatnich miesięcy życia Crocker pracował nad pewnym poważnym projektem. Potrzebował wtedy wielu badań.

- A ty osobiście dostarczałaś mu ich wyniki.

- Tak. Przynosiłam mu je do gabinetu i zauważyłam, że w jego aurze zaszły pewne zmiany. Zaczęłam dostrzegać fale ciemnej energii. Początkowo były prawie niedostrzegalne, ale w miarę upływu czasu przybierały na sile.

- Co o tym wtedy myślałaś?

Grace ciasno skrzyżowała ręce na piersi.

- Przyszło mi do głowy, że rozwija się u niego jakaś choroba psychiczna. Coś w tej ciemnej energii, którą u niego dostrzegałam, śmiertelnie mnie przerażało.

Luther zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

- No, dobrze, przyznaję, że to dość niesamowite.

- Pewnego dnia zauważyłam dwóch mężczyzn wchodzących do gabinetu pana Crockera. Obaj emanowali złą energią. Ktoś obdarzony zdolnością odczytu aury nie mógł tego przeoczyć.

- Sprawdziłaś ich wzory.

- Oczywiście.

- I?

- I zobaczyłam w ich polach energetycznych te same dziwne wyładowania.

- Co zrobiłaś?

- Zaczęłam przygotowywać nowe CV. A co innego mogłam zrobić? Otarłam się w życiu o tylu niebezpiecznych świrów, że wiem, kiedy dać sobie spokój. Ale zanim znalazłam inną pracę, rozeszła się wieść, że pan Crocker zaginął podczas podróży na swoją prywatną wyspę. Pojawiło się mnóstwo spekulacji. Jeśli czytałeś wtedy gazety, to wiesz, że krążyły różne plotki i niektóre trafiły do prasy.

- Jakie plotki?

- Że Crocker prowadził jakieś ciemne interesy z baronami narkotykowymi i doszło między nimi do jakichś niesnasek. To wtedy doszłam do wniosku, że Crocker sam musiał brać narkotyki. To było lekkie naciągnięcie prawdy, lecz z pewnością nie kłamstwo.

- Więc podejrzewano, że jakiś narkotykowy boss się go pozbył?

- Tak, zresztą całkiem logicznie. W końcu Crocker World miało siedzibę w Miami.

Luther milczał dłuższą chwilę z nieprzeniknioną twarzą policjanta. Grace powtórzyła w myślach swoją historyjkę. Była zadowolona. Bajeczka brzmiała wiarygodnie, chociaż została wymyślona na poczekaniu. Oczywiście większość informacji była prawdziwa, w tym pogłoski o powiązaniach Crockera ze światem narkotyków.

Zaryzykowała, spojrzała na aurę Luthera i serce niemal stanęło jej w piersi. Uwierzył w niektóre fragmenty jej historii, ale nie we wszystko. Może nadszedł czas, by skorzystała z jednej z fałszywych tożsamości, które opracowała w ciągu ubiegłego roku na podstawie akt genealogicznych Towarzystwa, i znikła. Dobrze, że nie wzięła jeszcze psa. Mimo wszystko bardzo ją przygnębiła myśl o ponownym zniknięciu. Jedna noc z Lutherem i już zaczęła snuć marzenia o wspólnej szczęśliwej przyszłości. W końcu kto jak kto, ale ona powinna wiedzieć najlepiej, że to nie ma sensu.

- Zadzwoń do Fallona - powiedział Luther i sięgnął po komórkę.

Rozdział 15

Masz pod obserwacją trzech członków Cienia Nocy? - spytał Fallon. Jego głos wibrował podnieceniem. - I jednym z nich jest Eubanks?

- Trzech potencjalnych członków Cienia Nocy - sprostował Luther, starając się opanować własne podekscytowanie - i trzech ich ochroniarzy. W okolicy płacze się też niezidentyfikowany łowca, ten, na którego natknęliśmy się wczoraj wieczorem. Nie zapominaj o nim.

Wygląda to na jakiś zjazd parapsychicznych talentów.

- Mówisz, że ty i Grace jesteście w stanie zidentyfikować ludzi z Cienia Nocy na podstawie zmian w rytmach ich aury?

- Niezupełnie. Mówię tylko, że dostrzeżliśmy w ich polach dziwny rodzaj energii, a Grace twierdzi, że psychiczne aspekty ich profili nie mieszczą się w normie. Uważamy, że to wynik działania jakiegoś narkotyku. Na razie, tylko tyle wiemy na pewno.

- Każdy środek, który ma identyczny wpływ na uzdolnienia psychiczne kilku różnych osób, musi być oparty na formule założyciela.

- Zgadza się, to logiczne założenie. Może jednak istnieje inny środek, który daje podobne efekty?

- Wątpię w aż tak niesamowity zbieg okoliczności - odparł Fallon. - Nie, to jest Cień Nocy. Nie zapominaj, że Eubanks to szanowany członek Towarzystwa. A wszystkie dowody wskazują że do Cienia Nocy należą wysoko postawieni, wpływowi ludzie ze społeczności Arkane. Zapewne właśnie dlatego udało im się zdobyć tę formułę i dlatego ciągle wyprzedzają nas o pół kroku.

- Zaraz, zaraz. Chcesz powiedzieć, że Cień Nocy ma swoich ludzi w Towarzystwie?

- Tak. Co więcej, Zack Jones zgadza się ze mną w tej kwestii. Rozmawialiśmy o tym niemal codziennie, odkąd kilka tygodni temu został Mistrzem.

Fallonowi zdarzało się wyciągać pochopne wnioski, zwłaszcza jeśli pasowały do jego teorii, ale Zack Jones, nowy Mistrz Towarzystwa Arkane, był znacznie bardziej powściągliwy, wybitnie inteligentny i obdarzony niezwykłą intuicją. Jeśli podzielał zdanie Jonesa co do Cienia Nocy, istniało duże prawdopodobieństwo, że tym razem Fallon miał rację.

- W porządku - powiedział Luther. - Jest jednak jeszcze coś, nad czym warto się zastanowić. Grace widziała już kiedyś podobne fale.

- Cholera. Gdzie?

- W aurze swojego byłego szefa, Martina Crockera, i w aurach dwóch mężczyzn, z którymi robił interesy.

- Sukinsyn - mruknął Fallon. - Czyli Crocker należał do Cienia Nocy.

- Znowu wyciągasz pochopne wnioski.

- To mój zawód. Wiesz, miałem pewne podejrzenia co do Crockera. Był sławny i należał do Towarzystwa, więc przyglądałem mu się od czasu do czasu. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wplątał się w jakieś brudne interesy, ale przypuszczałem, że to handel bronią albo narkotyki.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogło chodzić o Cień Nocy.

- I co?

- Crocker zginął, zanim zdecydowałem, czy wszcząć dochodzenie w jego sprawie. Zdajesz sobie sprawę, co znaczy wasze odkrycie? Jeśli będziemy w stanie identyfikować ludzi z Cienia Nocy na podstawie wyglądu ich aury, da nam to ogromną przewagę. W Towarzystwie jest zarejestrowanych wiele osób z talentami tego rodzaju. Muszę zacząć wśród nich rekrutację.

- To nie będzie łatwe - ostrzegł Luther. - Grace uważa, że tylko wybitne jednostki są w stanie

dostrzec zakłócenia aury. Większość ludzi uzdolnionych w tym kierunku widzi w aurze tylko takie rzeczy, jak choroby i zaburzenia psychiczne.

- Więc ty i Grace musicie zostać na Maui i prowadzić obserwacje, dopóki nie przyślę tam moich ludzi.

- Ja mogę zostać - odparł Luther - ale Grace powinna jak najszybciej opuścić wyspę.

- Daj mi ją do telefonu.

- Ani myślę.

- Stałeś się bardzo uparty.

W tej chwili odezwała się komórka Grace. Zaskoczona, otworzyła torebkę.

- Prawdziwy z ciebie sukinsyn, Fallon - warknął Luther.

Grace odebrała telefon.

- Halo?

- Poczekaj - zwrócił się Fallon do Luthera. - Zaraz do ciebie wrócę. Luther przerwał połączenie.

- Och, witam, panie Jones - powiedziała Grace. - Sądziłam, że rozmawia pan z Lutherem. Tak. Tuż pod hotelem. Wyszliśmy tylko, żeby omówić sytuację. Co? Nie, ten łowca, którego spotkaliśmy wczoraj, nie miał takich zakłóceń w swojej aurze. Tak, jestem pewna, że występowały u pana Crockera. Kiedy widziałam go po raz ostatni? No cóż, muszę pomyśleć... Krótco przed jego zaginięciem. Przyniosłam mu raport z jakichś badań, a zaraz potem wyleciał na swoją wyspę.

Luther wyostrzył zmysły i przyglądał się aurze Grace.

- Jakie to były badania? - Zmarszczyła brwi. - Minął już ponad rok, ale pamiętam, że miały coś wspólnego z prośbą o sprzęt rolniczy, z którą zwróciła się do niego jakaś organizacja charytatywna działająca w krajach rozwijających się. Ci dwaj mężczyźni, których z nim widziałam i którzy mieli podobne zakłócenia aury, ponoć należeli do tej organizacji.

Przez chwilę Grace słuchała tego, co mówił Fallon.

- Oczywiście, panie Jones - powiedziała wreszcie. - Chętnie pomogę. Proszę dzwonić, jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś pytania.

Tak, proszę pana, powtórzę.

Zakończyła rozmowę, schowała telefon do torebki i spojrzała na Luthera.

- Nie wracasz dzisiaj do Eclipse Bay, prawda? - spytał.

- Pan Jones polecił mi zostać tutaj. Mamy natychmiast wrócić do hotelu i zorientować się, czy nie ma tam innych członków Cienia Nocy.

- A ty się zgodziłaś.

- Owszem.

- Nie podoba mi się to.

- Wiem, ale to moja decyzja.

- Dlaczego Fallon podejrzewa, że w hotelu jest więcej członków Cienia Nocy?

- Powiedział, że tam, gdzie jest kilka węży, może też być ich gniazdo.

- A jakie jest prawdopodobieństwo, że gromada ludzi z Cienia Nocy będzie się razem prowadzać po turystycznym kurorcie na Maui?

- Prawdę mówiąc, całkiem spore. Pan Jones zauważył, że Cień Nocy to organizacja, ma więc formalną strukturę, w której panuje ścisła hierarchia. Żadna zorganizowana grupa nie przetrwa, jeśli jej członkowie nie spotkają się od czasu do czasu twarzą w twarz. Dlaczego nie mieliby zorganizować konferencji zarządu na Maui? Firmy ubezpieczeniowe i farmaceutyczne ciągle

organizują takie spotkania. Napięcie w jej głosie ustąpiło miejsca podekscytowaniu. Luther zrozumiał, że został pokonany.

- Podoba ci się rola tajnej agentki, co? - spytał.

- W Eclipse Bay nie miałam ku temu okazji.

Podparł się laską i oderwał plecy od pnia drzewa.

- W porządku. Poobserwujemy przez dzień czy dwa gości hotelowych. Może zobaczymy coś ciekawego. Ale pamiętaj o zasadzie numer jeden.

- Obawiam się, że z tego wszystkiego całkiem wyleciała mi z głowy.

- Zasada numer jeden jest taka, że to ja wydaję tu rozkazy.

- Jestem twoją partnerką i specjalistką J&J, jedyną, jaką agencja w tej chwili dysponuje.

- Będiesz robić, co ci powiem, albo znajdziesz się na pokładzie samolotu, zanim zdążysz spakować walizkę, partnerko.

- Ale pan Jones powiedział, że...

- Fallona tu nie ma. Ja jestem.

Rozdział 16

Czytając maila od tajemniczego zleceniobiorcy, Damaris Kemble zacisnęła dłonie w pięści, by opanować ogarniające ją gniew i frustrację. Wiadomość brzmiała: „Wycofujemy się bez zwrotu środków, bo dotarła do nas informacja, że podała pani fałszywą tożsamość”.

- Cholera, cholera, cholera!

A więc zleceniobiorca dowiedział się, że tak naprawdę nie nosi nazwiska Winthrop. Zawiodła tatusia. Plan wydawał się idealny, prosty i zarazem śmiały. Ale się nie sprawdził. A czas uciekał. Eubanks i inni będą na Maui tylko kilka dni. Odsunęła się od komputera i podniosła słuchawkę telefonu. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Firma nie podejmie się tego zadania - powiedziała.

- Co poszło nie tak?

Głos po drugiej stronie, chłodny i opanowany, natychmiast podniósł ją na duchu.

- W jakiś sposób się dowiedzieli, że podałam fałszywe dane.

- Użyłaś właściwych kodów zabezpieczeń?

- Oczywiście. Właśnie je sprawdziłam. To te, które mi podałeś.

A jednak odkryli, że nie nazywam się Winthrop.

- Ciekawe. Kody musiały zostać niedawno zmienione. - Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza. - Najważniejsze, że nie uda im się powiązać tego z żadnym z nas. Firma uzna, że ktoś włamał się do systemu agencji rządowej i wykradł kody. Prawdopodobnie zawiadomi agencję, że podejrzewa przeciek. Ale ani agencja, ani firma nie będą miały powodu, by zajmować się J&J lub podejrzewać, że był w to zamieszany ktoś z Towarzystwa.

- Na pewno jesteśmy bezpieczni, tatusiu?

- Kochanie, planowałem to od dawna. Wiem, co robię. Co się stało, już się nie odstanie. Teraz musimy się skupić na kolejnym posunięciu. Mamy zaledwie trzy dni. To za mało, żeby szukać innego specjalisty. Nie mamy wyboru, trzeba uruchomić plan B.

Opadła na oparcie krzesła.

- Czuję, że to powiesz. Ostrzegłam cię, że to ryzykowne.

- Nic ci nie grozi, nie martw się.
- Boję się o ciebie, nie o siebie. Jeśli to się nie uda...
- Uda się.

Jego pewność siebie trochę ją uspokoiła. Ostatnio była bardzo nerwowa i w wielu sytuacjach reagowała przesadnie. Odkąd zaczęła przyjmować ten środek, kiepsko sypiała, a kiedy udało jej się zasnąć, często budziły ją dziwne koszmary. Tatuś wyjaśnił, że to tylko efekty uboczne narkotyku. Twierdził, że gdy formuła ukształtuje już jej talent, nerwowość ustąpi.

- Zadzwoń do niej - powiedział.
- Dobrze - odparła i zniżyła głos. - Kiedy znowu się zobaczymy?
- Przecież ustaliliśmy, że powinniśmy zrezygnować z bezpośrednich kontaktów, dopóki nie będzie po wszystkim.
- Wiem, ale minęły już całe tygodnie. Tyle lat nie wiedziałam nawet, że żyjesz, więc teraz chciałabym spędzać z tobą jak najwięcej czasu.
- Już niedługo, kochanie. Na razie muszę cię przede wszystkim chronić. Jesteś moją spadkobierczynią, ale środek musi zadziałać i w pełni rozwinąć twoje zdolności. No i powinnaś przejść dokładne przeszkolenie, zanim zaczniesz podejmować ryzyko. Jesteś przyszłością tej organizacji. Nie mogę cię narażać na niebezpieczeństwo.
- Rozumiem, tatusiu.

Właśnie to robią ojcowie, pomyślała. Troszczyć się o swoje córki.

- Nie martw się - powtórzył. - Po śmierci Eubanksa wszystko szybko się ułoży. Za kilka miesięcy będziemy mogli rozpocząć drugą fazę naszej operacji. A teraz idź i zadzwoń do niej.
- Dobrze. Tatusiu?
- Tak, skarbie?
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę. Czowała się zdecydowanie lepiej, jak zawsze po rozmowie z ojcem. Ale nie była zachwycona perspektywą uruchomienia planu B. Oznaczał bowiem kontakt z profesjonalnym, a do tego niezrównoważonym psychicznie zabójcą. Jej siostrą.

Rozdział 17

Nie musiała uderzać w klawisz, by zaśpiewać we właściwej tonacji. Była przecież La Sirene, obdarzoną doskonałym głosem. Bez niczyjej pomocy bezbłędnie wybrała nutę i rozpoczęła drugą arię Królowej Nocy. Luksusową salę ćwiczeń, o znakomitej akustyce, zaprojektował i wybudował jej obecny kochanek Newlin Guthrie, miliarder, który zbił majątek na oprogramowaniu komputerowym i nudnych elektronicznych gadżetach. Sala znajdowała się na drugim piętrze willi w stylu śródziemnomorskim, którą kupił dla niej krótko po tym, jak przyciągnęła go do siebie swoim syrenim śpiewem. Urocze palazzo stało na zboczu wzgórza nad zatoką w Sausalito, skąd roztaczał się niezwykle inspirujący widok na San Francisco.

Na kameralny występ na Maui wybrała trudne Der Holle Rache, a zrobiła to z dwóch powodów. Po pierwsze, było to dobre ćwiczenie do Czarodziejskiego fletu, w którym miała wkrótce wystąpić. Po drugie, doskonale odpowiadało jej niezwykłemu talentowi. Wysokie F, którego niemal żaden sopran nie jest w stanie zaśpiewać pełnym głosem, było jednym z kilku dźwięków pozwalających jej

wytwarzać i skupiać fale energetyczne wchodzące w reakcję z pewnymi kluczowymi funkcjami neurologicznymi ludzkiego mózgu. Kiedy wydawała ten dźwięk, pękało szkło. Umierali ludzie. Jeśli chcesz zabić człowieka, najlepiej nadaje się do tego pieśń, której pierwsze słowa brzmią: Zemsta piekieł wrze w mym sercu. Już dawno zauważyła, że repertuar na koncert - a zwłaszcza na jej prywatne recitale - musi być dobrany z wielką starannością. W sztuce najważniejszy jest wszak kontakt artysty z publicznością.

Nie planowała wyjazdu na Maui. Za tydzień miała śpiewać Królową Nocy na otwarciu nowej opery w Acacia Bay. Ta rola - którą dostała dzięki staraniom drogiego Newlina - była kluczowa dla jej powrotu na wielkie sceny. Od fatalnego wieczoru w La Scali, kiedy ośmielano się ją wygwizdać, jej kariera wyraźnie kulała.

Ale gdy zadzwoniła siostra, błagając ją o przysługę, nie potrafiła odmówić. W końcu Damaris była jej krewną, jedyną, jaką miała. Tatuś się nie liczył. Irytowało ją jednak, że ma tak mało czasu na spakowanie się przed podróżą. Poza tym wiedziała, że Damaris zależy na tym koncercie tylko ze względu na tatusia.

Ona gardziła ojcem, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd w życiu swoich córek. Nie rozumiała, dlaczego Damaris wręcz oszalała na punkcie człowieka, którego jedynym wkładem w ich życie było oddanie fiolki z nasieniem do banku spermy. Jeśli o nią chodzi, tatuś mógłby jutro zniknąć z powierzchni ziemi. Prawdę mówiąc, często wyobrażała sobie, że daje jeden ze swoich prywatnych koncertów specjalnie dla niego. Rzecz w tym, że Damaris na pewno domyśliłaby się przyczyny śmierci i dostałaby szału. Poza tym tatuś także był obdarzony talentem, i to talentem śmiertelnościami. Choć podróż na Maui stanowiła pewną niedogodność, perspektywa tej wyprawy zaczęła ją cieszyć. Po udanych koncertach zawsze czuła radość, której nie potrafiła osiągnąć w żaden inny sposób. Jeszcze wiele godzin później była pełna energii i siły. Nic jednak nie mogło się równać z oszalamiającą euforią, jaka ogarniała ją po specjalnych prywatnych występach. Wtedy wiedziała, co to znaczy być prawdziwą boginią. Czuła się nieśmiertelna i to uczucie utrzymywało się zwykle przez wiele dni.

Miała dwadzieścia trzy lata i właśnie rozpoczynała karierę, kiedy odkryła pełnię mocy swojego talentu. Matka zaplanowała jej przyszłość jeszcze przed poczęciem, starannie wybierając dawcę spermy - nie tylko ze względu na jego uzdolnienia psychiczne, ale i poziom energii. Szczegółowo przestudiowała złożone prawa dziedziczenia szczególnych talentów. Każdy jest obdarzony w pewnym stopniu jakimś talentem, ale na niższych poziomach skali - na tak zwanych normalnych poziomach - uzdolnienia przybierają zwykle formę intuicji, którą większość ludzi uznaje za coś naturalnego albo po prostu całkiem ignoruje.

Byli też jednak obdarzeni psychiczną mocą zbyt wielką, by można ją przeoczyć czy stłumić. Talent na poziomie piątym albo wyższym według skali Jonesa na ogół ograniczał się do jakiejś konkretnej zdolności. Nikt nie posiadał wybitnych uzdolnień w więcej niż jednym kierunku. Matka twierdziła, że w ten sposób natura nie dopuszcza do powstania rasy nadludzi.

Wiedziała, że pewne typy talentów, w tym mityczny dar syren, są cechami dominującymi i czasem mają związek z płcią. Wszystkie znane syreny w historii były kobietami, prawdopodobnie dlatego, że tylko kobiety są w stanie zaśpiewać pewne dźwięki: niemal surrealistycznie wysokie D, E, F, a nawet G, które mogą ukierunkować psychiczną energię. Nie wszystkie sopranów koloraturowe były syrenami, ale wszystkie prawdziwe syreny potrafiły zaśpiewać koloraturowy repertuar, pod warunkiem że otrzymały stosowne wykształcenie.

Matka poznała też inne prawo genetyki psychicznej: kiedy cecha dominująca, taka jak talent syreny, zostanie wzmocniona mocą talentu jakiegokolwiek innego typu, na świat przychodzi jeszcze wybitniejsza syrena. Właśnie tym prawem kierowała się przy wyborze dawcy spermy.

La Sirene rozpoczęła lekcje muzyki i śpiewu, jeszcze zanim nauczyła się chodzić.

- Będiesz sławniejsza niż Maria Callas - zapewniała ją matka. - Posiadasz moc, która zapewni ci najwspanialszy sopran twojego pokolenia, a może wszech czasów. Masz ten dar we krwi.

I rzeczywiście, La Sirene błyskawicznie zdobyła uznanie i sławę, choć po drodze musiała pokonać kilka przeszkód. Pierwszą napotkaną w dwudziestym trzecim roku życia, była młoda ambitna rywalka, która pojawiła się na pewnym ważnym przesłuchaniu i dostała rolę tytułową w Łucji z Lamermoor, choć było oczywiste, że z trudem wyciągała wysokie E w scenie szaleństwa, nie wspominając już o tym, by była w stanie zaśpiewać F tak jak La Sirene. Krążyły plotki, że to beztalencie sypiało z najbardziej wpływowym producentem, i stąd niesprawiedliwe rozstrzygnięcie.

La Sirene wiedziała już wtedy, że teoretycznie byłaby zdolna zabić swoim głosem człowieka. Matka powiedziała jej, że niektóre z jej przodkiń czasem to robiły. Nigdy jednak nie wierzyła w to do końca - aż do tego wieczoru, kiedy zdołała dopaść rywalkę za kulisami i zaśpiewać arię ze sceny szaleństwa tak, jak tylko ona potrafiła.

Na podstawie wyników autopsji za przyczynę śmierci uznano aneurizm. Straszna tragedia: śmierć młodej, obiecującej śpiewaczki u progu błyskotliwej kariery. Ale życie toczy się dalej, a premiera musi się odbyć. I się odbyła. Rolę Łucji zaśpiewała wschodząca gwiazda opery dysponująca niezwyklej sopranem koloraturowym, która wkrótce stała się znana jako La Sirene.

Teraz doszła do wniosku, że wyjazd na Maui może jej przynieść pewne korzyści. Zawsze śpiewała najlepiej tuż po prywatnych koncertach. Od czasu do czasu powinna zafundować sobie jakieś ekstremalne ćwiczenie, by jej głos pozostał bez skazy. A w Acacia Bay musi zaśpiewać perfekcyjnie.

Rozdział 18

Tego wieczoru Grace i Luther natknęli się na dziesięć osób z zakłóceniami aury. Pięć wyglądało na członków zarządu jakichś korporacji, pozostali, o nie do końca wykształconych aurach łowców - na ochroniarzy.

Siedzieli we dwoje przy barze i obserwowali całą grupkę. „Członkowie zarządu” zajmowali jeden stolik, a „ochroniarze” okupowali sąsiedni. Na tle opalonych, zrelaksowanych turystów sprawiali wrażenie sztywnych i spiętych.

- Wiesz, pomijając wybitne zdolności, działanie narkotyku i obecność ochroniarzy, jeśli chodzi o profile, oni właściwie się nie różnią od innych wysoko postawionych pracowników wielkich firm - powiedziała Grace. - Sądzę, że pan Jones ma rację. To chyba jakiś zjazd szefów Cienia Nocy.

- Nadal nie ma żadnego dowodu na to, że to Cień Nocy - odrzekł Luther. - Ale zgadzam się, że wyglądają na pracowników korporacji.

Ciekawe, jaką pozycję w ich hierarchii zajmuje Eubanks? Grace ponownie przyjrzała się austom.

- Mam wrażenie, że cała piątka pod względem pozycji w organizacji plasuje się mniej więcej jednakowo. Sądząc z nalepek na bagażach, czworo przyleciało z Zachodniego Wybrzeża, a jeden z Arizony.

- Fallon twierdzi, że Cień Nocy działa głównie na Zachodnim Wybrzeżu i w Arizonie - powiedział Luther. - Może to szefowie regionalnych komórek.

- To niewykluczone - odparła Grace. - Wyglądają na świetnych kumpli, ale pod powierzchnią czai się agresja.
 - Widzę - rzekł Luther. - Jeden drugiemu wbiłby nóż w plecy, gdyby tylko mógł na tym skorzystać. Cień Nocy to organizacja, w której panują okrutne prawa ewolucji. Tylko najsilniejsi i najbardziej bezwzględni docierają na szczyt.
 - Grace się wzdrygnęła.
 - Poziom potencjalnej przemocy wokół nich jest wysoki, ale najbardziej niepokoi mnie fakt, że u niektórych rozwijają się dodatkowe zdolności.
 - Sądziłem, że to niemożliwe.
 - No właśnie. Z badań genealogicznych wynika, że osoby obdarzone więcej niż jednym talentem zdarzają się niezwykle rzadko.
 - Wprawdzie na przestrzeni dziejów pojawiło się kilka wyjątków, ale wszystkie te osoby zapadły na choroby psychiczne i zmarły w młodym wieku. Miało to coś wspólnego z nadmierną stymulacją mózgu.
 - Więc u tych osób dodatkowe talenty rozwijają się dzięki temu środkowi chemicznemu.
 - Najwyraźniej - przyznała. - To samo widziałam w aurze Crockera, gdy zaczęła się w niej pojawiać ciemna energia.
 - Musimy zdobyć więcej informacji na temat Eubanksa i ustalić, jakie są jego powiązania z Cieniem Nocy.
 - Co proponujesz?
 - Zamierzam obejrzeć jego pokój, podczas gdy on jest zajęty tutaj. Grace zadrżała.
 - Nie podoba mi się ten pomysł.
 - Dlaczego? Przecież wiemy, gdzie on jest. Miej go na oku, a ja w tym czasie rozejrzę się po jego pokoju.
 - A jeśli Eubanks wyjdzie z baru? Jak cię o tym zawiadomię?
 - Zadzwoń na moją komórkę. Droga do pokoju zajmie mu jakieś pięć do ośmiu minut. Zdam wyjść, zanim on tam dotrze.
 - Pewnie cię nie przekonam, ale mam złe przeczucie co do tego planu.
 - Nie przekonałaś mnie - odparł Luther, wstając. - Zadzwoń, jeśli Eubanks wyjdzie z baru.
- Grace, świadoma, że nie zdoła go powstrzymać, skinęła głową. Patrzyła uważnie, ale nikt z obserwowanej grupy chyba nie zwrócił uwagi na fakt, że Luther opuścił bar. Czekwała więc, z komórką w dłoni.

Rozdział 19

Otworzył drzwi, korzystając z wygodnego gadżetu, w który Fallon Jones wyposażył wszystkich swoich agentów. Odruchowo wyostrzył zmysły i wszedł do środka. Nic nie wskazywało na to, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze - nic, poza nagłym błyskiem silnie rozpalonej aury. Łowca. Odwrócił się błyskawicznie w stronę zagrożenia. Silny cios wytrącił mu laskę z ręki. Upadł ciężko na podłogę i to go uratowało. Łowca siłą rozpędu runął na łóżko, ale poderwał się z niego natychmiast, jak odbita od podłogi piłka. Miał niesamowity refleks - znak rozpoznawczy talentów tego typu.

Luther, wiedząc, że nikt, kto nie został obdarzony podobnymi zdolnościami, nie zdoła pokonać łowcy

w walce wręcz, nawet nie próbował się podnieść. Zamiast tego skoncentrował się i aby obezwładnić przeciwnika, wysłał w jego stronę potężną falę energii.

Łowca zachwiał się i cofnął, dezorientowany. Usiadł na brzegu łóżka.

- Cholera - wymruczał. - Jak udało ci się to zrobić?

- Kim jesteś? - spytał Luther. Wstał powoli, nie przestając działać na łowcę energią. - Co tu robisz?

W pokoju panowała niemal całkowita ciemność, ale dla łowcy nie był to żaden problem. Wyostrzając zmysły, potrafił zobaczyć wszystko jak w świetle dnia. Luther nie widział nic poza aurą tego człowieka. To mu jednak wystarczało.

- Założę się, że obaj jesteśmy tu z tego samego powodu - odparł łowca. - Chcemy dowiedzieć się czegoś o Eubanksie.

- Na pewno nie pojawiłeś się, żeby go załatwić?

- Zmiana planów.

Łowca próbował wstać. Poruszał się bezszelestnie, ale jego aura lekko drgnęła.

- Nie ruszaj się - rzekł Luther, wysyłając w jego stronę dodatkową porcję energii.

Łowca opadł na brzeg łóżka, zbyt osłabiony, by utrzymać się na nogach.

- To naprawdę świetna sztuczka - powiedział. - Długo tak możesz? Musi strasznie wyczerpywać energetycznie.

Miał rację. Na unieruchomienie łowcy Luther musiał zużyć mnóstwo energii. Uznał, że nie musi się do tego przyznawać, ale sformułowanie, którego użył ten mężczyzna, dało mu do myślenia. Niewielu ludzi spoza Towarzystwa, nawet świadomych parapsychicznego aspektu swojej natury, tak by to ujęło.

- Należysz do Arkane? - spytał.

- Można powiedzieć, że mam to we krwi. A ty?

- J&J.

- No jasne. Nic dziwnego, że miała złe przeczucia co do tego zlecenia.

- Kto?

- Moja współpracownica. Wczoraj wieczorem poinformowała mnie, że ma wątpliwości co do klienta i całej tej cholernej sytuacji.

Rano odwołała zlecenie i kazała wracać. Ale ja po prostu musiałem rzucić okiem na pokój Eubanksa. Po tylu latach powinienem był zaufać jej intuicji.

- Kim jest ten klient?

- Nazywa się Winthrop. To kryptonim naszego klienta numer dwa. Podała fałszywą tożsamość.

- Winthrop jest kobietą?

- Nie. Prawdziwy Winthrop to mężczyzna. Jak mówiłem, moja współpracownica ma wybitny dar intuicji. Czują, że osoba, która się z nami skontaktowała, nie jest Winthropem.

- Domyślasz się, dlaczego Winthrop chciał usunąć Eubanksa?

- Dostaliśmy informację, że Eubanks zamordował dwie swoje żony i młodą kobietę, ale nie dlatego nam to zlecono. Winthrop twierdzi, że jest zamieszany w pranie brudnych pieniędzy dla jakiejś grupy finansującej terrorystów.

- Pracujesz dla rządu?

- Jestem wolnym strzelcem. Lista naszych klientów jest bardzo krótka. Jednym z nich jest pewna agencja rządowa. Właśnie w niej pracuje prawdziwy Winthrop.

Komórka w kieszeni Luthera zaczęła wibrować. Wyjął ją i spojrział na ekranik. Grace.

- Eubanks zaraz tu będzie - powiedział. - Jest z nim ochroniarz. Łowca.
 - Łowca wyczuje, że coś się tu dzieje.
 - Nie sądzę. Moja partnerka uważa, że ochroniarz nie jest pełnym łowcą. Brakuje mu niektórych zdolności, w tym zdolności wyczuwania aury przemocy.
 - W takim razie żaden z niego łowca. Cóż, dla mnie to wszystko.
- I bardzo dobrze. Mój pierwszy wnuk lada moment pojawi się na świecie. Rodzina już się zbiera, żeby uczcić tę chwilę. Może w końcu pozwolisz mi wstać?
- Jeszcze jedno - odparł Luther. - Masz jakiś dowód na swoją wersję wydarzeń?
 - Co byś powiedział na magiczne zaklęcie?
 - Jakie?
 - Przekaż Fallonowi pozdrowienia od Sweetwatera.
 - Znasz Fallona?
 - Mamy tylko dwóch klientów. Pierwszym jest J&J.

Rozdział 20

- W pokoju Eubanksa natknąłeś się na Harry'ego Sweetwatera? - Fallon był autentycznie wstrząśnięty, co zdarzało się niezwykle rzadko. - Sukinkot. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego spotkania?
- Cały czas to powtarzasz. - Luther dotarł do oszklonych drzwi balkonowych, zawrócił i ruszył z powrotem na drugi koniec apartamentu. Laska stuknęła głośno o podłogę. - A przecież właśnie ty powinieneś wiedzieć, jakie jest prawdopodobieństwo. To twoja działka, pamiętasz? Rachunek prawdopodobieństwa. Analiza danych. Wyciąganie wniosków. Popełniłeś poważny błąd, Fallon. Co się dzieje, do diabła? Zapomniałeś, że wysłałeś tu za Eubanksem profesjonalistę?
- Siedząca na kanapie Grace przyglądała mu się z troską. Zużył mnóstwo energii, by unieruchomić Sweetwatera, i teraz zaczynał odczuwać tego skutki. Adrenalina i inne hormony znikły z jego krwiobiegu. Drżał i było mu zimno. Nie znosił tego uczucia i był zły, że Grace jest świadkiem jego wyczerpania. Jakby nie dość było, że musiał podpierać się laską.
- Nie wysłałem Sweetwatera za Eubanksem - odparł Fallon.
 - Komu jeszcze poza J&J może zależeć na śmierci Eubanksa?
 - Kogoś, kto chce zająć jego stanowisko? - wtrąciła Grace.
 - Słyszałem - powiedział Fallon. - Dobra myśl. To prawdopodobne, biorąc pod uwagę, co wiemy o Cieniu Nocy. Panuje tam ostra rywalizacja.
- Luther zatrzymał się i spojrzał na Grace.
- Zdaniem współpracownicy Sweetwatera osoba podająca się za Winthrupa była kobietą. A prawdziwy Winthrup jest bez wątpienia mężczyzną.
 - Współpracownica Sweetwatera to jego żona - wyjaśnił Fallon.
 - Pewnie ma rację. Jest intuicjonistką na bardzo wysokim poziomie.
 - Nie mogę to uwierzyć. Żona współpracuje z nim przy zamachach?
 - To rodzinna firma - odparł Fallon. - Powstała niedługo po założeniu J&J i obie od początku współpracowały ze sobą. A wkrótce powinno się pojawić nowe pokolenie Sweetwaterów. Najstarszy syn Harry'ego niedawno się ożenił.
 - Wspomniał, że śpieszy się do domu w związku z narodzinami wnuka.
 - To bardzo zżyta rodzina.

- Wspólne zabijanie cementuje więzi? Grace tylko uniosła brwi.

- Myślę, że praca w rodzinnym biznesie mocno ich łączy - przyznał Fallon.

- A tak z ciekawości, jak często J&J korzysta z usług klanu Sweetwaterów?

- Jak najrzadziej, tylko kiedy nie ma innej możliwości. Zawsze staramy się zdobyć dowody, które zadowolą wymiar sprawiedliwości, przecież wiesz, pracowałeś przy wielu naszych sprawach. Czasami jednak musimy sobie poradzić z jednostką wybitnie uzdolnioną psychicznie, która zesłała na złą drogę i jest zbyt inteligentna albo po prostu zbyt potężna. Jak na przykład Cecil Ferguson.

- Kto to jest Ferguson?

- Hipnotyzer plasujący się na poziomie dziesiątym, który był też seryjnym zabójcą. Zamordował dwanaście osób, zanim zwróciliśmy na niego uwagę. I długo trwało, zanim w końcu zrozumieliśmy, że jest jednym z nas. Hipnotyzerzy na poziomie dziesiątym zdarzają się tak rzadko, że często się zastanawiałem, czy przypadkiem nie wzmacniał swoich uzdolnień za pomocą formuły.

- Cień Nocy?

- Może. Ale nigdy nie zdołaliśmy tego udowodnić. To było na początku naszych zmagania z Cieniem Nocy. Dopiero zaczynało do nas docierać, że mamy do czynienia z doskonale zorganizowaną strukturą przestępczą, a nie z jakimś zdegenerowanym naukowcem, któremu zachciało się zabawy w alchemika. Tak czy inaczej, wiedziałem, że nie możemy przekazać Fergusonowi policji, nawet gdybyśmy mieli niezbitą dowody. Każdy, kto znalazł się w odległości kilku metrów od niego, mógł zostać zahipnotyzowany. Ferguson po prostu wyszedłby z aresztu przez nikogo nie zatrzymywany.

- Więc wysłałeś za nim Sweetwatera.

- Który załatwił go z bezpiecznej odległości. Żeby było jasne, korzystam z usług Sweetwatera, kiedy naprawdę nie ma innego wyjścia i tylko za zgodą Rady i Mistrza. I z całą pewnością nie wysłaliśmy go na Maui.

- Ktokolwiek go tu przysłał, wiedział, jak podszyć się pod klienta numer dwa. Sweetwater mówił, że użyła wszystkich właściwych kodów.

- Interesujące - mruknął ponuro Fallon.

- No dobrze, a wracając do naszej sprawy, jak ci idzie organizacja długoterminowego nadzoru nad tymi ludźmi? Oni w każdej chwili mogą wyjechać.

Grace podniosła rękę.

- Ja mogłabym śledzić kogoś z nich - zaproponowała.

Luther posłał jej jedno ze swoich najgroźniejszych spojrzeń, ona jednak udawała, że tego nie widzi.

- To też słyszałem - odezwał się Fallon. - Niestety, Grace nie przeszła odpowiedniego przeszkolenia do takiej pracy. Luther uśmiechnął się do Grace.

- Fallon mówi, że brak ci przeszkolenia.

Skrzywiła się i opadła na poduszki.

- Pracuję nad tym - powiedział Fallon. - Za dwadzieścia cztery godziny będę miał pięciu agentów. Do tego czasu ty i Grace musicie mieć tę grupę na oku.

- Grace nie będzie tu dłużej potrzebna. Chcę, żeby wyjechała.

- Niewykluczone, że na Maui przyjedzie więcej członków Cienia Nocy - stwierdził Fallon.

- Mogę przekazać ci ich nazwiska.

- Tak, ale nie opracujesz ich profilów psychologicznych. A skoro o tym mowa, powiedz Grace, że dostałem profile, które zrobiła dziś po południu. Są bardzo dokładne.

W telefonie zapadła cisza. Luther spojrzął na Grace.

- Podobają mu się twoje profile.

Grace wyjaśniała.

- Tak się cieszę. Rozumiem, że nadal jesteśmy partnerami?

- Taa...

- Co za entuzjazm. Aż się człowiekowi robi cieplej na sercu. - Wstała, ujęła go pod ramię i pociągnęła w stronę sypialni. - Chodź. Musisz trochę odpocząć. Gonisz resztkami sił.

- Fakt. Powinienem się trochę zdrzemnąć. A ty miej wszystko na oku. Bądź czujna. Zamknij drzwi na klucz, nie wychodź z pokoju i nikogo tu nie wpuszczaj, nawet faceta, który uzupełnia zapasy w minibarze. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

Luther usiadł na łóżku i przez chwilę wpatrywał się w swoje buty. Sportowe, do biegania. Człowiek poruszający się o lasce nie potrzebuje butów do biegania, pomyślał. Właśnie zaczął się zastanawiać, czy ma dość siły, by je zzuć, kiedy Grace przyklękła obok niego z pochyloną głową. Jej ciemne włosy lśniły w miękkim świetle. Patrzył, jak rozwiązywała sznurówki.

- To paradoksalne, że jedynym przykładem idealnej rodziny, jaki spotkaliśmy podczas tej podróży, jest klan zawodowych zabójców, nie sądzisz? - spytał.

- Rodzina to rodzina - odparła.

Rozdział 21

Obudził się, wyczuwając obecność Grace. Nie musiał otwierać oczu, żeby ją zobaczyć. Był pewny, że ilekroć ona znajdzie się w pobliżu, on będzie o tym wiedział. Przekonanie, że zna ją od zawsze, którego nabrał w chwili, gdy zobaczył Grace na lotnisku, jeszcze przybrało na sile, kiedy po raz pierwszy zadrżała w jego ramionach poprzedniej nocy, a potem rankiem, kiedy miał wrażenie, że ich aury na kilka nieskończenie długich chwil stały się jednością.

Do diabła, może Grace ma rację. Może rzeczywiście jest romantykiem.

- Obudziłeś się - powiedziała miękko. - Jak się czujesz?

Otworzył oczy i oparł się na łokciu. Grace stała przy drzwiach balkonowych. Zastony były rozsunięte, wpuszczając do pokoju poranne słońce.

Zauważył, że ma na sobie to samo ubranie, co wczoraj. Wydawała się dziwnie napięta i czujna. Natychmiast rozpoznał to napięcie. Sam wiele razy doświadczał go po bezsennych nocach.

- Dobrze - odparł, przyglądając się jej uważnie. - Ale ty wyglądasz, jakbyś wcale się nie kładła.

- Spałeś bardzo głęboko. Uznałam, że w tych okolicznościach przynajmniej jedno z nas powinno czuwać.

Opuścił stopy na podłogę.

- Innymi słowy, bałaś się, że nie byłbym w stanie zrobić tego, co do mnie należy, czyli obronić nas, gdyby ktoś się tu włamał.

- Jesteśmy drużyną prawda?

Potarł kark dłonią. Czuł silną więź z tą kobietą, ale to nie znaczyło, że nie mogła go wkurzyć.

- Żeby wszystko było jasne - rzucił sztywno - potrafię znosić efekty uboczne mojej pracy.

- Nie wątpię. Pomyślałam po prostu, że lepiej zachować ostrożność.

- Obudziłbym się, gdyby ktoś tu wszedł. Zaufaj mi.

- Zawsze rano jesteś taki gderliwy? - spytała raczej z ciekawością niż pretensją.

- Nie, tylko kiedy się okazuje, że klientka, którą miałem chronić, uznała, że ochrona przyda się mnie.
- Ja nie jestem twoją klientką, tylko partnerką. - Jestem tu, żeby robić, co do mnie należy.
- Zrobiłeś to wczoraj wieczorem. Na litość boską, co za głupia rozmowa. Może pójdziesz wziąć prysznic?

Zastanawiał się nad tym chwilę i uznał, że to niezły pomysł.

- A ty? - powiedział. - Może byś się trochę przespała?

- Zdrzemnęłam się na fotelu.

- Nie musiałaś całą noc czuwać nad moim snem.

- Zdarzało mi się już nie przespać nocy. Nic mi nie będzie. A teraz idź wziąć prysznic.

Luther chwycił laskę, wstał i zorientował się, że nadal ma na sobie koszulę i spodnie. Podniósł głowę i zobaczył swoje odbicie w lustrze. Ubranie było zmięte, pod oczami miał cienie i był nieogolony. Kiepsko. Nieprzyjemny widok. A w dodatku czuł głód, i to nie tylko w podstawowym znaczeniu tego słowa. Spojrzał na Grace, chcąc ocenić stopień jej zmęczenia.

- Wiesz - zaczął, gładząc dłońią szorstki podbródek - miły, wrażliwy facet pewnie nie spytałby kobiety, która nie spała całą noc, czy ma ochotę na wspólny prysznic.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Masz rację, miły, wrażliwy facet na pewno nie zaproponowałby wspólnego prysznica w takiej chwili.

Luther z rezygnacją pokiwał głową.

- Tak, wiem. Wyglądam trochę nieświeżo.

- Na litość boską, to nie ma nic wspólnego z twoim wyglądem - zachnęła się.

- A więc o co chodzi? - spytał zaskoczony.

- Przed chwilą się pokłóciliśmy - odparła. - Jeszcze parę minut temu na mnie burczałeś, a teraz mówisz o seksie, jakby nigdy nic.

- Nazywasz tę niewinną wymianę zdań kłótnią?

- A jak ty byś to określił? Myślał nad tym przez chwilę.

- To była rozmowa. Teraz się skończyła i zamierzam wziąć prysznic. Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty się do mnie przyłączyć, to wszystko.

- To była kłótnia.

- Przesadzasz. Prawdopodobnie dlatego, że jesteś spięta z powodu braku snu.

- Nie jestem spięta, a to była kłótnia.

- Wspólny prysznic na pewno pomógłby ci się rozluźnić.

Grace kilka razy otworzyła i zamknęła usta, a potem, zanim zdążył coś powiedzieć, chwyciła jedną z poduszek i cisnęła w jego głowę. Odrzucił poduszkę na bok.

- Wojna na poduszki. No, to rozumiem - powiedział, zbliżając się do niej. Pokój wypełniła silna energia.

Grace cofnęła się w stronę ściany.

- Jeśli sądzisz, że po naszej rozmowie mam ochotę na seks, lepiej to jeszcze przemyśl.

- Widzisz, w przypadku mężczyzn - Luther rzucił laskę na łóżko i oparł dłonie o ścianę, zamykając Grace między swoimi ramionami - seks ma niewiele wspólnego z myśleniem.

- To wiele wyjaśnia.

- Zawsze chętnie służę pomocą.

Pocałował ją w usta. Był to niespieszny, poranny pocałunek. Tak mężczyzna całuje kobietę, którą

wcześniej zadowolili i ma zamiar zadowolić ponownie. Tak całuje zdobywca. Ale Grace nie zareagowała jak uległa branka. Odpowiedziała mu pocałunkiem tak namiętym i gwałtownym, że nie ulegało wątpliwości, iż to ona postanowiła zdobyć jego.

- Dobrze - szepnął z ustami przy jej ustach. - Tak właśnie powinno być.

Odsunęła się lekko.

- To znaczy jak?

- Wyjaśnię ci to innym razem.

Rozchyliła miękkie wargi, a jej aura dostroiła się do jego pola energetycznego. Rozkoszował się faktem, że tak wiele ich łączy, czy była tego świadoma, czy nie.

Spędzili razem zaledwie czterdzieści osiem godzin, a on był pewny, że będzie jej pragnął, myślał o niej, tęsknił za nią do końca swoich dni, nawet gdyby nigdy więcej miał jej nie spotkać. Skąd się wzięła ta niezachwiana pewność?

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, bo Grace zaczęła rozpinąć pasek jego spodni. Kiedy poczuł, jak jej dłoń obejmuje jego męskość, leniwe poranne podniecenie buchnęło w górę jak płomień. W odpowiedzi zacisnęła palce mocniej.

Rozpiął jej bluzkę i odkrył, że musiała w nocy pozbyć się stanika. Był pewny, że wcześniej miała go na sobie. Położył ręce na jej piersiach. Dotyk małych, twardych brodawek podniecał go do nieprzytomności.

Zostawił bluzkę i zajął się spodniami. Kiedy w końcu zsunął je w dół, aż do kostek, Grace drżała, szeptała jego imię i przesuwiała rękami po całym jego ciele. Dotykała jego ud, torsu i ramion, jakby był jakimś rzadkim i niezwykle cennym dziełem sztuki.

- Cudownie - mówiła, okrywając pocałunkami jego ramiona. - Cudownie jest móc cię dotykać.

- Cudownie, że lubisz mnie dotykać - odparł, ujmując jej twarz w dłonie i lekko unosząc. - Ale myśl o tym, że mogłabyś dotykać tak kogoś innego, doprowadza mnie do szału.

- Jesteś jedynym mężczyzną, którego chcę w tej chwili dotykać.

- Niezupełnie to chciałem usłyszeć, ale możemy o tym porozmawiać innym razem.

- Nie rozumiem...

- Nieważne. Nie teraz.

Chwycił laskę, złapał Grace za nadgarstek i pociągnął za sobą w stronę wyłożonej marmurem łazienki. Tam zdjął z nich obojga resztę ubrań i odkręcił prysznic.

W strumieniach wody opadł na wbudowane w ścianę siedzisko i przyciągnął Grace do siebie w taki sposób, by mogła na nim usiąść. A potem kochali się w tym sztucznym wodospadzie do upadłego.

Cokolwiek się między nimi wydarzy, pomyślał, ona nigdy o mnie nie zapomni. Jakiś czas później, owinięta w biały ręcznik, stanęła przed zaparowanym lustrem. Drugi ręcznik okręciła na głowie niczym turban. Czowała się naładowana energią. Pełna życia. Kto potrzebuje ośmiu godzin snu?

Luther, z ręcznikiem zawiązanym wokół bioder, właśnie się golił. W zamglonym lustrze napotkała jego spojrzenie.

- To była kłótnia - powiedziała.

Uśmiechnął się szeroko.

- Powinniśmy kłócić się częściej.

Rozdział 22

Pokojówka nuciła coś pod nosem. Gdy ruszyła ze swoim wózkiem w głąb korytarza, Grace próbowała sobie przypomnieć, co to za melodia. Na pewno nie żadna z popularnych piosenek ani rockowych standardów. Była zbyt złożona i wyrafinowana. Czyżby aria z jakiejś opery? Grace zaczęła się zastanawiać, ile pokojówek nuci w pracy operowe kawałki. Ktoś tu najwyraźniej minął się z powołaniem. A może ta kobieta jest zawodową śpiewaczką, która za dnia dorabia sobie sprzątaniami.

Melodia odbijała się echem od ścian korytarza, coraz bardziej nieuchwytna i intrygująca. Muzyka to forma energii. Działa na wszystkie zmysły i całe spektrum aury. Dowody na potwierdzenie tej tezy można znaleźć wszędzie. Muzyka budzi namiętności, stymuluje nerwy, pobudza wydzielanie adrenaliny. Niektóre religie tak bardzo boją się jej mocy, że usiłują jej zakazać. Inne usiłują wykorzystać jej siłę w służbie swoich bogów. Muzyka może rzucić urok na tłumy, poderwać ludzi na nogi i kazać im rozładować energię w tańcu.

Muzyka może zmusić cię do koncentracji na czymś bardzo ważnym. Przypomnij sobie, co to za melodia. Grace przeszył dreszcz. Rozpoznanie melodii śpiewanej przez pokojówkę nagle wydało jej się bardzo ważne. Była kilka razy w operze. Rozbuchane emocje, które dominowały w librettach, przemawiały do niej głównie dlatego, że sama zawsze bardzo starannie panowała nad własnymi. Łatwość, z jaką wspaniałe operowe głosy docierały do najdalszych kątów teatru bez pomocy mikrofonów, nigdy nie przestawała jej zdumiewać. Nie stała się miłośniczką opery, bo brakowało jej prawdziwego umiłowania muzyki, ale fragment nucony przez pokojówkę słyszała kiedyś właśnie w operze. Była tego pewna.

Pragnienie, by odgadnąć tytuł arii, znikło równie szybko, jak się pojawiło. Poczula zimno na karku, a serce zabiło jej mocniej. Nagle, nie wiadomo dlaczego, ogarnęła ją panika. Rozpoznała ten objaw. To włączył się instynkt samozachowawczy. Uciekaj stąd. Muzyka jest formą energii. Uświadomiła sobie, że choć przed chwilą przeszła zaledwie metr od pokojówki, nie pamięta niczego, co jej dotyczyło, nawet koloru włosów, nie mówiąc już o rysach twarzy, sylwetce czy o wieku. Nie pamiętała nic poza własnym dojmującym pragnieniem, by skoncentrować się na nuconej przez tę kobietę melodii.

Grace zatrzymała się i odwróciła, ale pokojówka zniknęła za załomem korytarza. Zawahała się, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić. Resztę poranka miała dla siebie. Członkowie Cienia Nocy wraz z ochroniarzami wyjechali na pole golfowe godzinę temu. Luther pojechał za nimi, a jej kazał zostać w apartamencie albo w którymś z ogólnodostępnych hotelowych pomieszczeń.

Właśnie wracała do pokoju po kapelusz, którego zapomniała zabrać ze sobą na basen, kiedy natknęła się na śpiewającą pokojówkę. Pragnienie odgadnięcia tytułu tej melodii tak wytrąciło ją z równowagi, że przez chwilę nie pamiętała, po co właściwie szła do apartamentu. Coś tu było zdecydowanie nie tak.

Musi jeszcze raz przyjrzeć się tej kobiecie. Zawróciła i ruszyła za pokojówką w stronę, z której przyszła. Kiedy dotarła do rogu, znowu usłyszała jej głos, ale dobiegał z bardzo daleka. Znowu też ogarnęło ją pragnienie, by skupić się na melodii. Tym razem była na to przygotowana, więc odepchnęła je od siebie, spokojnie, ale stanowczo. Pragnienie znikło. Wyszła za róg i zobaczyła pokojówkę, która czekała na windę dla obsługi. Miała ciemne kręcone włosy, częściowo zakrywające profil, a jej oczy zasłaniały duże okulary przeciwsłoneczne. Poruszała się szybko i z wdziękiem. Wydawała się pełna entuzjazmu, jakby bardzo lubiła swoją pracę. Manewrowanie dużym, ciężkim wózkiem przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku.

Grace wyostrzyła zmysły. Aura pokojówki lśniła wspaniałym blaskiem, emanując falami nieznaną, ale bardzo silnej energii. Jednak stworzenie jej profilu psychologicznego okazało się bardzo skomplikowane. Coś tu było nie tak. Rytm energetyczny, chociaż nie wykazywał obecności zakłóceń charakterystycznych dla członków Cienia Nocy, wydawał się miejscami mocno zaburzony.

Pokojówka mogła lubić swoją pracę, ale na pewno miała poważne problemy ze zdrowiem psychicznym. I co z tego? - pomyślała Grace. Sama przez ponad rok nie była w stanie dotknąć innej ludzkiej istoty. Drzwi pokoju po drugiej stronie korytarza otworzyły się i stanęły w nich dwie osoby.

Pokojówka przestała nucić i zaczęła śpiewać. Jej głos, choć przyciszony, płynął korytarzem na skrzydłach energii. Każdy dźwięk był kryształowo czysty. Grace miała wrażenie, że nie dla niej jest przeznaczony ten koncert, ale z trudem oparła się pokusie chwytania płynących w powietrzu nut. Para minęła pokojówkę, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Wielu ludzi w podobnej sytuacji zignorowałoby pewnie hotelową sprzątaczkę, pomyślała Grace, ale nie sprzątaczkę, która potrafi tak śpiewać. Tymczasem twarze mężczyzny i kobiety nie wyrażały absolutnie nic.

Drzwi windy rozsunęły się i świetlna strzałka pokazała kierunek do góry. Pokojówka wepchnęła wózek do kabiny. Drzwi zamknęły się i śpiew ucichł. Para nadchodząca z przeciwnej strony wyraźnie się ożywiła. Kobieta zamrugła kilka razy, a potem spojrzała na swojego towarzysza.

- O jedenastej mam wizytę w spa - powiedziała. - Kiedy wracasz z golfa?

- Na pewno nie przed piątą - odparł mężczyzna.

- W takim razie po południu pójdę na zakupy.

Uprzejmie skinęli głowami w stronę Grace, minęli ją i poszli dalej korytarzem w kierunku wind dla gości. Grace zaczekała, aż zniknęli z pola widzenia, po czym otworzyła drzwi i weszła na klatkę schodową. Nad głową miała jeszcze dwie kondygnacje, piątą i szóstą. Ruszyła w górę betonowych schodów, zatrzymała się przed drzwiami i przez chwilę nasłuchiwała. Cisza. Ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Był pusty. Wbiegła na kolejne piętro i znowu zatrzymała się przed drzwiami. Tym razem wyczuła lekki, nagły puls muzyki, choć była ona prawie niedosłyszalna.

Pchnęła drzwi w ostatnim momencie - sprzątaczką właśnie wchodziła do pokoju na drugim końcu korytarza. Jej aura zdawała się płonąć żywym ogniem. Wózek zostawiła przed drzwiami i, wbrew hotelowej zasadzie, dokładnie je za sobą zamknęła. Grace spojrzała na numer pokoju, pod którym stała, i policzyła pozostałe drzwi. Serce zabiło jej mocniej. Sprzątaczką znikła w pokoju numer 604. W pokoju Eubanksa.

Panie Jones, jakie jest prawdopodobieństwo... Cokolwiek się tu działo, na pewno miało duże znaczenie. Pozostawało pytanie, co należało teraz zrobić. Luther by wiedział, ale go tu nie było. A dobry agent powinien umieć podejmować samodzielne decyzje.

W końcu to nic wielkiego podejść do drzwi, za którymi właśnie znikła sprzątaczką, i sprawdzić, czy to rzeczywiście numer 604. Gdyby nie poradziła sobie z czymś tak prostym, źle by to wróżyło jej przyszłości jako agentki J&J. Ruszyła swobodnym, lekkim krokiem - a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wygląda - trzymając w ręce kartę, jakby miała zamiar wejść do swojego pokoju. Na korytarzu nie było żadnych gości, ale w głębi pojawiła się druga sprzątaczką, pchająca przed sobą wózek. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju i lekko zapukała.

- Sprzątanie! - zawołała.

Grace uświadomiła sobie, że pierwsza pokojówka weszła do pokoju bez pukania, nie informując o swojej obecności, jakby była pewna, że w środku nikogo nie ma. Dotarła do pozostawionego wózka i spojrzała na numer pokoju: 604. Szła dalej, ale była pewna, że jako agentka J&J nie może spuszczać

niezwykłej pokojówki z oka. Powinna poczekać i pójść za nią, kiedy ta opuści pokój Eubanksa. W końcu była to misja śledcza.

Przed wszystkim jednak należało poinformować Luthera, że kobieta o wybitnych uzdolnieniach psychicznych - może należąca, a może nie należąca do hotelowej obsługi - właśnie weszła do pokoju jednego z członków Cienia Nocy.

Wyjęła komórkę i wystukała krótkiego SMS-a: „Do pokoju E. wszedł ktoś uzdolniony. Obserwuję”. Wrzuciła telefon z powrotem do torebki i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, w którym mogłaby poczekać na śpiewaczkę. Ale przed nią ciągnęły się tylko dwa rzędy drzwi po obu stronach korytarza. Miała dwie możliwości: wrócić tam, skąd przyszła, i schować się na klatce schodowej, albo ukryć się za rogiem na końcu korytarza i poczekać, aż drzwi pokoju 604 znowu się otworzą.

Wybrała klatkę schodową. Była bliżej. Minęła szybko apartament Eubanksa i była prawie przy drzwiach, kiedy wyczuła za sobą jakiś ruch. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła drugą pokojówkę, która zdecydowanym krokiem zmierzała do pokoju 604. Wyostrzyła zmysły i przyjrzała się aurze tej kobiety. Pokojówka nie należała do osób uzdolnionych, ale była wyraźnie zirytowana.

Obecność drugiego wózka na korytarzu z jakiegoś powodu jej się nie podobała. Może dlatego, że był to jej rejon. Grace nabrała głębokiego przekonania, że konfrontacja z kobietą, która właśnie weszła do pokoju 604, nie przyniesie pokojówce nic dobrego. Odruchowo ruszyła w jej stronę, ale kobieta zdążyła już zapukać, a potem, nie czekając na odpowiedź, włożyła swój klucz do zamka i pchnęła drzwi. W progu znieruchomiała.

Stała i w napięciu patrzyła w głąb pokoju, a wygląd jej aury odzwierciedlał silny niepokój. - Kim jesteś? - spytała. - To moje piętro, a ja nie prosiłam dzisiaj o dodatkową pomoc. Chyba jesteś tu nowa.

W pokoju rozległ się śpiew, dźwięczny i wibrujący tak mrocznym napięciem, że Grace miała wrażenie, iż zaraz ugnie się pod ciężarem własnego losu. Nieokiełznana siła niesiona czystym, hipnotyzującym sopranem koloraturowym runęła na korytarz.

Aura drugiej pokojówki zaczęła pulsować przerażeniem. Kobieta cofnęła się o krok i zaczęła się odwracać, jakby chciała rzucić się do ucieczki. Zamiast tego znieruchomiała, a potem, jakby pchana niewidzialną siłą, zaczęła się posuwać w głąb pokoju. Energia śpiewającego sopranu przeszywała na wskroś paranormalne spektrum zmysłów Grace. Czuła jej wciągającą moc, choć intuicja podpowiadała jej, że celem tego muzycznego ataku nie jest ona, lecz pokojówka.

Pokojówka wydawała się opętana tym śpiewem. Zrobiła kolejny krok w kierunku złowieszczonego wnętrza. Wkrótce w nim zniknie.

- Zaczekaj! - zawołała Grace, w nadziei, że jej rozkaz odbierze moc zaklęciu muzyki. - Stój! Nie wchodź tam!

Ale pokojówka nie zwróciła na nią uwagi. Jej aura nie pulsowała już normalnym rytmem. Grace dostrzegła w nim teraz poważne nieregularności. I przerażenie. Ta kobieta wiedziała, że zmierza ku swemu przeznaczeniu, ale nie potrafiła się zatrzymać.

Grace rzuciła się w jej stronę, maksymalnie wyostrzając zmysły. W przedpokoju muzyka nie była zbyt głośna, ale jej kontrolowana energia zdawała się wypełniać całą przestrzeń. Tego, co teraz zamierzała, Grace nie robiła od dawna. Nie zapomniiała jednak o reakcji zmysłów, która nieuchronnie ją czekała. Wiedziała, że to będzie bolało.

Przygotowała się na szok fizycznego kontaktu i chwyciła pokojówkę za ramię. Ze wszystkich sił

starala się odeprzeć energię przerażającej muzyki, osłaniając kobietę własną aurą. Jej ciało przeszły nagły ból. Cienki materiał fartuszka nie stanowił żadnej ochrony. Grace zacisnęła zęby, ale nie puściła ramienia pokojówki.

Siłą rozpędu wypadły z przedpokoju na korytarz, a potem runęły na podłogę. Grace błyskawicznie przewróciła się na bok, chcąc się wydobyć spod nieruchomego ciała pokojówki. Dźwignęła się na kolana i spojrzała w stronę pokoju 604. Zasłony były zaciągnięte, więc wewnątrz tonęło w mroku.

Śpiewaczka stała przy łóżku, z otwartymi jeszcze ustami. Okulary przeciwsłoneczne, peruka i cień sprawiały, że nie sposób było dojrzeć jej twarzy. Ale Grace miała się na baczności. Widziała w aurze tej kobiety nakręcającą się spiralę gniewu. Pokojówka rozpoczęła kolejny fragment swojej strasznej pieśni.

Każdy dźwięk uderzał Grace siłą niewidzialnej eksplozji. Zaczęła tracić kontrolę nad zmysłami. Nie mogła oddychać. Serce waliło jej jak młotem. Korytarz zawirował wokół niej. Instynktownie wysłała całą swoją energię w stronę śpiewaczki. Korytarz znieruchomiał. Przestało jej się kręcić w głowie. Gniew w aurze śpiewaczki narastał, ale słabła siła jej muzyki.

Idealnie czysty dźwięk, który właśnie wydobywał się z jej krtani, załamał się nagle.

- Kim jesteś? - zaskrzeczała. - Jak śmiesz mi przerywać?

Grace z wysiłkiem podniosła się na nogi i stanęła nad bezwładnym ciałem pokojówki.

- Chciałaś ją zabić.

- Głupia kobieta, zasłużyła sobie na to. Przerwała mi.

- Ja też ci przerwałam - powiedziała Grace. - Masz zamiar mnie zabić?

- Tak.

To jedno słowo powinno być krzykiem, płynęło jednak przez mrok na chmurze ciemnej, doskonale kontrolowanej energii, która miała wciągnąć Grace do pokoju. Dźwięk był tak intensywny, że zadawał ból. Grace znowu poczuła, jak jej serce przyspiesza. Opierała się temu głosowi ze wszystkich sił. Widziała, że nie bez skutku. Śpiewaczka uderzyła w wyższe tony, zapewne po to, by zwalczyć opór. Wcześniej czy później zwróci na siebie czyjąś uwagę.

W jednym z sąsiednich pokoi na pewno ktoś jest. Nie wszyscy wybrali się do spa czy na pole golfowe. Ale nikt nie otworzył drzwi, nikt nie zapytał, co to za hałasy. Grace przyszła do głowy okropna myśl. Może ci, którzy słyszeli tę muzykę, uznali, że pochodzi z hotelowych głośników?

Doskonałość dźwięków dosłownie zapierała dech w piersi. Grace uświadomiła sobie z przerażeniem, że przestała oddychać. Jej płuca i głowę wypełnił ból agonii. Miała wrażenie, że tonie w niewidzialnym morzu. Oddychaj, nakazała sobie w myślach. Umrzesz, jeśli nie zaczniesz oddychać.

Nadludzkim wysiłkiem wykrzesala z siebie ostatnią iskierkę mocy. Działanie zabójczej pieśni znowu na chwilę osłabło. Ciągłe kręciło jej się w głowie, zdołała jednak wciągnąć w płuca powietrze, raz, a potem drugi. Nie miała siły, by wezwać pomoc. Była w stanie tylko oddychać. Ale tlen, który zasilił jej organizm, rozpałił w niej chęć do życia. Przeżyła śmierć matki, przetrwała rodziny zastępcze i ulice, poradziła sobie z Martinem Crockerem - na pewno nie po to, by dać się zabić jakiejś diwie operowej.

Skoncentrowała się z trudem. W aurze śpiewaczki wyraźnie dostrzegała nieregularny puls energii. Ta kobieta była nie tylko obłąkana, znajdowała się też na krawędzi niepohamowanego gniewu. Opór Grace doprowadzał ją do wściekłości. Jeszcze trochę, pomyślała Grace. Musisz wytrzymać jeszcze trochę, inaczej zginiesz na tym korytarzu.

Zintensyfikowała opór, co przyniosło natychmiastowy rezultat. Aura śpiewaczki pociemniała i zaczęła dziko błyskać. Kobieta traciła panowanie nad sobą. Wkrótce straci też kontrolę nad głosem, pomyślała Grace. Czytała kiedyś, że zawodowe śpiewaczki uważają nadmiar emocji podczas występu za fatalny dla głosu. Z logicznego punktu widzenia wydawało się to oczywiste. Zapanowanie nad głosem przy gardle ściśniętym przez smutek, złość albo strach jest trudne, jeśli nie całkiem niemożliwe.

Grace zdała sobie sprawę, że ma ten sam problem. Jeśli nie opanuje paniki, straci kontrolę nad tym, co robi. Musiała zacząć myśleć o czymś innym niż bliska śmierć. Luther. Imię może mieć wielką moc, jeśli nosząca je osoba jest kimś bliskim. Siła, która wstąpiła w nią w tym momencie, dowodziła wyraźnie, że on był dla niej bardzo ważny.

Śpiewaczka zaczęła krzyczeć, ale nie był to zwykły krzyk strachu, lecz intensywny, wibrujący wrzask wściekłości. Nieprawdopodobnie wysoki dźwięk brzmiał nierówno i fałszywie. Grace odkryła, że znowu może się poruszać. Instynktownie wetknęła palce do uszu. Muzyka i ból nieznacznie osłabły. A potem w korytarzu rozległ się inny dźwięk - daleki dzwonek zatrzymującej się windy.

Śpiewaczka także musiała go usłyszeć i zrozumieć, że na korytarzu zaraz pojawią się ludzie. Jej aurę ogarnął chaos. Drżąc z gniewu, rzuciła się na Grace z palcami zagiętymi na kształt ptasich szponów. Grace odskoczyła, odgrodziła się od niej wózkem i rozejrzała się za czymś, czego mogłaby użyć jako broni. Zaciśnęła dłoń na miotełce z piór.

Śpiewaczka próbowała zmienić kierunek, ale potknęła się o nieprzytomną pokojówkę i runęła na dywan. Grace pchnęła w jej stronę wózek, nie potoczył się jednak wystarczająco daleko. Śpiewaczka zataczając się, wstała. Otworzyła usta, ale z jej gardła wydostał się tylko zduszony charkot. Odwróciła się i spojrzała w stronę wind. Drzwi jednej z nich zaczęły się rozsuwać. Może zwyciężył rozsądek, a może instynkt samozachowawczy. Rzuciła się do ucieczki. Minęła Grace i po chwili znikła za rogiem.

Grace czekała, ściskając w ręce miotełkę, ale śpiew już się nie rozległ. Wzięła głęboki oddech i podeszła do leżącej pokojówki, która poruszyła się lekko. Na podłodze coś zachrząściło. Grace spojrzała w dół i zobaczyła lśniące odłamki szkła. Pękła jedna ze szklanek stojących na wózku. Nagle dotarło do niej, że drzwi pokoju 604 nadal są otwarte. Zamknęła je. Coś jej mówiło, że Fallon będzie chciał utrzymać to, co tu zaszło, w tajemnicy. Przykucnęła obok oszołomionej kobiety.

- Wszystko w porządku? - spytała łagodnie.

- Tak mi się zdaje. - Pokojówka spojrzała na nią nieprzytomnie.

- Czy ja zemdlalam?

- Tak. Proszę nie wstawać. Przy windzie jest interkom. Wezwę kierownika.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Jestem tylko trochę zmęczona, to wszystko. To był długi dzień.

- Na pewno.

Pokojówce nic nie będzie. Jej aura wróciła do normalnego stanu. Grace odruchowo wyciągnęła rękę, by poklepać kobietę po ramieniu. Ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, jak paliła ją dłoń, kiedy starała się odciągnąć pokojówkę od drzwi. Ból minął, nie miała jednak odwagi dotknąć jej ponownie. Minie wiele dni, może nawet tygodni, zanim zdoła ujarzmić ten lęk.

Wróciła do punktu wyjścia.

- Cholera - szepnęła. - Cholera, cholera, cholera. Wyprostowała się i ruszyła korytarzem w stronę telefonu.

Rozdział 23

Kiedy wrócił Luther, Grace siedziała skulona na sofie, a na stoliku przed nią leżał otwarty laptop. Luther wszedł do pokoju krokiem Władcy Podziemnego Świata - mocno wkurzonego Władcy. Natychmiast ruszył w jej stronę, podkreślając każde swoje słowo stuknięciem laski.

- Co - stuk - ty - stuk - do - stuk - diabła - stuk - wyrabiasz? Stuk.

- Nie dotykaj mnie. - Grace zerwała się z kanapy i cofnęła w stronę otwartych drzwi balkonowych, kryjąc dłonie pod pachami. - Mówię poważnie. Nie dotykaj mnie, proszę. Luther stanął jak wryty.

- Myślisz, że mógłbym cię uderzyć? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie - odparła. - Oczywiście, że nie. Chodzi mi tylko o to, żebyś mnie nie dotykał. To znowu ta nadwrażliwość.

- Cholera. - Nie wydawał się mniej zły, ale smutek znikł z jego twarzy. - W porządku, opowiedz mi, co się stało.

Przedstawiła mu profesjonalny - taką przynajmniej miała nadzieję - raport z przebiegu wypadków. Sądziła, że Luther wyciągnie telefon i zadzwoni do Fallona Jonesa, on jednak stał nieruchomo, przyglądając jej się z irytującą uwagą.

- Ta sztuczka, z której skorzystałaś - odezwał się w końcu. - Mówisz, że już kiedyś to robiłaś?

- Kilka razy. - Grace rozłożyła ręce i spojrzała na swoje dłonie. - Po śmierci matki byłam w różnych rodzinach zastępczych. Potem przez jakiś czas żyłam na ulicy. A tam można spotkać mocno skrzywionych ludzi.

- Serio? - mruknął ironicznie.

Postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- Niektórzy to jednostki uzdolnione psychicznie, które nauczyły się wykorzystywać swój talent do manipulowania innymi. Był wśród nich pewien alfons obdarzony wybitną charyzmą który uwodził młode dziewczęta. Potrafił sprawić, że zakochiwały się w nim bez pamięci i robiły dla niego wszystko.

- A on wysyłał je na ulice, żeby na niego zarabiałały - dorzucił Luther.

- Widzę, że ty także miałaś okazję spotkać szczury tego gatunku - powiedziała Grace.

- Owszem - odrzekł krótko.

- Często spędzałam wieczory z jego dziewczętami. Korzystałam z mojego daru, żeby im mówić, którzy klienci są bezpieczni, a których lepiej unikać. Pewnego dnia alfons odkrył, że dziewczęta odmawiają niektórym klientom. Był wściekły. Postanowił pobić jedną czy dwie, dla przykładu. Zorientowałam się, co planował, wiedziałam nawet, którą dziewczynę chciał pobić jako pierwszą. Najmłodszą i najnowszą. Byłam tam, kiedy po nią przyszedł. Była taka przerażona. A on wprost emanował przemocą. Kiedy chciał ją złapać, chwyciłam ją za ramię i otoczyłam własną aurą jak pancierzem. Ledwie jej dotknął, natychmiast się usmażył.

- Mogłabyś sprecyzować? - poprosił Luther. - Chcesz powiedzieć, że umarł?

- Nie - zaprzeczyła szybko, przerażona. - Nie zabiłam go, przysięgam.

- Nie przejąłbym się specjalnie, nawet gdybyś to zrobiła.

- No cóż, nie zrobiłam. Ale kiedy wszedł w kontakt z moją aurą, coś się stało. Jakby w jego polu energetycznym doszło do spięcia. Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem tylko, że przez kilka minut był nieprzytomny. Tak jak ta dziewczyna. Ale gdy doszła do siebie, była cała i zdrowa, tylko trochę roztrzęsiona.

- A ten alfons?

- Dla niego skończyło się to gorzej. Przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego. Był kompletnie rozbity. Jego talent został trwale uszkodzony. Cokolwiek się stało, miało wpływ nie tylko na jego dar, ale i na wszystko inne. Szybko wyniósł się z okolicy. A jakiś czas później usłyszałam, że wplątał się w handel narkotykami i został zamordowany.

- Mówiłaś, że stosowałaś tę sztuczkę kilka razy?

- Tak - przyznała. - Ta technika działa też na osoby normalne. W końcu każdy ma aurę. Ale ilekroć to robię, nie mogę później nikogo dotykać.

- Hm.

Czekała, ale Luther nie powiedział nic więcej, tylko stał przed nią, pogrążony w myślach.

- Co jest? - spytała niecierpliwie.

- Tak się zastanawiam... Myślisz, że osłabiłaś jej aurę?

- Nie. Była na to zbyt silna. Na szczęście, kiedy straciła panowanie nad sobą, przestała też kontrolować swoją moc. A potem uciekła, bo zobaczyła, że przyjechała winda.

- A co by się stało, gdyby nie uciekła?

- Nie wiem - odparła Grace. - Pewnie wszystko zależałoby od tego, która z nas okazałaby się silniejsza. Nie dokończyłyśmy pojedynku. Można powiedzieć, że był to remis.

- I nie chcę nawet słyszeć o dogrywce, rozumiano?

Wzdrygnęła się.

- Wierz mi, ja też nie mam na to najmniejszej ochoty. No dobrze, możesz zacząć krzyczeć.

Luther znowu dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- Nie krzyczysz - zauważyła.

- Nie zrozum mnie źle. Mam wielką ochotę krzyczeć.

- Ale?

- Ale uratowałaś życie tej pokojówce. Zrobiłaś to, co agent J&J powinien zrobić w takiej sytuacji.

Nagle poczuła się znacznie lepiej.

- Dzięki.

- Jesteś pewna, że nie mogę cię dotknąć? - zapytał. Grace zeszywniała.

- Przeżyłam poważny wstrząs. Minie wiele dni, może tygodni, zanim wszystko wróci do normy. - Krótka chwila zawodowej dumy dobiegła końca i Grace miała ochotę się rozplakać. - To takie okropne, bo dopiero co doszłam do siebie po ostatnim takim wypadku.

- Może dałabyś się namówić na eksperyment? Sama mówiłaś, że fakt, iż oboje jesteśmy uzdolnieni parapsychicznie, może mieć efekt ochronny.

Zawahała się.

- Dobrze.

- Ty spróbuj dotknąć mnie. W ten sposób będziesz miała nad wszystkim kontrolę.

Przez chwilę Grace stała bez ruchu. Jesteś agentką J&J. Podejmij ryzyko. Podeszła do Luthera i zatrzymała się w odległości metra od niego. Wyciągnął przed siebie rękę, dłońią do góry. Dotknęła jej ostrożnie koniuszkami palców. Żadnego wstrząsu, żadnego bólu. Zalała ją fala ulgi. Położyła dłoń na jego dłoni.

- Niesamowite - powiedziała, zdumiona. - Jeszcze nigdy nie byłam w stanie nikogo dotknąć tak szybko po silnym wstrząsie.

Chyba przez całe życie spotykałam się z niewłaściwymi facetami. Luther jęknął, chwycił ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie i namiętnie pocałował. Kiedy wypuścił ją z objęć, była lekko

zdyszana.

- Nigdy więcej mnie tak nie strasz - ostrzegł. - Ciągłe dochodzę do siebie po tej wiadomości, którą mi przysłałaś. Myślałem, że oszaleję ze strachu.

- Nazywają je syrenami, panie Jones - mówiła Grace do telefonu.

- To niezwykle rzadki dar. Dlatego nigdy pan o nich nie słyszał. W aktach Towarzystwa informacje o nich są tak skąpe, że wielu z nas w Genealogii uważa, że należą raczej do sfery legend niż rzeczywistości.

Znowu siedziała na kanapie, tak wyczerpana, że sama nie mogła uwierzyć, iż jest w stanie coś zrozumieć z danych na ekranie komputera, nie mówiąc już o przekazaniu informacji szefowi. Adrenalina ciągle wprawiała jej ciało w nerwowe drżenie. Minie sporo czasu, zanim uspokoi się na tyle, by móc zasnąć. Ale mogła dotykać Luthera. To był cud, który podnosił ją na duchu jak nic innego.

Stał teraz przy oknie, patrzył na migocący w słońcu ocean i słuchał jej rozmowy z Fallonem. Znowu był w nastroju, który zaczęła nazywać w myślach „zawodowym” - chłodny, opanowany i bardzo skupiony.

- Syreny? - spytał Fallon. - Co to jest? Jakiś rodzaju uzdolnień hipnotycznych?

- Ten dar ma pewien związek z hipnozą, ponieważ energia psychiczna jest przenoszona przez głos, muszą to jednak być bardzo wysokie, czyste dźwięki, które niewiele osób potrafi zaśpiewać. Poza tym, choć w każdym pokoleniu pojawia się sporo syren, tylko nieliczne posiadają moc, która pozwala im wygenerować fale zdolne zabijać.

- A co się dzieje z innymi? Dlaczego nie słyszeliśmy o syrenach, które nie są zabójcze?

Grace uśmiechnęła się słabo.

- Na pewno pan o nich słyszał, tylko pan o tym nie wie. To śpiewaczki operowe.

- Śpiewaczki? - powtórzył Fallon z niedowierzaniem.
- Oczywiście nie wszystkie są syrenami. Podejrzewam, że syreny zdarzają się najczęściej wśród sopranów koloraturowych. Ale w większości nie są świadome tego aspektu swojej natury. Chociaż nie, cofam to, co powiedziałam. Śpiewaczki słyną z rozbudzonego ego. Niektóre na pewno uważają swój talent za coś nadprzyrodzonego.

- Co przez to rozumiesz, do licha?

- Pewnie nieraz słyszał pan, że jakaś śpiewaczka ma „hipnotyzujący” głos. Historia zna wiele przypadków śpiewaczek, które były w stanie wprowadzić publiczność w rodzaj transu.

- Hm.

Grace skoncentrowała się na ekranie laptopa.

- Wysoki poziom talentu, konieczny do zaburzenia systemu nerwowego człowieka, pojawia się niemal wyłącznie u kobiet - przeczytała. - Tylko sopran koloraturowy może osiągnąć tak wysokie, zabójcze rejestry. Ten dar jest więc związany z głosem, ale także z seksualnością, stąd nazwa „syreny”.

- Śpiewaczki operowe są seksowne? - spytał Fallon, zdezorientowany.

- Cóż, niechętnie o tym mówię, ale śpiewacy jako grupa, niezależnie od płci, słyną z seksualnego uroku. Bogaci, wpływowi mężczyźni często nie potrafią im się oprzeć. Dotyczy to zwłaszcza sopranów. Proszę pomyśleć o Marii Callas i Arystotelesie Onassisie. Luther uniósł brwi. Grace uśmiechnęła się, że tego nie zauważyła.

- Mówiłaś, że ta śpiewaczka jest szalona? - dążył Fallon.

- To zależy od tego, jak się zdefiniuje szaleństwo. Jej aura wykazywała poważne zakłócenia, ale z drugiej strony, ta kobieta potrafiła opracować i zrealizować bardzo złożony plan. Jestem prawie pewna, że weszła do pokoju 604, by kogoś zaatakować, najprawdopodobniej Eubanksa.

- Myślisz, że chciała zaczekać na niego w pokoju?

- Tak.

- A jego ochroniarz?

- Może nie wiedziała, że Eubanks ma ochroniarza. A może zakładała, że z nim także sobie poradzi. Tak czy inaczej, pokojówka pokrzyżowała jej plany. Dlatego syrena była na nią wściekła. - Grace zadrżała lekko na wspomnienie tej sceny. - Przysięgam, ta kobieta zachowywała się jak operowa diwa, której przerwano występ.

- Ale próba zabicia pokojówki wydaje się nieco przesadzona - stwierdził Fallon. - Przecież mogła po prostu wyjaśnić, że jest nowa, czy coś w tym rodzaju.

- To śpiewaczka, w dodatku zaburzona psychicznie. Skłonność do przesady prawdopodobnie leży w jej naturze.

- Naprawdę uważasz, że to szkolona śpiewaczka?

- Nie mam co do tego wątpliwości. Założę się, że śpiewała kiedyś zawodowo. Może nadal to robi.

- I zaatakowała pokojówkę, bo ta przeszkodziła jej w występie?

- Wiem, że to dziwne sformułowanie. Ta syrena może być zaburzona, ale uważa się za gwiazdę. Proszę mi wierzyć, to wszystko jest zgodne z jej profilem.

- A pokojówka? Pamięta coś z tego, co się wydarzyło?

Grace znów spojrzała na ekran. Kłamstwo zawsze jest ryzykowne, a teraz, w stanie skrajnego wyczerpania, powinna być szczególnie ostrożna. Jak zwykle starała się wpleść w swoją historię tyle prawdy, ile tylko mogła.

- Niewiele - odparła. Prawda. - Jak już mówiłam, zemdląca, kiedy syrena zaczęła śpiewać. - Nie do końca prawda. To ja sprawiłam, że straciła przytomność, nie ta śpiewaczka. - Kiedy się ocknęła, nic jej nie dolegało. Sprawdziłam jej aurę i stwierdziłam, że wygląda normalnie. - Prawda. - Pamiętała tylko, że szła korytarzem, żeby zobaczyć, dlaczego inna pokojówka sprząta w 604.

- Co jej powiedziałaś? - chciał wiedzieć Fallon.

- Że widziałam, jak upadła, i podeszłam sprawdzić, co się stało.

- Właśnie takie kłamstwa lubię. Masz predyspozycje do tej pracy, Grace.

Mimo zmęczenia Grace wyprostowała się z dumą.

- Dziękuję.

- Rozumiem, że nikt nie wezwał hotelowej ochrony? - spytał Fallon.

- Zgadza się. Pokojówka i jej przełożona założyły, że doszło do pomyłki przy układaniu grafiku.

- Więc Eubanks o niczym się nie dowie - stwierdził Fallon z satysfakcją.

- Nie - przyznała Grace. - Luther przed chwilą sprawdził, co się z nim dzieje. Eubanks wrócił z golfa z resztą swojej grupy i poszedł prosto do pokoju. Chyba nic go nie zaniepokoiło, bo teraz jest na masażu.

- Co oznacza, że jego ochroniarz nie wyczuł w pokoju aury przemocy, która musiała się tam unosić.

- Jak już wspomniałam, ochroniarze nie mają wszystkich uzdolnień łowcy.

- To bez wątpienia wpływ tego narkotyku - orzekł Fallon. - Cholera, naprawdę jestem ciekaw, co będzie dalej.

Grace przypomniała sobie, że Fallon jest potomkiem wielu pokoleń łowców. Jego talent był wprawdzie nietypowy, ale poziom adrenaliny w jego organizmie podnosił się bardzo szybko.

- Ja też - wyznała.

- Możesz opisać tę śpiewaczkę?

- Niestety nie. Bardzo mi przykro. Kiedy wybiegła z pokoju zdałam sobie sprawę, że poza peruką i ciemnymi okularami ma też mocny makijaż. Wygląda na jakieś trzydzieści pięć lat. Jest wysoka i szczupła, ale poza tym niewiele mogę o niej powiedzieć.

- Szczupła? Sądziłem, że śpiewaczki operowe są raczej potężnej budowy.

- To stereotyp. Owszem, bywają śpiewaczki bardzo tęgie. Wiele z tych, które mają w repertuarze Wagnera, ubiera się w sklepach dla puszystych. Ale niektóre z najśłynniejszych sopranów są bardzo drobne.

- Jesteś pewna, że to był sopran?

Grace przypomniała się pęknięta szklanka.

- Tak. Sopran koloraturowy, czyli taki, który osiąga najwyższe rejestry. Nie jestem znawczynią opery, ale nawet ja zauważyłam, że doskonale panowała nad głosem przy bardzo wysokich dźwiękach. Przynajmniej do czasu, kiedy gniew nie wytrącił jej z równowagi.

- Widziałaś jej aurę. Chcę mieć jej pełny profil.

- Oczywiście. Wyślę go tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Ale chciałabym najpierw wszystko dokładnie przemyśleć. Muszę poszukać pewnych danych w aktach genealogicznych. Chodzi o bardzo rzadki dar.

- Nie ma czasu do stracenia - mruknął Fallon.

- Rozumiem, ale chcę zrobić to dobrze, a w tej chwili nie jestem w najlepszej formie.

- Rozumiem. Prześpij się i zadzwoń do mnie.

- Zadzwonię.

- I powiedz Malone'owi, że na wyspie są już wszyscy nasi ludzie. Przejmą obserwację tej piątki z Cienia Nocy. Wy możecie się już pakować.

Grace nie mogła opanować rozczarowania. Jej wspianiała przygoda jako agentki J&J dobiegała końca.

- Co teraz będzie? - spytała.

- Poza obserwacją ludzi z Cienia Nocy mam zamiar skontaktować się z Harrym Sweetwaterem.

- Po co?

- Syrena, na którą się natknęłaś, musi być profesjonalistką.

- Zawodową śpiewaczką?

- Nie, zawodową zabójczynią - sprostował Fallon. - Ktoś ją zatrudnił, żeby załatwiła członka Cienia Nocy, a Sweetwater zna swoją konkurencję. Jeśli szczęście mi dopisze, dostarczy jakieś informacje na jej temat. Na pewno nie ma wielu syren do wynajęcia.

Cholera, dziwne, że sam o niej dotąd nie słyszałem.

- Nie byłabym tego taka pewna. Zawodowy zabójca musi być... hm... zimnokrwisty, przynajmniej kiedy pracuje. - Nie mogła powiedzieć Fallonowi, że w poprzedniej pracy poznała kilku zawodowych zabójców dzięki kontaktom Martina Crockera z handlarzami bronią. - Ta syrena jest prawdziwą diwą. Kiedy przerwano jej występ, dostała ataku furii. A porywczy temperament i brak kontroli nad emocjami to nie są cechy pożądane u płatnego zabójcy.

- W każdym zawodzie zdarzają się różne osobowości - skwitował Fallon. - A teraz chciałbym porozmawiać z Malone'em.

Posłusznie podała telefon Lutherowi, który słuchał przez chwilę, a potem rzekł:

- Nie, nie wraca do Eclipse Bay. Przynajmniej na razie.

Zabieram ją ze sobą do domu. Grace od razu poprawił się humor.

- Dlaczego? - powiedział Luther.

- Dlatego, że ta cholerna syrena to wariatka. Jest wściekła na Grace. To może się przerodzić w formę obsesji. Nie, nie twierdzę, że będzie ją ścigać, ale nie chcę ryzykować.

Grace zostanie ze mną, dopóki nie odzujesz tej śpiewaczki i jej nie zneutralizujesz. Grace znowu posmutniała. Luther chciał zatrzymać ją przy sobie tylko dlatego, że obawiał się o jej bezpieczeństwo. Tak czy inaczej, nie miała zamiaru narzekać. Skorzysta z każdej wymówki, by zostać z nim jak najdłużej.

- Zadzwoń do mnie, jak tylko czegoś się dowiesz - zakończył Luther, a potem spojrzał na Grace.

- Wiem, że potrzebujesz snu - powiedział - ale będziesz musiała z tym trochę poczekać. Chcę, żebyś opuściła tę wyspę.

- Dobrze, pójdę się spakować. - Wstała z kanapy. - Ale chętnie napiłabym się kawy.

- Zamówię kawę do pokoju. Wypijesz ją w samochodzie, w drodze na lotnisko.

- W porządku.

- A kiedy będziesz ją piła, opowiesz mi, co się naprawdę stało rok temu - dodał spokojnie.

Grace, która już szła do łazienki, zmartwiała.

- Słucham?

- Przez cały rok nie mogłaś nikogo dotykać. Założę się, że incydent, który miał takie skutki, był bardziej dramatyczny niż to, co się stało dzisiaj. Mówiłaś, że tym razem powinnaś dojść do siebie po kilku tygodniach, więc na podstawie prostego równania matematycznego mogę się domyślać, że rok temu wydarzyło się coś znacznie gorszego.

- Zachowujesz się jak policjant - odezwała się drżącym głosem.
- Być może - przyznał. - Jeśli o mnie chodzi, możesz okłamywać Fallona, ale ja chcę znać prawdę. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie, więc musisz mi zaufać.

Rozdział 24

Kiedy wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę lotniska, Grace postanowiła powiedzieć Lutherowi prawdę. Nie dlatego, że była zbyt wyczerpana, aby dłużej się opierać. Po prostu nie chciała go okłamywać. Bała się określać więź, która ich połączyła, słowem „miłość”. Było na to za wcześnie, a ona nie miała wystarczającego doświadczenia, by móc od razu rozeznąć się w swoich uczuciach. Na pewno jednak pragnęła Lutherowi zaufać.

Zdjęła pokrywkę z kubka z kawą i spytała:

- Uważasz, że Jones domyśla się, że nie powiedziałam mu całej prawdy o tym, co dzisiaj zrobiłam?
- To niewykluczone - odparł Luther. - Fallon potrafi wyciągać wnioski, więc możemy założyć, że podejrzewa więcej, niż przypuszczasz.
- To dlaczego nic nie powiedział?
- Pewnie dlatego, że nie chciał. Nie jest zbyt komunikatywny.

Grace spuściła głowę.

- Cholera.
- Dziwię się, że nie powiedziałaś mu, jak potrafisz wykorzystać swój dar. Przecież skoro chcesz zostać prawdziwą agentką J&J, powinnaś chcieć zrobić wrażenie na swoim szefie.

Spojrzała na ciągnące się wzdłuż drogi pola trzciny cukrowej.

- Chyba z przyzwyczajenia - odparła. - Wiesz, jak to jest. Ty też nie chwalisz się swoimi zdolnościami.

- Co się stało rok temu? To musiało być coś dramatycznego.

Ktoś cię napadł?

- Tak. On próbował mnie zabić czymś w rodzaju błysku energii.
- Facet, który cię zaatakował, także był uzdolniony?
- Tak. Broniałem się, wykorzystując swój dar. Kiedy się zorientował, że nie zdoła mnie zabić za pomocą swojej energii, dostał szału i rzucił się na mnie. Moja aura była maksymalnie pobudzona. Kiedy mnie dotknął, coś się stało. Jakby energia, którą na mnie działał, odbiła się rykoszetem i uderzyła w niego. Zginął na miejscu. Luther milczał, a Grace czekała na pytanie, które musiało paść.

- Zaatakował się jakimś rodzajem energii psychicznej? - spytał wreszcie.

- Tak. Potrafił ją skupić i było to potwornie bolesne. Czułam, jak mnie zabija.

- Fallon mówił mi kiedyś, że jeden z jego agentów spotkał członka Cienia Nocy, który potrafił swoją energią doprowadzać ludzi do omdlenia. Zdarzyło się to w Stone Canyon w stanie Arizona. Tę zdolność wywołał środek chemiczny. Facet wstrzykiwał sobie formułę.

- Człowiek, który chciał mnie zabić, także przyjmował narkotyk - wyznała Grace. - Powiedział mi, że ten środek pozwala mu zabijać, nie zostawiając śladów.

Luther gwizdnął cicho.

- A niech mnie. Zabiłaś Martina Crockera, prawda?

- Tak.

- I nie pracowałaś w bibliotece?

- Byłam jego kamerdynerem.

- Żartujesz.

- Tak nazywało się moje stanowisko - wyjaśniła. - Nikt nie zwraca uwagi na służbę. W zaledwie kilku gazetach znalazły się wzmianki o tym, że zginęłam w tym samym wypadku. Jakbym nigdy nie istniała. Ale było mi to bardzo na rękę.

- O ile pamiętam, ekipa ratownicza znalazła łódź Crockera dryfującą na morzu. Jak udało ci się uciec?

Grace wzdrygnęła się na wspomnienie tych okropnych chwil i rozpaczliwej chęci przeżycia, która pozwoliła jej wyjść z tego cało.

- Ratownicy nie wiedzieli o czymś, o czym poza Crockerem wiedziałam tylko ja. Trzymał na swojej wysepce ponton, tak na wszelki wypadek. Zaczekałam do zapadnięcia zmroku, a potem wciągnęłam ciało Martina na jacht i popłynęłam w stronę lądu. W połowie drogi wrzuciłam ciało do wody, zostawiłam jacht i przesiadłam się do pontonu.

Luther chwycił Grace za rękę, którą mocno uściśnił, jakby chciał pokazać, że rozumie koszmar, jaki przeszła, i jej wolę życia. Ten uścisk dodał jej sił.

- Ponton nie był oznaczony, więc nikt nie mógł go powiązać z Martinem ani ze mną. Zostawiłam go przy brzegu, a następnego dnia wsiadłam do rejsowego samolotu i poleciałam do Miami, korzystając z fałszywych dokumentów.

- Miałaś ze sobą fałszywe dokumenty?

- Tak, i małą torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Jedno i drugie od jakiegoś czasu wszędzie ze sobą zabierałam. - Przelknęła ślinę. - Znałam Martina lepiej niż on sam siebie. Wiedziałam, że prędzej czy później będę potrzebowała dodatkowego ubrania oraz nowych dokumentów.

- Nie byłaś tylko kamerdynerem Crockera. Co jeszcze dla niego robiłaś?

- Analizowałam aury wszystkich ludzi, z którymi się kontaktował, i opracowywałam ich profile.

- Ideal ochroniarza.

- Wskazywałam mocne i słabe punkty jego przeciwników.

Mówiłam, komu może zaufać, i ostrzegałam go, jeśli ktoś przeciw niemu spiskował.

- Długo pracowaliście razem?

- Dwanaście lat.

- Byliście kochankami?

- Nie. Nie pociągaliśmy się w ten sposób. Nie byłam w jego typie. A wtedy na jachcie powiedział mi, że moje zdolności zawsze go trochę przerażały. Jeśli chodzi o mnie, od początku wiedziałam, że Martin nie jest zdolny do miłości ani do żadnego głębszego uczucia.

Ale byliśmy partnerami i w pewnym sensie przyjaciółmi. Ufałam mu, bo wiedziałam, że mnie potrzebował i był tego świadomy.

- Więc co się stało?

- Wszystko się zmieniło, kiedy zaczął przyjmować ten narkotyk.

- Dlaczego chciał cię zabić?

- Uznał, że już mnie nie potrzebuje. A że znałam jego tajemnice, postanowił się mnie pozbyć. - Pokręciła głową jakby nie przestawało jej to zdumiewać. - Naprawdę uwierzył w te brednie, których naopowiadali mu ludzie z Cienia Nocy, nawet w to, że ten środek przedłuży mu życie.

- A dlaczego wymyśliłaś tę historyjkę o pracy w bibliotece, kiedy zaczęłaś się ukrywać? Nie lepiej było się postarać o całkiem nową tożsamość, taką, która nie miałaby żadnych powiązań z Crockerem

World?

- Postąpiłam zgodnie z zasadą, że najlepsze kłamstwa to takie, które zawierają choć trochę prawdy. Poza tym wiedziałam o Crocker World wszystko, także to, jak wejść do systemu danych osobowych personelu i stworzyć wiarygodne akta. I udało mi się. J&J nie miała żadnych zastrzeżeń do moich referencji. Luther się uśmiechnął.

- Jeśli Fallon odkryje kiedyś prawdę, dostanie ataku duszności.

Grace spojrzała na niego z niepokojem.

- Masz zamiar mu o tym powiedzieć?

- Nie.

- Tak myślałam - mruknęła i upiła kolejny łyk kawy.

- Co naprawdę wydarzyło się tego dnia, kiedy zniknęli Martin Crocker i jego kamerdyner?

Opowiedziała mu wszystko. Kiedy skończyła, Luther milczał dłuższą chwilę.

- Wierzysz mi? - spytała w końcu, nie mogąc znieść napięcia.

- Tak.

Przyjrzała się jego aurze i upewniła, że mówił szczerze.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Skoro bałaś się, że ktoś kiedyś może odkryć, kto zabił Crockera, dlaczego starałaś się o pracę w Towarzystwie? Przecież musiałaś wiedzieć, że wśród ludzi obdarzonych różnymi zdolnościami psychicznymi codziennie będziesz ryzykowała, że ktoś odkryje twoją tajemnicę.

- Nie wiedziałam, czy ludzie, którzy omotali Martina, nie nabiorą podejrzeń i nie zaczną mnie szukać. Crocker powiedział mi kiedyś, że organizacja, którą ty nazywasz Cieniem Nocy, to grupa uzdolnionych psychicznie renegatów. Uznałam więc, że będą starali trzymać się jak najdalej od społeczności Arkane.

- I ukryłaś się w sercu Towarzystwa. - Luther uśmiechnął się delikatnie. - Trzeba przyznać, że nie brak ci odwagi.

- Był jeszcze jeden powód, dla którego złożyłam podanie o pracę w Wydziale Genealogii - wyznała.

- Zawsze słyszałam, że gdy człowiek wpadnie w prawdziwe kłopoty, chce wrócić do domu.

- No i?

- Dla mnie Towarzystwo jest jak rodzina.

Rozdział 25

To było nie do zniesienia. La Sirene chodziła tam i z powrotem po apartamencie, gotując się ze złości. Pragnienie Królowej Nocy, by wyrzucić zemstę na Sarastrze, było niczym w porównaniu z tą palącą żądzą odwetu na dziwce, której w jakiś sposób udało się oprzeć sile głosu. Ta głupia kobieta powinna była umrzeć, tak jak wszyscy inni do tej pory. Dlaczego więc tak się nie stało?

Czas, pomyślała. Miała za mało czasu, by skończyć występ. Jeszcze chwila i byłoby po wszystkim. Gdyby tylko nie przyjechała ta cholerna winda. Zacisnęła dłonie w pięści. Ciągle nie mogła uwierzyć, że jej plan spełził na niczym. Głupia pokojówka była całkowicie pod jej kontrolą. Gwałtowne, potężne frazy arii Ja jestem żoną Mao Tsetunga, koloraturowego kredo z Nixona w Chinach Johna Adamsa, działały bezbłędnie, przyciągając tę kobietę na spotkanie przeznaczenia. Głos brzmiał nieskazitelnie. Wplotła w niego tyle energii, że stał się śmiertelnie silną. Pokojówka nie była w stanie mu się oprzeć. Nikt nie powinien był mu się oprzeć.

Nagle ogarnął ją strach. Przecież z głosem wszystko było w porządku. Incydent, który miał miejsce w La Scali dwa lata temu, był po prostu wypadkiem przy pracy, niczym więcej. Owszem, została wygwizdana, ale prędzej czy później każdy, kto coś znaczy w świecie opery, zostanie wygwizdany w La Scali. Dla śpiewaka operowego to niemal rytuał przejścia. A jeśli naprawdę zabrakło jej siły przy wysokim F?

Następny sezon też nie należał do udanych. W Seattle miała problemy z partią Łucji, a ten cholerny krytyk musiał to zauważyć. Ale wtedy śpiewała mimo początków grypy. Przecież każdy ma czasem gorszy dzień. Tak, niejedna słynna sopranistka obudziła się pewnego ranka, by odkryć, że po prostu straciła głos. Znowu przebiegł ją dreszcz. Lekarze zapewniali, że z jej strunami głosowymi nie dzieje się nic złego, ale oni nie mieli pojęcia o parapsychofizycznym aspekcie jej natury, nierozzerwalnie związanym ze śpiewem. A jeśli tu tkwi problem? Jeśli to, co zawsze budziło jej największy lęk, stało się rzeczywistością? Jeśli straciła talent syreny?

Nieosiągalne. Jest na to zbyt młoda, ma zaledwie trzydzieści pięć lat. Trudno jednak było nie zauważyć, że jej kariera przechodziła załamanie. Oczywiście z winy byłego agenta. Błędy tego durnia kosztowały ją kilka ważnych angażów. Uwierzył w krążące o niej plotki, nie miała więc wyboru. Zwolnił ją w trybie natychmiastowym, podczas jednego ze swoich prywatnych recitali.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, było idealne wysokie G w Popoli di Tessaglia Mozarta. Miała nadzieję, że przed śmiercią zdążył się zachwycić jej niezrównaną wokalizą. Tak, z nią wszystko jest w porządku, miała tylko pecha i kiepskiego agenta. Ale to się zmieni, kiedy zaśpiewa partię Królowej Nocy w Czarodziejskim flecie wystawianym w Acacia Bay. Nie jest to, rzecz jasna, Metropolitan Opera, lecz Guthrie Hall to prawdziwy klejnot wśród mniejszych teatrów, w dodatku położony w pobliżu Los Angeles. Jak zauważył drogi Newlin, istniała spora szansa, że na premierze pojawi się kilku wpływowych krytyków. Będą się mogli osobiście przekonać, że La Sirene wróciła, wspanialsza niż kiedykolwiek.

Najlepsi projektanci mody znowu ustawią się w kolejce, by zaoferować jej swoje stroje i biżuterię. Znowu będzie rozdawać autografy, jak za dawnych czasów. Dostanie propozycje z najlepszych teatrów świata na trzy lata do przodu... Tę świetlaną wizję przerwał dzwonek telefonu. Spojrzała na ekranik i skrzywiła się lekko. Ostatnią osobą, z którą miała ochotę teraz rozmawiać, była jej siostra. Westchnęła i otworzyła komórkę.

- Witaj, Damaris.

- Co się dzieje? Czemu nie dzwoniłaś? Czy coś się stało?

- Uspokój się, wszystko w porządku. Doszło do małego wypadku przy pracy, kiedy poszłam do pokoju Eubanksa dzisiaj popołudniu, ale to nic...

- Co się stało? - W głosie Damaris zabrzmiała nuta paniki.

- Spokojnie. Użyłam urządzenia, które dostarczył tatuś, żeby wejść do apartamentu, tak jak planowaliśmy. Chciałam poczekać tam na Eubanksa i jego ochroniarza. Przygotowywałam się właśnie do występu, kiedy przeszkodziła mi jedna z hotelowych pokojówek. Wiesz, jak nie cierpię, kiedy ktoś przerywa mi ćwiczenia.

- Co zrobiłaś? - jęknęła Damaris. - Proszę, nie mów, że ją zabiłaś.

- Niestety, ten występ także został przerwany, przez jakąś niemożliwą babę. Powiedz tatusiowi, że chcę, by ją dla mnie odszukał. Przynajmniej tyle jest mi winien.

- Chcesz, żeby odszukał tę pokojówkę?

- Nie, tę cholerną dziwkę, która wszystko zepsuła. Która potrafiła mi się przez pewien krótki czas

opierać. Możesz w to uwierzyć? Udało jej się ocalić tę sprzątaczkę.

- O czym ty mówisz?! - wykrzyknęła Damaris. - Widział cię jeszcze ktoś oprócz tej pokojówki?

- Tak. Musiałam zejść ze sceny, zanim zdołałam w pełni zapanować nad sytuacją. Jacyś ludzie wychodzili z windy, a wiesz, jak działa mój talent. Podczas prywatnego występu mogę poradzić sobie najwyżej z dwiema osobami.

- Jesteśmy skończeni - wyszeptała Damaris. - Wszystko poszło nie tak.

- Nie histeryzuj. Weź się w garść. Mój prywatny koncert dla Eubanksa odbędzie się dziś wieczorem. Znalazłam znacznie lepsze miejsce. Jutro o tej porze będę w samolocie, w powrotnej drodze do San Francisco.

- A ta druga kobieta? - spytała Damaris. - Skoro dała radę ci się oprzeć, musi być uzdolniona parapsychicznie. Myślisz, że może należeć do Cienia Nocy?

- Skąd mam wiedzieć? To tatuś jest tajnym agentem w naszej rodzinie. On ma zdobywać takie informacje.

- Czy mogła cię rozpoznać?

- Tylko jeśli jest znawczynią opery, w co wątpię. Nie sprawiała wrażenia, że rozpoznała mój głos. Miałam na sobie kostium, tak jak zaplanowaliśmy, więc raczej nie będzie w stanie mnie opisać.

- Ale jeśli ona jest z Cienia Nocy, na pewno ostrzeże Eubanksa - powiedziała Damaris.

- Eubanks nadal przebywa w hotelu. Niedawno widziałam, jak wybierał się do spa.

- Więc pewnie ona jednak nie jest z Cienia Nocy.

- Pewnie nie.

- To kim jest?

- Nie mam pojęcia. Spytaj o to tatusia. A kiedy dowie się, kto to jest, zaśpiewam tylko dla niej. Nie mogę tolerować kogoś, kto zakłócił mój występ.

- Vivien, mówisz, jakbyś znowu wpadła w obsesję - zaniepokoiła się Damaris. - Jesteś pewna, że ta kobieta była w stanie oprzeć się twojemu głosowi?

- Tylko na krótko. Gdybym miała jeszcze minutę czy dwie, na pewno bym ją zabiła. A teraz już cię pożegnam. To był bardzo męczący dzień. Muszę się przygotować do kolejnego występu. Do usłyszenia, Damaris.

- Zaczekaj...

- Powiedz tatusiowi, żeby znalazł tę dziwkę.

La Sirčne zamknęła telefon i rzuciła go na łóżko. Bycie starszą siostrą to naprawdę wielka odpowiedzialność. Biedną Damaris tak łatwo teraz zdenerwować. To wszystko wina tatusia, oczywiście.

- Ona jest z J&J- powiedział tatuś.

- Co?!

- Spokojnie. Dotarłem do jej akt. Wygląda na to, że Fallon Jones ma Eubanksa pod obserwacją. Ale nie ze względu na jego przynależność do Cienia Nocy.

- Jesteś pewny? - Damaris położyła łokcie na biurku, oparła bolącą głowę na dłoniach i przycisnęła słuchawkę do ucha. Nagłe uderzenia na przemian zimna i gorąca zdarzały się coraz częściej. Zaczynała się zastanawiać, czy nie ma uczulenia na narkotyki, który przyjmowała.

- Może J&J coś odkryła?

- Nie. - Głos tatusia brzmiał bardzo pewnie. - Wierz mi, gdyby agencja miała jakiegokolwiek podejrzenia, powiadomiono by o tym Radę. Cień Nocy jest na czele ich listy priorytetów. To tylko

rutynowa operacja J&J.

- Skąd wiesz?

- Eubanks należy do Arkane i jest podejrzany o zabicie trzech osób - wyjaśnił cierpliwie tatuś. - Rodzice trzeciej ofiary są członkami Towarzystwa. Poprosili J&J o dochodzenie w tej sprawie. Jones tylko dlatego się nim zajął.

- Wszystko się skomplikowało.

- Uspokój się. Jeśli J&J zidentyfikuje tych ludzi na Maui jako członków Cienia Nocy, dowiem się o tym. A wtedy wdrożymy odpowiednie procedury, żeby rozwiązać ten problem. Miejmy nadzieję, że w międzyczasie twoja siostra zdoła doprowadzić swoje zadanie do końca.

- Vivien chce, żebyś się dowiedział, kim jest kobieta, która ocaliła pokojówkę.

- Nie martw się, mam taki zamiar.

- A potem?

- Potem sam się nią zajmę.

Rozdział 26

Eubanks usłyszał śpiew, kiedy wychodził z toalety. Dobiegał z głębi hotelowych ogrodów i odbijał się echem wzdłuż położonej wyżej werandy. Głos był tak czysty, wysoki i słodki, że w pierwszej chwili przypominał dźwięki fletu. Jakaś aria operowa, pomyślał. Nigdy nie był wielbicielem opery, ale też nigdy dotąd nie słyszał tak wspaniałego głosu. Ten śpiew zdawał się pobudzać wszystkie zmysły.

Brzmiał tak kusząco, tak zniewalająco, że zapomniał na moment o Claytonie, który miał na niego czekać przy wejściu do toalety. Uświadomił sobie, jak przez mgłę, że ochroniarza nie ma w pobliżu. Kilka chwil wcześniej Clayton upewnił się, że toaleta jest pusta, a potem, zgodnie ze standardową procedurą wyszedł na zewnątrz i pilnował, by nikt do niej nie wszedł.

A teraz znikł, co było bardzo dziwne. Ale tej muzyki Eubanks nie mógł zignorować. Wabiła go, porywająca i uwodzicielska. Zapomniał o Claytonie i podszedł do balustrady, by spojrzeć w dół. Korony drzew i krzewy ogrodowe wyglądały stąd jak cienista dżungla. Na długich liściach wyższych palm połyskiwało światło księżyca. Tu i ówdzie wśród gałęzi migotały latarnie oświetlające krętą ścieżkę, która wiodła do kaplicy ślubów.

Był oczarowany rozbrzmiewającą w ciemności pieśnią. Jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Tęskne, przypominające grę na flecie dźwięki go podniecały. Nie potrafił opisać tego w inny sposób. Ta muzyka wywołała u niego erekcję. Śpiewała kobieta, a on czuł, że pożąda jej do szaleństwa. Była gdzieś tam, wśród drzew, i przyzywała go do siebie. Nie miał wyboru, musiał odpowiedzieć na ten zew.

Jeszcze kilka chwil wcześniej był skupiony wyłącznie na swoich planach awansu do najwyższych kręgów organizacji. Właśnie rozważano jego kandydaturę na stanowisko prezesa zarządu, które niedawno się zwolniło. Nikt nie zasługiwał na nie bardziej niż on. Wkrótce opuści szeregi kierownictwa średniego szczebla i zdobędzie szczyt.

Wiedział, że modyfikacja formuły, dokonana w nadzorowanym przez niego laboratorium, zrobiła wielkie wrażenie na przełożonych. We wczesnej fazie eksperymentów na ludziach doszło wprawdzie do kilku niefortunnych incydentów, ale Cień Nocy nie był strachliwą zachowawczą organizacją rządową. Dla tych, którzy nim zarządzali, liczył się tylko sukces. I on go im dał.

Trafił na listę kandydatów do awansu na najwyższe stanowiska, bo ludzie z jego laboratorium zdołali dokonać niewielkiej, ale bardzo istotnej zmiany w składzie formuły; zmiany, która pozwalała przechowywać i transportować środek bez konieczności korzystania z chłodni. Co więcej, teraz można było go produkować także w formie kapsułek, a nie tylko zawiesiny do wstrzykiwania. Dotychczas każdy, kto używał genetycznie wzmocnionej formuły, musiał przechowywać fiołki w lodówce.

Bez wątplenia zasłużył sobie na miejsce w zarządzie. Dzięki formule stawał się wybitnym talentem strategicznym. Powszechnie wiadomo, że większość ludzi na najwyższych stanowiskach należy do strategów. Zdolność planowania i przewidywania ruchów przeciwnika jest wszak cechą mistrzów. To ona pozwala jednostce wspiąć się na szczyt.

Oczywiście inne zdolności także mogą się przydać. Ale jaki pożytek z daru charyzmy, kreowania złudzeń czy też czytania aury, jeśli nie wiesz, jak je wykorzystać do osiągnięcia swoich celów? Dla wybitnych strategów inne dary są jak pionki w grze. O tak, jego przeznaczeniem są najwyższe stanowiska w organizacji.

Najpierw jednak musi odnaleźć tę śpiewaczkę. Teraz to jest dla niego najważniejsze. Wyostrzył zmysły i słuchał, usiłując ją zlokalizować. Czuł, że skryła się gdzieś w samym sercu ciemności. Zszedł po kamiennych schodkach, a potem ruszył przed siebie wąską ścieżką. Tuż za rogiem budynku potknął się o coś, co leżało na ziemi, i omal się nie przewrócił. Spojrzawszy w dół, dostrzegł nogi wystające spod liści rozłożystej paproci. Ten widok na moment przerwał trans, w który wprawił go śpiew.

Wstrząśnięty, cofnął się odruchowo. A potem zdał sobie sprawę, że w tych ciemnych spodniach i sportowych butach jest coś znajomego. Ogarnął go strach.

- Clayton?

Ciało się nie poruszyło. W świetle latarni widział twarz ochroniarza. Clayton miał zamknięte oczy i nie ruszał się, ale oddychał. Jego twarz była zalana krwią, która w mdłym świetle latarni wydawała się niemal czarna.

Jedna część umysłu Eubanksa cały czas poddawała się czarowi muzyki, podczas gdy druga usiłowała skoncentrować się na fakcie, że ktoś zwabił jego ochroniarza do ogrodu i ogłuszył jakimś ciężkim przedmiotem. Trzeba nie lada wysiłku, by pokonać łowcę o wysokim poziomie uzdolnień, nawet jeśli jego talent nie był w pełni wykształcony.

Uciekaj. Zjeżdżaj stąd, gdzie pieprz rośnie. Poderwał się i rozejrzał dookoła, lecz w ciemności nie był w stanie niczego zobaczyć. Szybko ruszył w stronę, z której przed chwilą przyszedł. Ale muzyka kazała mu się zatrzymać. Rozbrzmiewała teraz głośniejsz, bardziej nagląco. Śpiewaczka musiała być gdzieś blisko. Nie mógł się jej oprzeć, choć rozum rozpaczliwie nakazywał mu jak najszybciej oddalić się z tego miejsca.

Wbrew własnej woli zawrócił i wszedł w głąb ogrodu. Powoli, walcząc ze sobą przy każdym kroku, przeszedł przez mały mostek nad stawem. Coś plusnęło w ciemnej wodzie pod jego stopami. Widział już przed sobą zalaną światłem księżyca sylwetkę kaplicy ślubów. To z niej dobiegał ten nieludzko piękny głos.

Wszedł na schodki i dalej, przez otwarte drzwi, do wnętrza kaplicy. Było nieoświetlone, ale przez okna wpadał blask księżyca, w którym dokładnie widział stojącą na środku postać. Śpiewaczka była ubrana w długi biały szlafrok hotelowy, a na głowę miała naciągnięty kaptur, rzucający cień na twarz. Wyglądała jak jakaś eteryczna istota z innego wymiaru.

Zafascynowany, szedł ku niej główną nawą, przyciągany tym niezwykłym głosem. Śpiewaczka otworzyła ramiona. Jej głos wzniósł się wyżej, jak kryształowa fontanna tryskająca idealnymi i dziwnie przerażającymi dźwiękami. Wtedy poczuł ból, jednocześnie palący jego zmysły i ścinający je mrozem. Błyskawicznie rozprzestrzenił się po całym ciele, rozbijał głowę na drobne kawałki. W końcu zrozumiał, że śpiewaczka go zabija. Ktoś zaaranżował jego śmierć. To nie mogło się zdarzyć naprawdę, nie jemu. Jego przeznaczeniem była władza i wielkość. Zabił trzy kobiety, by zająć tak wysoko. Upadł, a wtedy przyszła mu do głowy straszna myśl. Czy śpiewaczka jest duchem jednej z tych kobiet, które zamordował? Kryształowo czyste dźwięki płynęły za nim w otchłań. A potem nie było już nic.

Rozdział 27

Luther otworzył oczy i zobaczył palmowe liście, przez które przeświecało słońce. Przy boku czuł zwiniętą w kłębek Grace, a w uszach dźwięczał mu irytujący dzwonek telefonu. Słońce i dzwoniący telefon należały do porannego standardu, ale wtulona w niego Grace była czymś zupełnie nowym. Jedna noc, którą spędziła w jego łóżku, wystarczyła, by się uzależnił. Niechętnie odsunął się od ciepłego, miękkiego ciała, usiadł i sięgnął po telefon. Gdy zobaczył na ekraniku znajomy numer, poczuł nagły przypływ adrenaliny.

- Co tam masz, Fallon?

- Eubanks nie żyje - oznajmił Jones. W jego głosie pobrzmiwała nuta podekscytowania typowego dla łowców. - Kilka godzin temu ktoś z hotelowej obsługi znalazł jego ciało w kaplicy ślubów. Wygląda na to, że zmarł koło północy. Lekarz uznał to za udar. Nie ma żadnych śladów przemocy.

- Syrena zrobiła swoje.

- Bez wątpienia. Teraz pozostaje nam przycząić się i czekać.

Jestem ciekaw, kto zajmie miejsce Eubanksa. Może naprowadzi nas to na ślad tego, kto zlecił jego zabójstwo.

- A syrena?

- Wywiązała się z umowy. Jeśli jest profesjonalistką a przypuszczam, że jest, pewnie po prostu zniknie.

- Ale szukasz jej, prawda?

- Jasne. A właściwie szuka jej Sweetwater, co jest nawet lepsze.

- To nie jest sprawa dla Sweetwatera. Ona jest uzdolniona parapsychicznie, więc to zadanie dla J&J. Dla ciebie.

- W tej chwili ta sprawa nie jest zbyt wysoko na mojej liście priorytetów - odparł Fallon nietypowym dla niego poirytowanym tonem. Często bywał zniecierpliwiony, rzadko jednak okazywał tak silne emocje. - Dopóki ta kobieta będzie się ograniczać do zabijania ludzi z Cienia Nocy, nie przeszkadza mi.

- Ona próbowała zabić Grace oraz jeszcze jedną przypadkową osobę.

- Z relacji Grace wynikało, że mógł to być wypadek.

- Jak, u diabła, możesz usiłowanie morderstwa nazywać wypadkiem?

- No dobrze - burknął Fallon. - Nie wypadek, raczej pech. Obie znalazły się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Nic nie wskazuje na to, żeby Grace i ta pokojówka były jej właściwym celem. Po prostu jej przeszkodziły.

- Więc to wina Grace i tej pokojówki, że omal nie zostały zabite?
- Przestań odwracać kota ogonem, do cholery - warknął Fallon. - Syrena była w przebraniu i pewnie zakłada, że Grace jej nie rozpozna.
- Ergo, nie ma powodu, by nastawać na jej życie. Rozumiesz? - Oboje wiemy, że Grace może ją zidentyfikować na podstawie aury.
- Tylko jeśli znowu się spotkają - odparł Fallon. - A jakie jest prawdopodobieństwo takiego spotkania?
- A skąd ja mam to wiedzieć, do diabła?
- Posłuchaj, nie ma sposobu, żeby syrena poznała tożsamość Grace, nie wspominając już o jej miejscu zamieszkania czy zdolnościach. Wierz mi, Grace nic nie grozi. A jeśli chodzi o syrenę, Sweetwater znajdzie ją o wiele szybciej niż ja. Ona działa w jego świecie. A on ma powiązania, które pozwolą mu ją namierzyć.
- A jak wysoko znajduje się na liście priorytetów Sweetwatera?
- Na samej górze - zapewnił Fallon. - Kiedy Harry dowiedział się, że ma tak poważną konkurencję, której istnienia nawet nie podejrzewał, trochę się wkurzył.
- A jeśli Grace ma rację i ta syrena ma skłonność do popadania w obsesję? Może dostała obsesji na punkcie Grace z powodu tego, co się stało w hotelu?
- Wtedy będziemy mieli problem - przyznał Fallon tonem, jakiego używa dorosły, chcąc uspokoić nieznośne dziecko. - Ale jak już wspominałem, to przecież profesjonalistka. Zrobiła swoje i jest już bardzo daleko.
- Luther przerwał połączenie i rzucił komórkę na stolik. Gdy odwrócił głowę, zobaczył, że Grace wpatruje się w niego swoimi niesamowitymi zielonymi oczami.
- Syrena załatwiła Eubanksa - powiedział. - Fallon twierdzi, że Sweetwater ją znajdzie.
- A co będzie do tego czasu?
- Położył dłoń na jej krągłym biodrze ukrytym pod cienkim prześcieradłem.
- Do tego czasu masz wakacje na Hawajach.

Rozdział 28

Kucharz trzymał w ręce wielki nóż, a pokryty licznymi tatuażami kelner miał rewolwer umocowany na kostce pod nogawką spodni. Aury ich obu wykazywały ponadprzeciętny poziom zdolności psychicznych i trwałe zaburzenia będące śladem przemocy, jakiej się kiedyś dopuszczali. Obaj jednak emanowali też dziwną przywodzącą na myśl zen, akceptacją tego, co robili i kim byli.

W barze Dark Rainbow żywiła się spora gromada poturbowanych przez życie parapsychicznych. Większość sprawiała wrażenie, jakby zatonęli gdzieś daleko i zostali wyrzuceni przez fale na hawajskie plaże. Mieli profile typowe dla ludzi, których aury zostały zaburzone, zakłócone albo poważnie skrzywione. Nie byli świadomi swoich zdolności ani tym bardziej tego, że problemy, z jakimi się borykali, wynikają właśnie z tego aspektu ich natury.

Dlaczego więc czuję się tu jak w domu? - zastanawiała się Grace. Siedziała z Petrą Groves przy stoliku w głębi sali, tuż przy wahadłowych drzwiach prowadzących do gorącej kuchni. Za barem Wayne polerował szklanki z tak przerażającą precyzją, jakby każda z nich była nabojem, od którego mogło zależeć jego życie.

Petra wyjaśniła, że jest właśnie martwa godzina między porą lunchu a kolacją. W sali siedział tylko

jeden klient. Zardzewiały wózek sklepowy, pełen pustych puszek i butelek, zostawił na dziedzińcu. Nazwanie go klientem było zresztą trochę naciągnięte, pomyślała Grace, jako że swój posiłek dostał za darmo.

- To Jeff - powiedziała Petra, zniżając głos. - Po urazie głowy.

- Widzę uszkodzenie - odparła równie cicho Grace. - Uzdolnienia na dość niskim poziomie. Sprawia wrażenie, jakby cierpiał na poważną paranoję.

- Nie ufa lekarzom. Może i słusznie. Pewnie nie wiedzieliby, co robić z kimś takim jak on. Przychodzi tu, kiedy jego stan się pogarsza.

Luther potrafi trochę wpłynąć na jego aurę. To go uspokaja. A w lepsze dni, takie jak dziś, wpada tu na rybę z frytkami.

- Które dostaje za darmo? Petra wzruszyła ramionami.

- Zawsze chce płacić, ale nam nie potrzeba tu więcej pustych puszek i butelek.

- Coś mi się zdaje, że wielu z waszych klientów przydałaby się wizyta u któregoś z psychiatrów Towarzystwa.

- Większość z nich nie ma nawet pojęcia o jego istnieniu - prychnęła Petra. - A gdyby się dowiedzieli, pewnie wialiby w przeciwnym kierunku, aż by się za nimi kurzyło.

Grace z powagą kiwnęła głową.

- Typowa paranoja. Baliby się każdego, kto próbowałby ich namówić na leczenie.

- Trudno się dziwić, że niektórzy to paranoicy - rzekła ponuro Petra. - Wielu bywalców tego baru miało poważne kłopoty, kiedy ze względu na swoje uzdolnienia znaleźli się w polu zainteresowania ludzi w białych kitlach.

- Czyli inni uznali ich za wariatów?

Wayne podniósł głowę znad polerowanej szklanki. Jego oczy były zimne jak oczy węża wytatuowanego na jego łysej czaszce.

- Kilku z nich padło ofiarą jakichś cholernych eksperymentów - wtrącił.

Petra odstawiła kubek z kawą.

- Tu, w Dark Rainbow, nie próbujemy bawić się w lekarzy.

Wayne i ja tak długo zwlekaliśmy z decyzją o posiadaniu dzieci, aż zrobiło się za późno. Kiedy więc zamieszkaliśmy tutaj, zaczęliśmy w pewnym sensie adoptować ludzi takich jak Jeff czy Ray. Po raz pierwszy klienci przychodzą do nas, żeby coś zjeść albo się napić. Wracają, bo w tym miejscu czują się lepiej. Grace się uśmiechnęła.

- A czują się lepiej, bo właściciele ich rozumieją, a barman zawsze potrafi ukoić ich skołatane nerwy. Petra skinęła głową.

- Na szczęście rzadko dostajemy w zamian puste puszeki.

Większość klientów płaci prawdziwymi pieniędzmi. Ale dość o nas.

Pogadajmy o tobie. Luther mówił, że szukamy kobiety, która potrafi załatwić człowieka, śpiewając kawałki z oper.

- Chyba tak. Te pieśni brzmią jak arie operowe.

- Ja lubię klasycznego rocka. Ale Wayne słucha opery.

Grace spojrzała z ukosa na barmana, starając się nie okazać zdumienia.

- Lubisz operę? - spytała. Wayne sięgnął po kolejną szklankę.

- Tak - przyznał. - Przenosi mnie w inny świat, rozumiesz?

Byłem tylko na paru przedstawieniach, ale mam masę płyt. Ta syrena... dobra jest?

- Cóż, jej śpiew z pewnością ma dramatyczny wpływ na publiczność - odparła Grace. - Ale pomijając aspekt parapsychiczny, myślę, że jest więcej niż dobra. Fallon Jones uważa, że to zawodowa zabójczyni, a nie zawodowa śpiewaczka, ale ja nie jestem tego taka pewna. Może być odwrotnie.

Wayne zastanawiał się chwilę, po czym zaczął wycierać kolejną szklanę.

- Tak czy inaczej, Luther ma rację - rzekł. - Powinnaś bardzo uważać, dopóki J&J jej nie skasuje.

Grace usiłowała nie okazać, że tak lekkie potraktowanie tematu śmierci La Sirene zrobiło na niej wrażenie. Odchrząknęła.

- J&J naprawdę robi takie rzeczy? - spytała.

- Fallon nigdy by się do tego nie przyznał - odparła Petra. - Ale tak, od czasu do czasu stosuje radykalne rozwiązania.

Zadzwonił wiszący na ścianie telefon. Wayne nie zwrócił na to uwagi. Petra wolno wstała z krzesła i podniosła słuchawkę.

- Oczywiście, Julie - powiedziała po chwili. - Nie martw się. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej. Pozdrów małego ode mnie. Nie ma sprawy.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła.

- Julie dzisiaj nie przyjdzie. Jutro pewnie też. Dziecko się rozchorowało.

- Ani pomywacza, ani kelnerki - mruknął Wayne. - A przed nami weekend. Najwięcej klientów.

Petra się uśmiechnęła.

- Takie problemy pojawiają się, dopiero kiedy odniesiesz sukces.

Wcześniej nie mieliśmy takich zmartwień.

- Wcześniej? - spytała Grace.

- Zanim nastał Luther - wyjaśniła Petra. - Kto by przypuszczał, że popularność może być kłopotliwa? Jakoś damy sobie radę bez Julie, ale przy pełnej sali nie jestem w stanie jednocześnie gotować i zmywać.

- Ja mogę zmywać - zaproponowała Grace.

Wayne i Petra spojrzeli na nią, jakby właśnie otrzymała dar mówienia językami.

- Kiedyś zarabiałam w ten sposób - wyjaśniła. - Potem zostałam kamerdynerem. Można więc powiedzieć, że jestem profesjonalistką.

Rozdział 29

Krótko po północy Luther pozbył się ostatnich maruderów, subtelnie manipulując ich aurami. Potem wszedł do kuchni, gdzie zastał Grace z rękami zanurzonymi w wodzie z płynem do mycia naczyń. Za duży fartuch sięgał jej prawie do kostek, włosy miała wsunięte pod czepek z cienkiej siateczki, a twarz lśniącą od potu i pary. Wyglądała uroczo. Miał ochotę zaciągnąć ją do spiżarni na tyłach kuchni i kochać się z nią na workach z ziemniakami.

- Zamykamy - powiedział. - Pora coś zjeść.

- Już prawie skończyłam - odparła. - Została jeszcze tylko jedna patelnia.

Petra zdjęła poźółkły kucharski czepek, odrzuciła go na bok i otarła pot z czoła wierzchem dłoni.

- Co słysząc na sali? - spytała.

- Wayne właśnie zamyka - odparł Luther i spojrział na Grace. - Musisz być wykończona.

- Nie jest źle. - Skończyła myć dzbanek i postawiła go na suszarce.

- Tylko trochę wyszłam z wprawy. O co chodzi z tym jedzeniem?

- Po takim ciężkim dniu zawsze jesteśmy głodni i trochę nakręceni - wyjaśnił. - Idziemy wtedy do Milly Okady na zupę *udon*.

- Brzmi obiecująco - stwierdziła Grace, wycierając ręce ściereczką. Luther spojrzął na Petrę.

- Nie mieliśmy chwili wytchnienia - powiedział. - A wam jak poszło?

- Jakoś dałyśmy radę - odparła Petra. - Grace jest naprawdę doświadczoną pomywaczką. Wygląda na to, że znaleźliśmy nowego Buda.

- Każdy ma jakiś talent - roześmiała się Grace.

Wyszli z baru, minęli dziedziniec i ruszyli w stronę Kuhio. Bez żadnych wcześniejszych ustaleń Luther, Wayne i Petra otoczyli Grace ochronnym kręgiem. W Udon Palace było prawie pusto. Restauracja miała się zappełnić później, kiedy wszystkie inne lokale zostaną zamknięte, a ich pracownicy pomyślą o późnej kolacji. Z kuchni wychynęła Milly Okada. Na widok Luthera jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Wróciłeś i nie jesteś już w depresji - oznajmiła, po czym spojrzała na Grace. - Domyślam się, że dzięki tej oto młodej damie.

Luther, widząc, że Grace jest wyraźnie skonsternowana, dokonał pospiesznej prezentacji.

- Milly, to jest Grace Renquist. Przyjechała z kontynentu.

- Witaj na wyspach, Grace. - Milly obrzuciła ją wzrokiem pełnym aprobaty.

- Dziękuję - odparła Grace.

- Powinna się czegoś napić - powiedziała Petra do Milly. - Nasz ostatni Bud dał nogę kilka dni temu i Grace przez cały wieczór zmywała naczynia.

- A więc zostałeś nowym Budem? - zachichotała Milly. - Nie wyglądasz na pomywaczkę.

- Mam spore doświadczenie w tym zawodzie - zapewniła Grace.

- No, no - mruknęła Milly. - Bardzo interesujące, prawda? - Zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, wskazała pobliski stolik. - Siadajcie. Przyniosę piwo. - Spojrzała na Grace i uniosła brwi. - A dla ciebie wino?

- Tak, poproszę - odparła Grace.

Luther odsunął dla niej krzesło i wszyscy usiedli.

- Znalazłeś w aktach Genealogii coś na temat naszej syreny? - zapytał Luther.

- Tak, dziś po południu posunęłam się trochę do przodu. Petra odchyliła się na oparcie krzesła i założyła ręce na piersi.

- Dlaczego sądzisz, że ona należy do Towarzystwa?

- Bo ma silny i niezwykle rzadki talent, jest więc bardzo prawdopodobne, że pochodzi z rodziny uzdolnionych parapsychicznie. Tak wybitny dar musi być w jakimś stopniu dziedziczny.

- Innymi słowy - wtrącił Luther - nawet jeśli sama nie jest zarejestrowana, jakiś jej przodek obdarzony tym samym talentem mógł być członkiem Towarzystwa?

Grace kiwnęła głową.

- Zgadza się. Jeśli go namierzą, może zdołam przeskoczyć z akt genealogicznych Towarzystwa do innych baz danych.

Petra zmarszczyła brwi.

- Z innych genealogicznych baz danych nie dowiesz się, czy ktoś był utalentowany parapsychicznie.

- To prawda - przyznała Grace - jeśli zidentyfikuję przodków syreny, będę mogła sprawdzić, czy któryś z nich odznaczał się wybitnym operowym głosem.

Wayne zmrużył oczy.

- Trochę to naciągane.

- Być może. Ale przynajmniej mam co robić, czekając na wiadomości od Fallona Jonesa.

Milly przyniosła trzy piwa i kieliszek białego wina, a po chwili cztery miseczki zupy.

- Coś jeszcze? - spytał Luther, kiedy Milly wróciła do kuchni.

- Niewiele - odparła Grace. - Znalazłam kilka odniesień do członków Towarzystwa obdarzonych głosem, który opisywano jako „hipnotyzujący”, ale krytycy tak często używają tego określenia, że nie jestem pewna, czy ono rzeczywiście coś znaczy. Natknęłam się też na wzmianki o śpiewakach, którzy potrafili wprowadzić słuchaczy w rodzaj transu, przypominającego sen.

- Słyszałam, że w operze często się to zdarza - wtrąciła Petra. - Może ten dar wcale nie jest taki rzadki. Grace pokręciła głową.

- Niestety nie znalazłam żadnych informacji o śpiewakach, którzy są w stanie dosłownie zabić swoim głosem. Wysłałam więc maila do Fallona Jonesa z prośbą o umożliwienie mi dostępu do tajnych akt genealogicznych.

Luther sięgnął po piwo.

- Są jakieś utajnione dane? - spytał.

- Oczywiście - odparła. - Wszystkie akta dotyczące szczególnie niebezpiecznych czy odbiegających od normy uzdolnień są na ogół ściśle tajne. Miałam do nich dostęp przy jednej ze spraw, gdy pan Jones chciał, żebym zidentyfikowała podejrzanego. Jestem pewna, że teraz też pozwoli mi z nich skorzystać. - Wciągnęła w nozdrza aromat unoszący się znad miseczki. - Pachnie wspaniale.

- Najlepsza zupa udon na wyspie - zapewnił ją Wayne.

Luther przyglądał się Grace, kiedy nabierała makaron na pałeczki. Nie musiał widzieć jej aury, by zauważyć, jak bardzo jest wyczerpana.

- Powinnaś się dobrze wyspać - uznał. Nie protestowała.

Wayne spojrzał na Luthera.

- Więc co robimy? Wykańczamy każdego, kto wejdzie do knajpy, nucąc coś, co się nam nie spodoba?

- W takim wypadku musielibyśmy wyjaśnić wiele podejrzanym zgonów - zauważyła Petra. - Takich, którzy kiepsko śpiewają, przychodzi do nas sporo.

- Najważniejsze, żeby Grace nie zostawała sama, dopóki to się nie skończy - orzekł Luther.

- To żaden problem - stwierdził Wayne i wrócił do swojej zupy.

Grace przez chwilę patrzyła na pozostałą trójkę.

- To bardzo miłe z waszej strony, że tyle dla mnie robicie - powiedziała. - Nie wiem, jak wam dziękować.

- W ogóle nie musisz dziękować - zapewniła ją Petra. - Przyda nam się jakaś odmiana.

- Od czasu do czasu odmiana każdemu się przyda - dodał Wayne. - Żeby nie było nudno. Naprawdę nie masz za co dziękować. Jesteś tu z Lutherem.

Grace zerknęła na Luthera, a potem przeniosła wzrok na Wayne'a.

- To ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście - odparła Petra, - Dzięki temu należysz do rodziny.

Grace odchyliła się na oparcie krzesła i zacisnęła palce na krawędzi stołu. Była naprawdę wzruszona.

- Ale ja nie jestem waszą rodziną.

- Ty masz swoją definicję rodziny - powiedział Wayne - a my swoją. Jeśli mówimy, że należysz do

rodziny, to należysz. W oczach Grace błysnęły łzy.

- Ale przecież... Wy mnie nawet nie znacie...

- Daj spokój, dziewczyno - mruknęła Petra. - Lepiej opowiedz nam o syrenach.

Grace chwyciła serwetkę, otarła oczy i kilka razy chrząknęła.

Potem upiła łyk wina i odstawiła kieliszek, znowu w pełni nad sobą panując.

- Poczytałam trochę o mitycznych syrenach, żeby poznać tło. I wtedy przyszło mi do głowy, że niektóre ze starożytnych legend mogą być oparte na faktach.

Luther podniósł wzrok znad zupy, zaintrygowany.

- Myślisz, że to może mieć coś wspólnego z żeglarzami, których syreny wabiły śpiewem i sprowadzały z kursu na skały?

- Może - odparła. - Według legend byli tacy, którym udało się przeżyć spotkanie z syrenami. Na przykład Orfeusz, słysząc śpiew syren, wyjął swoją lirę i odpowiedział im muzyką, która była piękniejsza niż ich głosy. To go uratowało.

- Innymi słowy, zneutralizował energię ich głosów.

- Albo po prostu zagłuszył ich śpiew.

- Tak jakby wykorzystał jeden z generatorów tak zwanego białego szumu, które mają zagłuszać nocą uliczny hałas - wtrącił Wayne.

Twarz Petry pojaśniała.

- Moglibyśmy wykorzystać rockowe płyty, które puszcza w Dark Rainbow.

- To by na pewno nie zaszkodziło - przyznała Grace. - Ale pamiętajcie, że tu nie chodzi tylko o muzykę. Syrena jest w stanie naładować swój głos psychiczną energią. Nie możemy zakładać, że uda się zneutralizować te fale.

- Pewnie jakikolwiek hałas utrudniłby syrenie koncentrację - powiedział Luther. - A jeśli nie będzie w stanie się skupić, psychiczna moc na nic jej się przyda.

- Fakt - rzekła Grace. - Poza tym żaden śpiewak nie jest w stanie trzymać się klucza, jeśli sam dobrze siebie nie słyszy. Syrena też pewnie musi wybierać odpowiednie miejsca na swoje występy.

- Macie jeszcze jakieś pomysły, jak sobie z nią poradzić? - spytał Wayne.

- Owszem. Kiedy Odyseusz przepływał w pobliżu syrenich siedzib, kazał swoim ludziom zatkać uszy woskiem, żeby nie słyszeli ich śpiewu.

- Proste, a skuteczne - stwierdził Wayne. - Sam wolałbym jednak nie chodzić od rana do nocy z zatkanymi uszami. Lubię z nich korzystać.

Grace złączyła palce na nóżce kieliszka.

- Jest jeszcze coś. Zgodnie z tym, czego zdołałam się dowiedzieć, bardzo silna syrena jest w stanie wprowadzić nawet wielu ludzi w lekki trans, ale zadziałać ze skutkiem śmiertelnym może na jedną, najwyżej dwie osoby naraz. To, co wydarzyło się w hotelu, jest na to dowodem. Czułam, kiedy straciła zainteresowanie pokojówką i zwróciła uwagę na mnie. Ale gdy zaczęły się otwierać drzwi windy pełnej ludzi, wpadła w panikę i uciekła. Wiedziała, że nie zdoła zapanować nad większą liczbą osób.

- To głupie z jej strony, że usiłowała zabić tę pokojówkę - orzekła Petra. - Ciekawe, co zamierzała zrobić z ciałem?

Grace zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Ja na jej miejscu wywiozłabym martwą pokojówkę na wózku.

Przy stoliku nagle zapadła cisza. Grace zmarszczyła brwi.

- Powiedziała coś nie tak?
 - Nie - odparł Luther, zanim ktokolwiek zdążył ją zapytać, skąd od razu wiedziała, jak pozbyć się niewygodnych zwłok. - Wiadomo, że syrena wybiera repertuar operowy, bo pozwala jej wydawać bardzo wysokie, zabójcze dźwięki.
 - Ciekawe - powiedziała Petra - ale co z tego wynika?
 - Przede wszystkim to - wyjaśniła Grace - że prawdopodobnie odebrała klasyczne wykształcenie muzyczne. A skoro już o tym mowa, jest jeszcze coś, co działa na naszą korzyść. Petra uniosła brwi.
 - Co?
 - Prawa parafizyki. Energia psychiczna nie może być przenoszona mechanicznie. Tak jak my wszyscy, syrena musi zadziałać osobiście, nie może po prostu przesłać komuś płyty kompaktowej i oczekiwać, że ofiara padnie trupem, kiedy ją przesłucha.
- Petra spojrzała na Luthera.
- Gratuluję. Widzę, że znalazłeś godną siebie towarzyszkę.
- Uśmiechnął się szeroko do Grace i rzekł:
- Tak, rozpocząłem nowy rozdział swojego życia. Kto tu powiedział, że mam depresję?

Rozdział 30

Damaris obudziła się ze znajomym uczuciem dławiącego strachu. Coś poszło nie tak. Ale to przecież nieprawda. Wszystko znowu było w najlepszym porządku. Mimo początkowych trudności operacja na Maui zakończyła się sukcesem. Eubanks nie żył, a La Sirčne wróciła do San Francisco. To przyspieszone bicie serca i duszności musiały być wywołane przez narkotyki. Bała się kolejnego zastrzyku. Miała go przyjąć o dziewiątej rano.

Zadzwoił telefon. Przewróciła się na bok, sięgnęła po komórkę i spojrzała na wyświetlacz. Widok numeru na ekraniku ściał jej krew w żyłach.

- O co chodzi? - spytała, z trudem panując nad głosem. - Co się stało?

- Nic się nie stało - odparła La Sirčne. - Poza tym, że biegam w kółko jak szalona, usiłując się spakować przed wylotem do Acacia Bay. Drogi Newlin wysyła po mnie prywatny odrzutowiec. - Zaczęła mówić do kogoś innego i przez chwilę jej głos dobiegał jakby z oddali: - Nie, nie te buty, ty idiotko, te niebieskie. Moim kolorem jest błękit. Będą mi potrzebne na premierę.

„Jak szalona”... Ciekawe, czy przyszło jej do głowy, jak trafne było to określenie, zastanawiała się Damaris. Pewnie nie. Szaleńcy nie uważają siebie za szaleńców.

- To świetnie - odparła i kilka razy odetchnęła głęboko, żeby uspokoić galopujące serce. - Wszyscy umrą z zachwyty, kiedy usłyszą cię w partii Królowej Nocy. - Wzdrygnęła się przy tym niezbyt fortunnym doborze słów. - Już nie mogę się doczekać premiery.

Jestem pewna, że przyjdą wszyscy najważniejsi krytycy.

- Drogi Newlin obiecał mi, że przyjdą. Czy tatuś znalazł już tę dziwkę?

Damaris zamknęła oczy.

- Vivien, posłuchaj mnie, proszę. Ta pokojówka jest nieważna.

- Mówiłam już, że nie chodzi o pokojówkę - warknęła La Sirčne.

- Ona mnie nie interesuje. Nic dla mnie nie znaczy. Chcę dopaść tę drugą, tę, która uratowała pokojówkę i próbowała się oprzeć mojemu głosowi.

Damaris wstała, zaciskając palce na telefonie.

- Ta druga kobieta także nie ma znaczenia. Opuść to sobie, Vivien. Skoncentruj się na premierze. Teraz nic nie powinno cię rozpraszać.

- Nie szmaragdy, kretynko, chcę wziąć ten komplet z szafirów i diamentów, który dostałam od drogiego Newlina. Pasuje do sukni i butów. - Głos La Sirčne zabrzmiał wyraźniej, kiedy znowu zaczęła mówić do słuchawki. - Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić, Damaris. Nie, powinnam ująć to inaczej. Przynajmniej tyle może dla mnie zrobić tatuś. Jest mi to winien.

- Ta kobieta nie ma sposobu, by dowiedzieć się, kim jesteś. Nie będzie w stanie cię zidentyfikować.

- Nie chodzi o to, czy ona może mnie rozpoznać czy nie. Chodzi o to, że musi być uzdolniona parapsychicznie. Nie mów mi, że tatuś nie potrafi jej odnaleźć.

- Ciągle jej szuka - skłamała Damaris. - Dam ci znać, jak tylko ją odnajdzie.

- Obiecujesz?

Damaris westchnęła.

- Obiecuję.

Vivien przerwała połączenie. Damaris patrzyła na telefon, zastanawiając się, dlaczego wibruje. Wreszcie zorientowała się, że drżał, bo trzęsły jej się ręce. Wzięła głęboki, uspokajający oddech i podeszła do okna. Stała tam dłuższą chwilę, patrząc na światła Los Angeles i rozmyślając.

Jej obawy związane z wykorzystaniem siostry do załatwienia Eubanksa okazały się uzasadnione. La Sirčne dostała obsesji na punkcie tajemniczej kobiety, którą spotkała na Maui. Traktowała ją jak rywalkę. Znajac Vivien, ta obsesja skończy się tylko wraz z życiem tej kobiety. Cały plan był w niebezpieczeństwie. Wróciła do nocnego stolika, sięgnęła po telefon i wybrała numer. Tatuś odebrał po pierwszym sygnale.

- Nie śpisz już - powiedziała cicho.

- Niewiele ostatnio sypiam. Co się stało?

- Chyba mamy problem. Vivien uparła się na tę kobietę, która przeszkodziła jej na Maui. Nie na pokojówkę, na tę drugą.

Tatuś milczał chwilę, a potem zachichotał.

- Twoja siostra nie jest wcale taka szalona, jak myślisz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sam dostałem obsesji na jej punkcie.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Damaris. - Dlaczego?

- Bo to niewiarygodny zbieg okoliczności, że osoba silnie uzdolniona parapsychicznie pojawiła się w tym samym pokoju hotelowym o tej samej porze.

- Tak, masz rację - przyznała Damaris. - Powinnam była zwrócić na to uwagę.

- Tak, powinnaś była przemyśleć wszystkie możliwości.

- Przepraszam - jęknęła i otarła pot z czoła. - To ten środek, tatusiu. Ostatnio ciężko mi się skupić.

- Wiem. Mówiłem, że pierwsze miesiące mogą być trudne. Ale uspokój się, nie jestem zły z powodu tego małego potknięcia. Mam wszystko pod kontrolą.

- Znalazłeś tę kobietę?

- Nazywa się Grace Renquist. Jest bibliotekarką w Wydziale Genealogicznym. Ale potrafi też czytać z aury. Fallon Jones wysłał ją na Maui w towarzystwie ochroniarza, żeby przyjrzała się Eubanksowi. Na pewno więc jest też w stanie tworzyć profile psychologiczne.

- Ile wie J&J?

- W tej chwili nic. Jones obserwował Eubanksa w ramach rutynowego śledztwa w sprawie jego

ostatniej ofiary. Rodzina tej dziewczyny chciała, żeby agencja zbadała tę sprawę. Teraz, gdy Eubanks zmarł wskutek udaru, jeśli chodzi o agencję, sprawa jest zamknięta.

- Ale co z Grace Renquist? Mówiłeś, że jest wybitnie uzdolniona w kierunku odczytu z aury. Ona widziała aurę Vivien, a takie osoby umieją rozpoznawać pola energetyczne. Musiała się więc zorientować, że Vivien posiada jakiś wybitny talent. J&J ma się już czego uchwycić.

- Teraz rozumiesz jak przyszedł dyrektor Cienia Nocy - pochwalił ją tatuś. - Masz rację. Panna Renquist rzeczywiście stanowi problem. Jest jedyną osobą, która może rozpoznać La Sirčne. A jeśli La Sirčne zostanie rozpoznana, cóż, sytuacja stanie się niezręczna. Damaris wreszcie wszystko pojęła.

- Jeśli J&J odnajdzie Vivien... - urwała, bo zabrakło jej tchu w piersi.

- Właśnie - powiedział tatuś. - To oczywiście bardzo mało prawdopodobne, jeśli jednak J&J zdoła namierzyć Vivien, a Grace Renquist ją rozpozna, mogą wówczas dotrzeć też do ciebie, a potem do mnie. Damaris zaschło w ustach.

- Nie chcesz... chyba nie chcesz... zrobić czegoś Vivien?

- Oczywiście, że nie. To moja córka. Osobą, która musi zniknąć, jest Grace Renquist. Poza nią nie ma nikogo, kto mógłby zidentyfikować twoją siostrę. Wszyscy znowu będziemy bezpieczni. Damaris przycisnęła telefon do ucha, starając się myśleć tak jak przyszedł dyrektor Cienia Nocy.

- To będzie musiało wyglądać na wypadek, a w najgorszym razie na operację Cienia Nocy.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją tatuś. - Ale nie martw się. Robiłem takie rzeczy dla zarobku, jeszcze zanim przyszedł na świat. Zajmę się wszystkim. W słuchawce rozległ się ciągły sygnał.

Damaris wstała i znowu podeszła do okna. „Zajmę się wszystkim”. Właśnie tak powinien postępować ojciec. Dlaczego więc była przerażona? To na pewno przez ten cholerny narkotyk. Spojrzała na zegar. Do przyjęcia kolejnej dawki zostały jeszcze dwie godziny.

William Craigmores rozłączył się, odłożył książkę i wstał z fotela. Uśmiechnął się, bo nagle uświadomił sobie, że naprawdę cieszy się na to zadanie. Od jego ostatniej operacji w terenie minęło wiele lat. Zarządzanie Cieniem Nocy było fascynujące, ale tęsknił za dawnymi czasami, kiedy stawał do bezpośredniej walki z przeciwnikiem.

Idąc korytarzem, zerknął na swoje odbicie w lustrze. Mimo siedemdziesiątki nadal cieszył się doskonałym zdrowiem i świetną kondycją fizyczną. Było jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, czy narkotyk rzeczywiście przedłuży mu życie o kilkadziesiąt lat, ale Sylvester Jones, alchemik, który opracował go pod koniec XVII wieku, nie wątpił, że właśnie taki będzie efekt uboczny przyjmowania formuły. Ta perspektywa cieszyła Williama, zwłaszcza teraz, gdy odnalazł córki. Już zapewnił przyszłość swoim genom, a teraz bardzo chciał żyć na tyle długo, by zobaczyć, jak dorastają jego wnuki. Jego potomkowie, ród udoskonalony przez formułę, będą najpotężniejszymi ludźmi na ziemi.

Wystukał kod otwierający łukowate drzwi i wszedł do galerii. Światła włączyły się automatycznie, ukazując przedmioty umieszczone w szklanych gablotach. Każdy stanowił memento związane z którąś z przeprowadzonych przez niego operacji. Biurokraci z tajnej agencji rządowej, dla której kiedyś pracował, padliby trupem, gdyby wiedzieli, że przechowywał te pamiątki. Byli pewni, że zatarli wszystkie ślady swoich działań - dopilnowali nawet, by także przeprowadzający je agenci zbyt długo nie żyli. Tylko jeden z nich okazał się na tyle bystry, żeby wyczuć pismo nosem.

Przedmiot, po który tu przyszedł, nie znajdował się w żadnej ze szklanych gablot. Craigmores skierował się do sejfu na tyłach pomieszczenia i wystukał kolejny kod. Gdy drzwiczki się otworzyły, sięgnął do środka i wyjął jeden z dwóch spoczywających tam przedmiotów. Wystarczyło, że poczuł

go w ręce, by ogarnęło go znajome podniecenie. Jak za dawnych czasów.

Rozdział 31

Grace wsunęła wilgotne od potu pasmo włosów pod czepek i oburącz podniosła ciężki garnek po zupie.

- Kiedy ostatnio czyściłaś frytkownicę i zmieniałaś olej? - spytała.

- Nie pamiętam. - Petra wyłoniła się z chłodni z paczką mrożonych filetów rybnych. - Mam wrażenie, że im dłużej smażę na tym samym oleju, tym lepszego nabiera aromatu. Poza tym, ilekroć zaczyna wrzeć, giną w nim wszystkie bakterie.

- Ciekawa teoria. - Grace włożyła garnek do zlewu i sięgnęła po szczotkę. - Ale czy Wydział Zdrowia nie ma na ten temat innego zdania?

- Nie mamy żadnych problemów z Wydziałem Zdrowia. - Petra rozdarła folię i rzuciła filety na blat. - Inspektorzy pojawiają się rzadko i nie siedzą zbyt długo. Zaglądają na parę minut i zaraz sobie idą.

- Proszę, tylko nie mów, że Luther wypłasza ich za pomocą swoich zdolności.

- Dobrze, nie powiem. - Petra wsypała do koszyka frytkownicy pokrojone w słupki ziemniaki. - Powiem tylko, że jego sztuczki bywają bardzo przydatne.

Włożyła koszyk do gorącego oleju i odskoczyła, by nie prysnął na nią rozgrzany tłuszcz. Drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł Wayne z pustą tacą wepchniętą pod pachę.

- Nowe zamówienia - oznajmił. Oderwał trzy karteczki z notatnika i przyczepił je obok innych, które już wisiały nad blatem. - Robi się tłok. Sala jest pełna. A jeszcze przyszła grupa cholernych turystów. Kiedy wychodził, kuchnię zalała kolejna fala hard rocka.

- Cholera jasna - mruknęła Petra. - Wydaje im się, że czym ja jestem? Maszyną? Nie mogę przerabiać tego całego żarcia jak jakiś kuchenny robot.

- Robot bardzo by się nam przydał - oznajmiła Grace, wycierając ręce w fartuch. - No, skończyłam ze zmywaniem, więc mogę się zająć rybą i frytkami, a ty pilnuj męża.

- Dobry plan - powiedziała Petra. - Tylko uważaj, żebyś się nie oparzyła tą cholerną frytkownicą.

Grace spojrzała niepewnie na wrzący tłuszcz.

- Będę ostrożna.

Petra przejrzała zamówienia i zmarszczyła brwi.

- Trzy razy ryba z frytkami i jeszcze pięć hamburgerów.

- Robi się. - Grace wzięła kilka rozmrożonych filetów i zaczęła je panierować.

- Postaraj się, żeby porcje ważyły nie więcej niż piętnaście deka - poinstruowała ją Petra, wrzucając na grill pięć surowych hamburgerów. - Najlepiej, żeby miały około dziesięciu. Nie prowadzimy tu stołówki dla bezdomnych.

- Dziesięć deka to chyba trochę mało?

- Nie dla turystów. Oni i tak się na tym nie poznają. Panierka rośnie na oleju i porcje wyglądają na większe, a resztę miejsca na talerzu wypełniasz frytkami. Wszystko jest smażone, więc ma ten sam kolor. Nikt nie zauważa, gdzie kończy się ryba, a zaczynają frytki.

- Widzę, że rozwinęłaś to w rodzaj sztuki.

- Nie inaczej.

Drzwi otworzyły się znowu, ale tym razem przy dźwiękach ogłuszającej rockowej muzyki do kuchni wkroczył Luther. Zmarszczył brwi na widok Grace wkładającej do frytkownicy kosz pełen filetów.

- Uważaj na frytkownicę - ostrzegł. - To niebezpieczne urządzenie.

- Jestem bardzo ostrożna, możesz mi wierzyć.

- Myślałem, że miałaś zmywać naczynia - powiedział.

Petra podniosła wzrok znad hamburgerów.

- Dostała awans, z uwagi na fakt, że brakuje nam personelu. Jak wam idzie na sali?

- Tłoczno dziś i właśnie trafiła tu banda turystów. U was wszystko w porządku?

- A jak myślisz? - warknęła Petra. - Gorąco jak w piekle, a zamówień tyle, że nie ma czasu podrapać się w dupę.

- Czy na tym kanale telewizyjnym o gotowaniu kucharze też używają takich słów? - mruknął Luther.

- Gówno mnie to obchodzi - odparła Petra. - Nie nauczyłam się gotować, gapiąc się w cholerny telewizor.

- No cóż, ja jestem tylko barmanem - powiedział Luther. - Nie chcę zabierać czasu, więc zostawię was sam na sam ze szlachetną sztuką kulinarną.

Mrugnął do Grace i pchnął drzwi. Petra spojrzała za nim.

- Co to jest sztuka kulinarna, do diabła?

- Gotowanie - odparła Grace.

- No tak, jasne. Wiedziałam.

- Gdzie się nauczyłaś gotować? - spytała Grace.

- Kiedy kupiliśmy ten lokal, zatrudniliśmy zawodowego kucharza. Obserwowaliśmy go przez jakiś czas, więc gdy odszedł... prędzej czy później wszyscy odchodzą... całkiem nieźle radziłam sobie w kuchni. To łatwe. Jeśli tylko wrzucisz żarcie na grill albo do frytkownicy, ludzie to zjedzą. Tak już jest.

- Widzę, że przywiązujecie wielką wagę do zdrowej kuchni... A skąd wziął się u nas Luther?

- Trafił tu przypadkowo, jak reszta naszych stałych klientów.

Najpierw wpadał od czasu do czasu na piwo, albo na obiad. Kiedy było mało ludzi, rozmawialiśmy. Wiesz, jak to jest. Osoby silnie uzdolnione rozpoznają się w tłumie.

- Wiem - mruknęła Grace, przypominając sobie dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Luthera.

- Luther był gliną i pracował czasami dla J&J. Ja i Wayne mieliśmy podobne doświadczenia. Żadne z nas nie ma rodziny, więc chyba można powiedzieć, że dobrze się rozumiemy.

- I stworzyliście sobie rodzinę.

- Tak, coś w tym rodzaju.

- Ale jak to się stało, że Luther został barmanem?

- Po pewnym czasie pojawiły się problemy. W okolicy kwitł handel narkotykami, a do baru zaczęły przychodzić tanie prostytutki.

Parę razy doszło do bójki. Interweniowała policja. To wszystko wypłoszyło stałych klientów, więc Luther załatwił kilka spraw.

- Jak?

- No cóż, pozbył się najbardziej palących problemów. Klienci wrócili i od tego czasu nieźle nam się wiedzie.

Grace się uśmiechnęła.

- Kolejne zastosowanie jego zdolności?

- Mówiłam ci, że czasami się przydają.

Rozdział 32

Szalony Ray wydawał się jeszcze bardziej niespokojny niż zwykle. Luther posłał w jego stronę kojący energetyczny impuls i nakierował go na drzwi wraz z kilkoma pozostałymi klientami. Ray wyszedł pierwszy, lecz tuż za drzwiami zatrzymał się i odwrócił do Luthera.

- Lepiej dziś uważaj - poradził.

Ray rzadko wychodził ze świata swoich paranoi na tyle, by zbudować pełne zdanie. Luther kiwnął więc głową, dając mu do zrozumienia, że przyjął ostrzeżenie i zamierza potraktować je poważnie.

- Dziękuję - odparł. - Będę uważał. Ray zniknął w ciemności.

Za plecami Luthera stanął Wayne.

- Co z nim?

- Powiedział, że mam być ostrożny.

- Pewnie wyczuł energię, którą emanujemy. Wszyscy jesteśmy trochę spięci ze względu na Grace.

Luther przypomniał sobie dziwny lęk, który od czasu do czasu nachodził go tego wieczoru.

- Pewnie tak - stwierdził. - Chodźmy do Milly na zupę. To był długi dzień.

- Cholerni turyści.

- To Waikiki, Wayne, więc od czasu do czasu muszą się pojawić jacyś turyści.

- Może powinniśmy powiesić przy wejściu jakąś tabliczkę...

- Z napisem „Turystom wstęp wzbroniony”? Wątpię, czy spodobałoby się to facetom z Wydziału Turystyki i Rekreacji.

Gdy zjedli zupę u Milly, Grace ziewnęła i powiedziała:

- Kiedy to wszystko się skończy, napiszę poradnik pod tytułem Jak nabrać kondycji i stracić na wadze, myjąc naczynia i smażąc frytki przez osiem godzin dziennie.

- W Genealogii nie musisz się wysilać fizycznie - odparła Petra.

- Nie jesteś w formie.

- Wiem - przyznała, przeciągając się, Grace. Powąchała rękaw bluzki i zmarszczyła nos. - To niesamowite, jak zapach smażonej ryby wnika w ubrania.

- Przyzwyczaisz się - rzucił Wayne.

- Pora wracać do domu - oznajmił Luther. - Wezmę dzipa i podjadę pod wejście.

Wszyscy uważali, że wieczorem Grace nie powinna wracać do Sunset Surf Apartments pieszo, nawet w towarzystwie ochroniarza.

Luther zostawiał więc dzipa na pobliskim krytym parkingu, a po zamknięciu Dark Rainbow wracał po samochód, podczas gdy Grace zostawała u Milly z Wayne'em i Petrą.

Teraz, idąc w stronę garażu, myślał o tym, że za dwadzieścia minut znajdzie się w domu wraz z Grace. Położą się do łóżka i będą się kochać, jeśli Grace nie jest zbyt zmęczona. Potem ona przytuli się do niego i zaśnie w jego ramionach. Rano wstaną, zaparzą kawę i pokroją świeżą papaję.

Bardzo mu się podobał ten nowy rytuał. Do diabła, zdecydowanie nie chciał, żeby to wszystko się skończyło. Na Kuhio było jeszcze sporo ludzi. Zbliżając się do skrzyżowania, wyostrzył zmysły, skręcił za róg i ruszył wąską uliczką na parking przy starym hotelu, który zamknięto przed kilku laty. Okna na górze były zabite deskami, a basen zakryty. W otwartym niedawno nocnym klubie na pierwszym piętrze tego wieczoru było pełno gości.

Głośna, hard rockowa muzyka płynęła w noc, wraz z dzikimi wrzaskami napędzanymi przez alkohol i cały dzień słońca. Idąc na sam koniec parkingu, gdzie zostawił dzipa, odruchowo szukał wzrokiem błysków ludzkich aur między samochodami. Ogłuszająca muzyka atakowała go przy każdym otworze

w betonowej ścianie. Było ją słyszeć na schodach i na dolnym poziomie. Cały dzień dokuczała mu noga. Po powrocie do domu będzie musiał wziąć jeszcze kilka tabletek przeciwbólowych. Na myśl o tym ogarnęła go przemożna chęć połamania laski na kawałki i wrzucenia resztek do najbliższego kosza na śmieci. Wspomnienie mężczyzny, który go wtedy zaskoczył i postrzelił, znowu stało mu przed oczami. Odpuść sobie. Mogło być znacznie gorzej. Szedł w stronę dżipa z kluczykami w dłoni, wyculony na każdy ruch czy cokolwiek innego, co wydawałoby się podejrzanym. Na parkingu nie dostrzegał ani nie wyczuwał nic, co mogłoby zaniepokoić jego policyjną intuicję. Dlaczego więc czuł się nieswojo? Dzięki za troskę, Ray. I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

Dotarłszy do samochodu, otworzył pilotem centralny zamek i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Po prawej miał schody prowadzące do hotelowego holu i wejście do nocnego klubu. Kiedy zostawiał dżipa, było oświetlone, ale teraz ktoś wyłączył światło. Nagle Luther dostrzegł cienki strumień światła latarki. Wędrował po podejściu i betonowych stopniach. Człowiek, który tę latarkę trzymał, wychynął zza rogu sekundę później i zaczął schodzić w dół. Widać było tylko ciemną sylwetkę, ale jego aura pulsowała gorącymi barwami siły i potencjalnej przemocy. Luther skupił się na jej rytmie, tak na wszelki wypadek.

Mężczyzna zatrzymał się u stóp schodów. Chociaż jego aura zdawała się płonąć żywym ogniem, nie wykonał żadnego gwałtownego ruchu. W drugiej dłoni nie miał noża ani rewolweru. Po prostu stał, celując światłem latarki w pierś Luthera. Wyglądało to całkiem niegroźnie, ale policyjny instynkt wziął nad nim górę. Luther uderzył w mężczyznę falą miazdzącej energii. Nic się nie stało.

W następnej sekundzie zorientował się, że jego wyostrzone zmysły ulegają stępieniu. Nie widział już rytmu aury mężczyzny z latarką, jakby nagle oślepl. Coś tu było nie w porządku. Powinien wyraźnie go widzieć.

- Obawiam się, że zacząłeś stwarzać problemy, Malone - odezwał się mężczyzna. - Ale ja potrafię rozwiązywać takie problemy.

W jego słowach, które zdawały się dobiegać z głębi otchłani, brzmiała obietnica śmierci. Na parkingu robiło się coraz ciemniej, gęstniejący mrok błyskawicznie pochłaniał słabe światło lamp umieszczonych pod sufitem. Luther tracił wzrok. Był coraz słabszy, z trudem utrzymywał się na nogach. Zdał sobie sprawę, że umiera. W miejscu, w którym cienki promień latarki oświetlał jego pierś, zaczął czuć kłujący ból.

Zrozumiał, że właśnie to światło neutralizuje jego aurę. Wiedział też, że kiedy wyczerpie się jego pole energetyczne, umrze. Usiłował zebrać resztki siły, by się ruszyć, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. W obliczu tej odrętwiającej świetlistej mocy jego wola życia wydawała się bardzo słabą bronią.

- Kim jesteś? - wychrypiał.

- William Craigmore. Może o mnie słyszałeś?

- Rada... - z trudem wydobywał głos ze ściśniętego gardła.

Fallon i Zack Jones mieli rację. W najwyższych władzach Towarzystwa był szpieg. - Cień Nocy...

- Zgadza się - potwierdził Craigmore. - Należę do Cienia Nocy, a od piętnastu lat jestem też członkiem Rady. Niestety, wkrótce będę musiał ją opuścić. Wolalbym zostać jeszcze przez kilka lat, ale teraz, kiedy na czele Rady stanął Zack Jones, to niemożliwe. Jest naprawdę dobry, znacznie lepszy niż jego poprzednik. Niewiele brakowało, a zapobiegłbym jego wyborowi, ale cóż, sprawy ułożyły się niepomysłnie.

Luther milczał. Nie był już w stanie mówić. Jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki, z trudem chwycił powietrze. Ból nasilał się z każdą chwilą, przeszywając wszystkie jego zmysły.

- Jesteś silniejszy, niż sądziłem - powiedział Craigmor. - Większość ludzi już straciłaby przytomność. Fallon Jones zdołał ukryć prawdziwy poziom twoich zdolności. Ale po tylu latach spędzonych w Radzie znam większość tajemnic Towarzystwa, więc zdobyłem dostęp do kodów J&J. Wiem też, że również panna Renquist ma do zaoferowania więcej, niż zechciała udostępnić. Kiedy skończę z tobą, usunę także ją. To powinno załatwić sprawę.

Grace. Musi przeżyć, żeby ocalić Grace. Już samo jej imię, które pojawiło się w jego myślach, na kilka bezcennych sekund rozjaśniło umysł. Zrozumiał, że utrzymuje się na nogach tylko dzięki sile woli i lasce. Kurczowo zaciskał palce na rączce, pewny, że jeśli upadnie, już nie zdoła się podnieść. Jeśli upadnie.

Przestał walczyć z siłą świetlnego promienia i natychmiast stracił resztki sił. Laska wypadła mu z osłabłych palców i runął ciężko na twardą posadzkę. Chorą nogę przeszył ostry ból, ale zabójcze światło na kilka sekund ześlizgnęło się z jego piersi. W jednej chwili odzyskał wszystkie zmysły. Na parkingu zrobiło się jaśniej, znowu słyszał harmider dobiegający z nocnego klubu. Znowu mógł oddychać.

Wczołgał się pod dżipa, jak jakieś nocne stworzenie kryjące się w ciemności przed słońcem. Craigmor zaczął poruszać latarką, usiłując namierzyć ofiarę i znowu przyszpilić ją światłem. Luther czuł to światło na nogach, rękach i plecach. Ciężko niczym promień lasera, ale nie miało już tej siły rażenia jak wtedy, kiedy było wycelowane w jego pierś. Sprawiało mu ból, lecz był w stanie się poruszać.

W ciągu tych sekund, które wystarczyły mu, by ukryć się pod samochodem, jego zmysły zachowywały się jak zepsute przewody elektryczne, wciągając go w oszalamiający wir światła i ciemności, ciszy i hałasu. Teraz, rozplaszczony pod podwoziem, próbował wyczłgać się spod dżipa po jego drugiej stronie.

- Poddaj się - warknął Craigmor.

W jego głosie pobrzmiwała jakaś nowa nuta. Może gniewu? A może zdumienia? Na tym polega dramat osób uzdolnionych w kierunku aury. Nikt nie traktuje ich poważnie. Craigmor podszedł bliżej, ale zatrzymał się kilka kroków od dżipa, jakby chciał zachować bezpieczny dystans. Pewnie przyszło mu do głowy, że były policjant może mieć przy sobie broń.

Gdybym tylko rzeczywiście ją miał, pomyślał Luther.

- Widziałem, jak szedłeś ulicą - powiedział Craigmor. - Obaj wiemy, że nie jesteś w stanie biegać. Nie z tą nogą. Ale nawet gdybyś był w dobrej formie, i tak nie zdołałbyś uciec przed moją małą latarką. Lepiej więc od razu wyjdź spod tego samochodu. Zrobię to szybko, obiecuję.

Adrenalina okazała się doskonałym środkiem znieczulającym. Ignorując ból rozdzierający udo, Luther otworzył drzwiczki od strony pasażera, wskoczył na przednie siedzenie, przesunął się na miejsce za kierownicą i wcisnął guzik zamykający wszystkie drzwi. Miał zamiar poddać swoje uzdolnienia trudnemu testowi. Jeśli przecenia swoje możliwości - już jest martwy.

Załoczył, że ten strumień światła musi być paranormalny. Inaczej nie potrafił wytłumaczyć faktu, że latarka miała taki wpływ na jego aurę. Większość ciał stałych, na przykład stal czy beton, zatrzymuje fale energii paranormalnej. Ciecze ją z kolei przewodzą. Kryształy i pewne powierzchnie odbijające światło, choć stałe, należą do trzeciej kategorii: można ich używać do skupiania energii, jeśli, rzecz jasna, wie się, jak to robić.

Natomiast szkło według praw parafizyki należy do kategorii czwartej. Nie jest ani kryształem, ani cieczą, lecz posiada cechy obu tych stanów skupienia. Bariera utworzona przez szkło na ogół znacznie spowalnia lub nawet zakłóca fale przepływającej przez nie energii.

Istniało jednak wiele wyjątków od tej reguły. Badacze Towarzystwa wciąż niewiele wiedzieli o naturze szkła. Pewne było tylko to, że to materiał nieprzewidywalny. Luther włączył silnik. Gdy Craigmöre wycelował w niego promień przez szybę w bocznym oknie, zaczął drżeć. Światło nie zdołało go jednak sparaliżować. Schylił się, by umknąć spod promienia, wrzucił wsteczny, wcisnął gaz i ruszył na oślep.

Dżip skoczył w tył z piskiem opon. Tylna szyba eksplodowała. Cholera! Drań miał zwykły rewolwer. A że kule, choć zachowywały się zgodnie z prawami fizyki, nie wydawały żadnego dźwięku, musiał mieć też tłumik.

Luther gwałtownie przekręcił kierownicę w lewo i ruszył prosto na Craigmöre'a. Ten najwyraźniej uznał, że laser już mu się nie przyda, bo znowu wycelował z rewolweru. Luther pochylił się błyskawicznie, a chwilę potem przednia szyba rozpadła się na tysiąc kawałków, które spadły z chrzęstem na przednie siedzenia. Tarcza chroniąca go przed światłem lasera przestała istnieć.

Ale dżip nadal pędził przed siebie, więc Craigmöre nie miał czasu wycelować śmiertcionośnego promienia. Luther wcisnął hamulec i skupił się na aurze Craigmöre'a. Zalał go swoją energią w chwili, gdy ten celował do niego jednocześnie z rewolweru i lasera.

Trafić w czyjąś głowę jest niezwykle trudno, zwłaszcza kiedy człowiekowi tak bardzo chce się spać...

Craigmöre zachwiał się, potknął i upadł. Laser wysunął mu się z dłoni i potoczył po betonie. Jego światło natychmiast zgasło. Luther zatrzymał samochód, otworzył drzwiczki i wyskoczył na zewnątrz. Opierając się o maskę stojącego w pobliżu auta, podszedł do Craigmöre'a, który leżał na brzuchu na poplamionym smarem betonie.

O dziwo, nadal ścisnął w dłoni rewolwer i próbował z niego celować. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Strzelił, ale Luther zdążył odskoczyć. Stracił przy tym równowagę i znowu się przewrócił. Craigmöre chciał strzelić ponownie, lecz kolejny atak energii na jego aurę pozbawił go orientacji.

Luther maksymalnie wyostrzył zmysły, rzucił się do przodu i wylądował na przeciwniku. Chwycił go za rękę i wykręcił ją, jednocześnie wysyłając całą swoją energią w stronę pulsującej dziko aury Craigmöre'a. Na płaszczyźnie paranormalnej pojawił się oślepiający błysk. Luther miał wrażenie, że jego zmysły zostały sparaliżowane. Widział, jak Craigmöre otwiera usta, jakby chciał krzyknąć, ale nie był w stanie. Wydał tylko zduszony, upiorny jęk i szeroko otworzył oczy.

Kilka razy drgnął konwulsyjnie, a potem znieruchomiał. Jego aura zgasła, tak jak kilka chwil wcześniej światło lasera. Rewolwer stuknął głucho o posadzkę. Dopiero po długiej chwili Luther poczuł, że jego zmysły wracają do normy. Uświadomił sobie, że zaciska dłoń na ramieniu trupa. Puścił je, stoczył się z martwego ciała i przez chwilę leżał na zimnym betonie, usiłując złapać oddech. Najpierw usłyszał ledwie słyszalny odgłos kroków, a zaraz potem dostrzegł błysk czyjejś aury. Nie poruszył się.

- To ja - powiedział półgłosem.

Wayne wyszedł z klatki schodowej. W ręce trzymał rewolwer i wydawał się niesamowicie spokojny, a także w pełni skoncentrowany.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nic. - Luther się odprężył. - Czekał na mnie. To była zasadzka.
- Ale co ty tu robisz? Zaczekaj, sam zgadnę. Petra miała przeczucie, tak?
- Wayne wzruszył ramionami i schował rewolwer do kabury pod nogawką.
- Obie miały przeczucie - odparł.
- Obie?
- Grace i Petra. Obie wyczuły jakąś złą energię. Grace chciała tu ze mną przyjść. Petra prawie musiała ją związać.
- Powinienem być poważnie potraktować ostrzeżenia Raya.
- Czemu miałbyś potraktować je poważnie? Przecież Ray jest szalony.

Rozdział 33

- Mam pogadać z naszym człowiekiem z policji w Honolulu? - spytał Fallon Jones.
- Nie musisz - odparł Luther. - Craigmores miał tłumik. Nikt nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Petra i Wayne po wszystkim posprzątaali.
- Był z Grace w swoim mieszkaniu. On rozmawiał przez telefon, starając się nie zwracać uwagi na bolesne skutki energetycznego poparzenia. Ona wpatrywała się w monitor komputera, przeczesując dane genealogiczne. Luther bardzo się starał, żeby podczas rozmowy z Fallonem zachować przytomność umysłu. Tak naprawdę powinien teraz wypić dużą whisky i położyć się spać.
- Co zrobiliście z ciałem? - spytał Jones, pragmatyczny jak zawsze.
- To Hawaje. Bywa tu bardzo ciepło. Owinęliśmy je w folię kuchenną i wsadziliśmy do restauracyjnej chłodni.
- Na szczęście Petra znalazła w sklepie odpowiednio duże płachty folii. Kupiła je w ilości przemysłowej.
- Dyskrecja nie leży w twojej naturze, co? - burknął Fallon. - Craigmores należał do najbardziej znanych członków Towarzystwa.
- Przez piętnaście lat zasiadał w Radzie i miał ogromne wpływy. A teraz okazało się, że to zdrajca.
- Jakie miał uzdolnienia? - spytał Luther.
- Był tak zwanym generatorem kryształów - odparł Fallon.
- Co to znaczy?
- Pracował z kryształami. Potrafił kanalizować energię przy użyciu kilku niezwykle rzadkich kamieni szlachetnych. Ten laser, który opisałeś, najprawdopodobniej zakłócał i neutralizował aurę.
- Gdzie, u diabła, zdobył coś takiego?
- Dobre pytanie. Ciągłe nad tym pracujemy. Nie wyprodukowano go w naszych laboratoriach, to pewne. Podejrzewam, że został zaprojektowany specjalnie na potrzeby talentu Craigmores'a i tej agencji rządowej, dla której pracował.
- Craigmores pracował dla rządu?
- Istnieje ponad dwadzieścia rządowych agencji, których zadaniem jest dbanie o bezpieczeństwo państwa, i służba wywiadowcza. Wszystkie mają wydziały do zadań specjalnych i raz na jakiś czas któraś z nich decyduje się na eksperymenty ze sferą paranormalną. Nie oficjalnie, rzecz jasna, bo to by oznaczało konieczność usprawiedliwienia poniesionych wydatków przed Kongresem. A wtedy media miałyby używanie, bez końca rozwodziłyby się nad faktem, że federalni wydają pieniądze podatników na science fiction.

Luther dobrze rozumiał irytację Jonesa. Stosunek społeczeństwa do sfery paranormalnej frustrował, a często nawet doprowadzał do wściekłości wielu członków Towarzystwa.

- Pewnie mają dość kłopotów z wytłumaczeniem ludziom, dlaczego zbrojenia są takie kosztowne - mruknął. - Spróbuj im jeszcze powiedzieć, że podatki idą na badania nad woodoo.

- Jak, do diabła, ludzie tacy jak ja, ty, Grace i wszyscy inni członkowie Towarzystwa, mają udowodnić, że nie są świrami, skoro oficjalnie wszyscy twierdzą, że sfera paranormalna nie istnieje? To jak paragraf 22. Jak nowe szaty cesarza. Krótkowzroczni, debilni i...

- Masz rację, Fallon, ale może wrócimy do pytania, co zrobić z ciałem Craigmora'a. Potrafię wpływać na cudzą aurę i jestem w tym całkiem niezły, ale nawet ja mam pewne ograniczenia. Jeśli ktoś z Wydziału Zdrowia wstąpi jutro do restauracji, raczej nie zdołam mu wmówić, że trup w chłodni to na Hawajach norma.

- Przepraszam. Zwykle nie odchodzę aż tak daleko od tematu.

- Wiem.

To, że Jones nie potrafił się skoncentrować, wiele mówiło o zaistniałej sytuacji.

- Wasze odkrycie poważnie mnie zaniepokoiło - ciągnął Fallon. - Cień Nocy okazał się potężniejszy i lepiej zorganizowany, niż przypuszczaliśmy. I jesteśmy z tym zupełnie sami. To prawda, pomyślał Luther. Zagrożenie ze strony Cienia Nocy było pod każdym względem realne. Rada próbowała uporać się z tym problemem, ale tę walkę znacznie utrudniał fakt, że toczyła się w ukryciu.

Dla większości ludzi wszystko, co wiąże się ze sferą nadprzyrodzoną, należy do świata rozrywki, świata książek, filmów i telewizji. Ludzie martwią się realnymi problemami: globalnym ociepleniem i światowym terroryzmem. Nikt nie potraktowałby poważnie informacji o tajnej organizacji skupiającej złych ludzi, obdarzonych zdolnościami nadprzyrodzonymi. Zwłaszcza gdyby o jej istnieniu dowiedzieli się od równie tajnego stowarzyszenia, które zajmuje się badaniem zjawisk paranormalnych.

Członkowie Towarzystwa Arkane pracujący w różnych agencjach rządowych czy w policji mogli służyć J&J pomocą, ale zwykle w ograniczonym zakresie. Poza mogła to być tylko pomoc nieformalna. Informowanie innych o swoich nadprzyrodzonych zdolnościach stanowiłoby poważne ryzyko dla kariery każdego, kto nie jest przywódcą sekty.

- Jeśli chodzi o ciało - podjął Luther - mamy dwa wyjścia. Albo Petra i Wayne wywiozą je na swojej łodzi i wrzucą do morza, albo ty zorganizujesz oddanie zwłok rodzinie.

- Craigmora nie miał żadnej rodziny. Trzy razy był żonaty, ale nie miał dzieci. Podobno był bezpłodny. Jego ostatnia żona zmarła prawie dziesięć lat temu. Ciała nie można wrzucić do morza. Ktoś taki jak Craigmora nie może tak po prostu zniknąć. Ludzie zaczęliby gadać. Daj mi chwilę na zastanowienie.

Luther słuchał, jak Fallon uderza w klawisze komputera.

- Wygląda na to, że przyleciał tu samolotem rejsowym - powiedział w końcu Jones - bo jego prywatny odrzutowiec stoi w Los Angeles. Pewnie nie chciał, żeby ktoś wiedział o jego podróży, co z kolei sugeruje, że kupując bilet, posłużył się fałszywymi dokumentami. Jesteśmy czyści.

Luther zmarszczył brwi, usiłując nadażyć za rozumowaniem Fallona.

- Czyści? W jakim sensie?

- Nikt nie wie, że Craigmora poleciał na Hawaje, więc nikt nie będzie się dziwił, że znaleziono go martwego w jego domu w Los Angeles - wyjaśnił Jones. - Wyślę po ciało firmowy samolot z chłodnią na pokładzie.

- Będzie autopsja?

- Raczej nie. To będzie wyglądało, jakby zmarł na atak serca i został odnaleziony dopiero po kilku godzinach. Miał siedemdziesiąt lat. Nikt nie zakwestionuje przyczyny zgonu.

- Ale jeśli jednak zrobią sekcję?

- Stwierdzą śmierć z przyczyn naturalnych - odparł Fallon z roztargnieniem. Jego uwagę pochłaniał już następny ruch, który powinien wykonać w tej skomplikowanej, trójwymiarowej grze.

- Skąd ta pewność? - odparł Luther.

- Nie ty jeden potrafisz wpływać na cudzą aurę.

- Nie? - Luther zerknął na Grace. Nadal patrzyła w ekran monitora, wiedział jednak, że jednocześnie słucha jego rozmowy z Fallonem.

- Więc są inni?

- Kilka osób. To niezwykle rzadka odmiana talentu ukierunkowanego na aurę. Wymaga bardzo wysokiego poziomu zdolności, a obaj wiemy, że taki posiadasz. Poza tym, w każdym ze znanych mi przypadków, taka osoba musiała wejść w kontakt fizyczny z ofiarą, by móc zdusić jej pole energetyczne.

- Walczyliśmy - powiedział Luther i spojrzał na swoje dłonie. - Akurat na nim leżałem. Fallon nadal stukał w klawisze komputera.

- Trzeba czasu, żeby po takiej akcji dojść do siebie. Pewnie chętnie byś się teraz przespał - domyślił się.

- Naprawdę tak sądzisz? - burknął Luther. Szkoda, że Fallon jest tak daleko, pomyślał. Miło byłoby złapać go za gardło.

- Jest jeszcze kilka rzeczy, o których powinieneś wiedzieć - oznajmił Jones.

- Mów.

- W aktach Towarzystwa natknąłem się na starą pracę naukową na ten temat. Jej autor porównuje pozbawienie kogoś życia w taki sposób, w jaki ty to właśnie zrobiłeś, z zabójstwem w walce wręcz, gołymi rękami albo z użyciem noża. Luther zacisnął palce na lasce.

- Dzięki za informację.

- Dlatego istnieje możliwość wystąpienia pewnych następstw parapsychicznych - dodał Fallon.

- O czym ty mówisz?

- O stresie pourazowym i takich tam. Autor tej pracy twierdzi, że następstwa bywają kompletnie nieprzewidywalne.

- I nie przyszło ci do głowy, żeby mnie o tym wszystkim poinformować wcześniej?

- Nie - odparł Fallon.

- Dlaczego?

- Cóż, nigdy nie wiadomo, czy ktoś uzdolniony w kierunku aury potrafi zdusić czyjeś pole energetyczne, dopóki tego rzeczywiście nie dokona. To w zasadzie wyklucza próby eksperymentalne, przynajmniej w ramach Towarzystwa. Poza tym wszystkie osoby, które potrafiły generować ten rodzaj energii, należały do grupy o najwyższych poziomach uzdolnień. Towarzystwo nie chce, by tego rodzaju sprawy trafiały na łamy prasy brukowej czy do Internetu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że ukryłeś przede mną te informacje.

- Jak już wspominałem, nigdy nie wiadomo, do czego człowiek jest zdolny, dopóki tego nie zrobi - powiedział Fallon i na chwilę znowu zapadła cisza, przerywana tylko stukaniem klawiszy. - O, mam

coś interesującego.

- Nie wiem, czy zniosę więcej takich interesujących wiadomości.

- Według tego, co twierdzą eksperci, ty właściwie nie zabiłeś Craigmora'a.

- Zaczynam się czuć jak Alicja w Krainie Czarów.

- Chodzi o to - ciągnął niestropiony tym brakiem entuzjazmu Jones - że prawdopodobnie tylko odbiłeś negatywną energię, którą wytwarzał Craigmora. Twoja aura zadziałała jak lustro. Kiedy wszedłeś z nim w fizyczny kontakt, to, czym chciał cię zabić, uderzyło w niego. Krótko mówiąc, Craigmora zginął od rykoszetu.

- Wierz mi, w takich sytuacjach nie zostają żadne ślady natury fizycznej. Będzie to wyglądało, jakby serce Craigmora'a nagle stanęło.

W sumie śmierć zawsze właśnie do tego się sprowadza, bez względu na to, co ją powoduje.

- Craigmora był bardzo bogaty - powiedział Luther. - Ktokolwiek odziedziczy jego imperium finansowe, może być zainteresowany prawdziwą przyczyną zgonu.

- Kilka lat temu Craigmora poinformował poprzedniego Mistrza, że zamierza zostawić cały swój majątek Towarzystwu na potrzeby dalszych badań naukowych. Wątpię, czy w tych okolicznościach Rada będzie zadawać jakieś pytania.

- A jeśli Craigmora zmienił zdanie co do spadku? Przecież był członkiem Cienia Nocy.

- Sam jestem ciekaw, co postanowił - odparł Fallon. - Moi ludzie są już w drodze do domu Craigmora'a. Zobaczmy, czego uda im się dogrzebać. Na szczęście Craigmora chyba się nie zorientował, że ty i Grace wpadliście na Maui na ludzi z Cienia Nocy. Sądził, że interesuje was tylko Eubanks, skoro J&J prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa, o które był podejrzany.

- Craigmora był członkiem Rady. Czemu nie dowiedział się, że natknęliśmy się tu na spotkanie członków Cienia Nocy?

- Dlatego, że nie wprowadziłem żadnych informacji na ten temat do komputera, i dlatego, że Zack postanowił nie informować Rady o waszym odkryciu - wyjaśnił Fallon.

Luther gwizdnął przeciągle.

- Naprawdę baliście się szpiega, co?

- Mówiłem ci przecież. Zack wyczuł, że gdzieś wysoko w strukturach Towarzystwa jest wtyczka Cienia Nocy. Zaczął nawet podejrzewać, że to może być ktoś z Rady. A teraz pytanie za sto dolarów: Ilu jeszcze członków Rady należy do Cienia Nocy?

- Domyślasz się, dlaczego Craigmora chciał zlikwidować Eubanksa?

- Jeszcze nie - przyznał Fallon. - Dopiero zacząłem nad tym pracować. Podejrzewam, że chodziło o rywalizację. Może Eubanks i Craigmora ostrzyli sobie zęby na to samo stanowisko w Cieniu Nocy.

- Ale dlaczego, u diabła, zaatakował mnie?

- Bo chronisz Grace - odparł Jones z charakterystyczną dla niego miażdżącą logiką.

Lutherowi nagle zrobiło się zimno.

- Grace mogła mu przeszkadzać tylko z jednego powodu - powiedział. - Bo może rozpoznać śpiewaczkę.

- Zgadza się. Craigmora musiał być pewien, że jeśli odszukamy śpiewaczkę, ona zaprowadzi nas prosto do niego.

Luther zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

- Czemu więc po prostu nie załatwił śpiewaczki? Przecież w ten sposób odciąłby nam drogę do siebie.

- Bo ta śpiewaczka to profesjonalistka, tak jak Sweetwater.

Niełatwo byłoby ją namierzyć, a co dopiero usunąć - odparł Fallon i rozłączył się bez pożegnania, tak jak miał w zwyczaju.

Rozdział 34

Luther odłożył telefon i ciężko opadł na kanapę. Był potwornie zmęczony. Wyczerpanie starciem z Craigmorem coraz bardziej dawało mu się we znaki.

- Fallon mówi, że Sweetwater nadal prowadzi intensywne poszukiwania syreny - zwrócił się do Grace. - Jest pewien, że niedługo ją znajdzie.

- To dobrze - odparła, po czym wstała i poszła do kuchni.

Wyjęła z szafki butelkę whisky, nalała sporą porcję do szklanki, wróciła do pokoju i podała szklankę Lutherowi. Podziękował i upił solidny łyk.

- Dzięki - mruknął - tego mi było trzeba.

Grace usiadła obok niego, położyła dłoń na jego udzie i zaczęła je masować. Luther milczał, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Wreszcie upił kolejny łyk whisky i powiedział:

- Fallon był dzisiaj jakiś dziwny.

- To znaczy jaki?

- Sam nie wiem. Zmęczony. Niespokojny. Przygnębiony. A może przytłoczony? Nie potrafię tego określić. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał. Zawsze był...

- Zawsze był Fallonem?

- Tak. Odkąd go znam, zawsze był Fallonem. Naturalnym żywiołem, jak tsunami albo burza. Ale nie dziś.

- Tylko J&J może powstrzymać Cień Nocy, a Fallon Jones jest szefem agencji - powiedziała Grace. - Odpowiedzialność za wynik tej walki spoczywa na jego barkach. Przydałby mu się ktoś do pomocy.

- Kto?

Grace zastanawiała się przez chwilę.

- Ktoś, z kim mógłby rozmawiać. Ktoś, komu mógłby zaufać. A przede wszystkim ktoś, kto zdjąłby z niego część odpowiedzialności. Może jakiś asystent?

Luther pokręcił głową.

- Fallon nigdy nie zatrudni asystenta. Pracuje sam, tak jak ja.

- Na Maui nie pracowałeś sam. Ja też tam byłam, pamiętasz? I nadal jestem przy tobie.

- Tylko dlatego, że nie puszcę cię nigdzie samej, dopóki potrzebujesz ochrony - odrzekł Luther.

- Nie - powiedziała cicho. - Jestem tu, bo tego chcę. Luther patrzył przed siebie, w ciemność.

- Żyjesz chwilą? - spytał wreszcie.

- Bieżąca chwila to wszystko co mamy, czyż nie?

- Nie - odparł. - Mamy też przeszłość. Westchnęła.

- To prawda - przyznała z westchnieniem.

Oboje milczeli jakiś czas, wreszcie Grace się odezwała:

- Wiem, jak to jest.

- Życ chwilą?

- Nie, zabić kogoś swoją aurą. Mnie też się to zdarzyło, pamiętasz?

Spojrzał na nią ponad brzegiem szklanki.

- Nie wiem, ile w tym prawdy, ale Fallon twierdzi, że z technicznego punktu widzenia nikogo nie zabił. Wykorzystaliśmy tylko naszą energię do odbicia energii naszych przeciwników. Fale energetyczne powstałe w tym procesie zneutralizowały ich aury. Zginęli od rykoszetu. Grace myślała nad tym dłuższą chwilę.

- Interesujące, ale właściwie niczego nie zmienia. Tak czy inaczej jesteśmy odpowiedzialni za śmierć tych ludzi. Bez względu na to, jak byli źli i jak bardzo na to zasługiwali, oboje musimy żyć z tą świadomością.

- Masz rację - przyznał.

- On chciał cię zabić, Luther. Walczyłeś o życie.

- Jego aura zgasła tak nagle, jak ten cholerny laser. Jakby ktoś przekręcił wyłącznik.

- Wiem, jak to wygląda i jak czuje się człowiek, który na to patrzy. Świadomość, że możesz odebrać komuś życie, nie używając żadnej broni, jest przerażająca.

Luther dopił whisky.

- Masz wrażenie, że jest w tobie coś, co nie jest ludzkie - powiedział.

- Akurat to jest ludzkie - odparła. - Bo ludzie zawsze potrafili zabijać. Ale kiedy używamy swojego daru w taki sposób, płacimy wysoką cenę. Nikt, kto to zrobił, nie jest już potem taki sam.

- Ja, ty, Petra i Wayne na pewno nie jesteśmy. Ale tacy ludzie jak Sweetwater?

- Sądzę, że członkowie rodziny Sweetwaterów także. Może właśnie dlatego trzymają się razem. Potrzebują siebie nawzajem, żeby jakoś przetrwać to, co robią, by zarobić na życie. Jedno jest pewne: żaden z nich nigdy nie miał żadnych przyjaciół poza rodziną, nawet w dzieciństwie. Nie mogą sobie pozwolić na to, by zaufać komuś z zewnątrz.

- Tak, pewnie już w dzieciństwie muszą ukrywać przed rówieśnikami, czym zajmuje się tatuś. Dzieci mają długie języki.

- A później muszą się nauczyć okłamywać wszystkich, z którymi się stykają. Znalezienie sobie męża czy żony też jest bardzo trudne, jeśli nosisz nazwisko Sweetwater.

- Praca w takiej rodzinnej firmie musi bardzo ograniczać - stwierdził Luther. - Nie można pogadać o robocie z kumplami od golfa.

- Ale z ludźmi takimi jak ty i ja jest inaczej. Świadomość, że możesz zabić kogoś swoją aurą, sprawia, że zaczynasz się czuć... - Grace urwała, szukając odpowiedniego określenia.

- Jak jakaś dzika istota - odpowiedział Luther.

- No właśnie - zgodziła się. - Nie lubimy myśleć o sobie w taki sposób. To niszczy nasze poczucie tożsamości. Ale przecież jesteśmy wojownikami. I kiedy dochodzi do najgorszego, walczymy i zwyciężamy albo ginimy w walce. Chyba po prostu musimy zaakceptować ten aspekt naszej natury.

Luther, nie odrywając wzroku od ciemnego okna, położył dłoń na ręce Grace. A ona oplotła ją palcami, wstała i pociągnęła go za sobą do sypialni.

Kochali się szybko i gwałtownie, jakby na potwierdzenie słów Grace. Ale oboje byli zwycięzcami. Luthera obudził dzwonek telefonu. Otworzył oczy i spojrzał w rozświetlone słońcem okno. Dochodzi dziesiąta, pomyślał. Sięgnął po komórkę i odebrał połączenie.

- Kilka minut temu paczka została odebrana - powiedziała Petra.

- Widzieliśmy, jak samolot odlatuje na kontynent. Teraz jesteśmy czyści. Inspektor z Wydziału Zdrowia może przyjść, kiedy tylko zechce.

- Dzięki - odparł Luther.

- Nie ma sprawy. Było jak za dawnych czasów. Jak się czujesz?

- Dobrze.
 - Zrobiłeś to, co musiałeś. Przestań o tym myśleć i zjedz śniadanie z Grace.
- Luther zamknął telefon i spojrzał na Grace.
- Petra mówi, żebym przestał o tym myśleć i zjadł z tobą śniadanie.
- Uśmiechnęła się do niego.
- Świetny pomysł.

Rozdział 35

Grace wydułbała z papai kilka drobnych czarnych ziarenek i położyła owoc na talerzu. Luther przyglądał jej się ponuro, kiedy parzyła kawę. Ciągle jeszcze przeżywa to, co się stało na parkingu, pomyślała. Potrzebuje czasu.

- Nie jesteś przyzwyczajona do takich miejsc, prawda? - zagadnął.

Zaskoczona, przerwała układanie talerzy na kuchennym stole.

- Jakich?
- Takich jak to mieszkanie. - Wskazał głową zagracony pokój z aneksem kuchennym i znajdującą się nieco dalej sypialnię. - Nie jest w twoim stylu. Domyśliłem się tego od razu, kiedy tylko weszliśmy do apartamentu na Maui. Nawet ci powieka nie drgnęła. Grace odłożyła talerze na stole, niepewna, dokąd zmierza ta rozmowa.

- A powinna mi drgnąć? - spytała ostrożnie.

- Nie, bo jesteś przyzwyczajona do podróży pierwszą klasą.

- Aha - odparła z uśmiechem.

- A co to, do diabła, ma znaczyć?

- To znaczy, że teraz już wiem, o co ci chodzi. Owszem, przez ponad dziesięć lat podróżowałam pierwszą klasą. Martin Crocker umiał zarabiać pieniądze i dobrze mi płacił. Ale zanim go poznałam, zajmowałam mieszkanie mniej więcej takiej wielkości jak to i kupowałam ubrania w sklepach z używaną odzieżą.

Luther zlustrował Grace od stóp do głów, dając jej do zrozumienia, że zauważył, iż spodnie i bluzka, które ma na sobie, na pewno nie pochodzą ze sklepu z używanymi rzeczami.

- W J&J także dobrze mi płacą - rzuciła sucho. - Jestem pewna, że tobie też.

Luther zajął się ekspresem do kawy.

- W ciągu kilku ubiegłych lat miałem sporo wydatków.

- No cóż, rozwody nie są tanie. To cena, jaką musisz zapłacić za swój romantyzm. Kawa już gotowa?

Luther spojrzał gniewnie na ekspres.

- Tak.

W końcu Grace straciła cierpliwość.

- Wyjaśnijmy sobie coś. Żyłam w dostatku, ale żyłam też na ulicy. Życie w dostatku jest z pewnością przyjemniejsze, ale w żadnym z miejsc, w których mieszkałam, nie czułam się jak w domu, nawet w moim małym domku w Eclipse Bay. A w tym mieszkaniu i w Dark Rainbow czuję się jak u siebie. A teraz może zastosujesz się do rad Petry, to znaczy przestaniesz o tym myśleć i nalejesz kawy?

Luther przez chwilę stał nieruchomo. Wreszcie uśmiechnął się i sięgnął po dzbanek.

- Czemu nie?

Patrzyła, jak napełnia kubki.

- Może opowiesz mi teraz o tym wypadku? Podał jej kawę.
- Zostałem postrzelony podczas pracy przy jednym ze zleceń od J&J.
- Postrzelony? - Grace spojrzała na niego przerażona. - Wcześniej wspominałeś, że to był wypadek?
- Bo był. - Luther wziął swój kubek, podpierając się laską, obszedł stół i usiadł naprzeciwko niej. - Ktoś pociągnął za cyngiel, a tak się złożyło, że akurat stałem przed wylotem lufy. Najwyraźniej znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.
- Moim zdaniem ta sytuacja w pełni odpowiada definicji wypadku.
- Dobry Boże.
- Na szczęście w ostatniej chwili coś mnie tknęło - powiedział z ustami pełnymi papai. - W każdym razie miałem jeszcze dość czasu, żeby odskoczyć. Mężczyzna, który strzelał, celował w plecy. Ale trafił w udo.
- Co to była za sprawa?
- Rutynowe dochodzenie zleczone przez J&J. Jedno z tych dyskretnych zadań dla prywatnego detektywa. Klientka chciała, żebym chronił ją przed byłym mężem. Twierdziła, że ją prześladowuje.
- Twierdziła?
- Sądziła, że zdoła mnie skłonić do załatwienia faceta.
- Dlaczego uważała, że przekona cię do zrobienia czegoś takiego?
- Była uzdolniona strategicznie. Siódmy poziom. Wiesz, jacy są stratedzy. Sądzą, że mogą wszystkimi manipulować i każdego przechytrzyć. Zawsze im się wydaje, że są najmądrzejsi na świecie.
- Cóż, zwykle bardzo dobrze grają w szachy - stwierdziła Grace.
- Czy ona nie wiedziała, że bardzo trudno jest manipulować uzdolnionymi w kierunku aury, bo my zawsze to wyczuwamy?
- Jak większość uzdolnionych parapsychicznie nie miała najlepszego zdania o darze dostrzegania aury. Myślała, że widzimy tylko słabe promieniowanie i ludzi w formie wielkich żarówek.
- Grace pokiwała głową.
- Typowe.
- Kiedy skontaktowała się z J&J, od razu zastrzegła, że nie zamierza płacić za kogoś obdarzonego wybitnymi zdolnościami. I zażyczyła sobie kogoś, kto czyta z aury.
- Nie chciała ryzykować.
- Zgadza się. Tak naprawdę wolałaby zwykłego prywatnego detektywa, kogoś bez żadnych zdolności parapsychicznych, ale nie miała wyboru. Powiedziała wszystkim, w tym całej swojej rodzinie, że śmiertelnie się boi swojego byłego. Wszyscy jej krewni są członkami Towarzystwa, nalegali więc, żeby zatrudniła ochroniarza z J&J. Nie mogła się wycofać.
- Ale nie spodziewała się kogoś o wybitnym talencie.
- Nie знаła mojego poziomu uzdolnień - przyznał Luther. - Ale nawet gdyby znała, nie przejęłaby się tym zbyt. Wystarczyło jej, że mam zdolności w kierunku aury. Fallon coś podejrzewał.
- On zawsze coś podejrzewa.
- To prawda. Ja też miałem wątpliwości, ale żaden z nas nie bardzo wiedział, co wydaje nam się takie podejrzane, a bardzo potrzebowałem pieniędzy.
- Więc przyjąłeś to zlecenie.
- Klientka założyła, że jestem tylko tępym mięśniakiem.
- Pomyliła się.
- Z przykrością muszę przyznać, że chyba nie była daleka od prawdy - mruknął Luther. - W końcu

omal mnie nie zabiła.

- Jak to się stało?

- Były mąż wcale jej nie prześladował. Prawdę mówiąc, nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Kiedy w końcu zrozumiałem, że ona po prostu chce się go pozbyć, poinformowałem ją, że nie zajmuję się takimi rzeczami. Jak już wspomniałem, była uzdolniona strategicznie. Wiedziała, że prawdopodobnie nie tylko wycofam się ze zlecenia, ale i ostrzegę jej byłego męża.

- I co zrobiła?

- Straciła panowanie nad sobą. - Luther nabrał na widelec trochę jajeczniczy, włożył do ust i przełknął. - Wpadła we wściekłość i zaczęła wrzeszczeć, że wszystko zepsułem. Właśnie wtedy dowiedziałem się, że planowała zabójstwo byłego męża.

- Domyślam się, że wpłynąłeś na jej aurę, skoro tak nagle zaczęła ci się zwierzać?

Luther wzruszył ramionami.

- Uznałem, że mam prawo wiedzieć, w co próbowała mnie zrobić. Okazało się, że zamierzała pozbyć się męża, bo chciała dostać jego udziały w firmie, którą razem założyli.

- I wtedy cię postrzeliła?

- Nie. Podczas gdy na mnie wrzeszczała, a ja byłem skoncentrowany na jej aurze, z holu wyszedł jej kochanek, stanął za moimi plecami i strzelił.

- Miała kochanka?

- To była skomplikowana sytuacja.

- Jak to się stało, że nagle coś cię tknęło?

- Stałem tyłem do holu, a ona przodem. Kiedy zobaczyła kochanka z rewolwerem, jej aura gwałtownie rozbłysła. Wiedziałem, że coś się stało, i wtedy zadziałał instykt policjanta. Dostałem w udo.

A zanim jej kochanek zdążył strzelić po raz drugi, uśpiłem go.

- W samą porę - powiedziała Grace. - Co się stało z tą klientką i jej kochankiem?

- Oboje siedzą w więzieniu, ale pewnie wyjdą wcześniej za dobre sprawowanie. Jej rodzina ma mnóstwo pieniędzy i kilku dobrych prawników w swoich szeregach. Grace kiwnęła głową i wróciła do jedzenia papai, starając się jak najbardziej przedłużyć tę czynność. W tej chwili wszystko jest idealne, pomyślała. Rozgrzany słońcem pokój, zapach kwiatów w powietrzu, Luther siedzący naprzeciwko. Ale takie chwile nie trwają wiecznie. Ona wiedziała o tym najlepiej. Odłożyła łyżeczkę.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

- O cholera. Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- Nie cierpię rozmów, które zaczynają się od słów „musimy porozmawiać”.

- Przykro mi. - Grace wyprostowała się na krześle. - Ale to jest ważne.

- Aha. - Luther sięgnął po grzanekę. - W takim razie mów.

- Fallon Jones ciągle powtarza, że sytuacja, przynajmniej jeśli chodzi o mnie i o ciebie, jest pod kontrolą. Ale wczoraj omal nie zginąłeś.

Luther odłożył grzanekę na talerz i zmrużył oczy.

- To, co zdarzyło się wczoraj, to już przeszłość. Jeśli nawet sytuacja nie była wtedy pod kontrolą, teraz już jest.

- Ja tak nie uważam. To, co stało się wczoraj, otrzeźwiło mnie wreszcie. Nie obchodzi mnie, co

mówi Jones, bo widziałam aurę tej syreny. Jestem pewna, że ona ma obsesję na punkcie tego, co się wydarzyło na Maui. Ta kobieta dysponuje potężną, śmiertcionośną siłą, a ja nie chcę, żebyś ty albo Petra czy Wayne zostali zabici, próbując mnie chronić.

- Cóż, właśnie tym się zajmuję, zapomniałaś? Jestem ochroniarzem.

- Udowodniłeś to wczoraj wieczorem. Nie chcę, żebyś dłużej dla mnie ryzykował.

- Pozwól, że sam będę się martwił o ryzyko, jakie podejmuję.

- A Petra i Wayne? Oni nie mają z tym wszystkim nic wspólnego, ale syrena może wziąć ich na cel, chcąc dobrać się do mnie. Nie chcę, żebyście się narażali.

- Zamierzasz znowu zniknąć? Grace zeszywniała.

- Ostatnim razem mi się udało.

- Masz teraz nowe życie. Chyba nie myślisz poważnie o tym, żeby je zostawić i znowu zaczynać wszystko od początku.

- Zawsze umiałam rozwiązywać swoje problemy. Poradzę sobie.

- Nie tym razem. To J&J wpakowała cię w kłopoty, i obowiązkiem J&J jest cię chronić. A ponieważ ja jestem jedynym ochroniarzem J&J, jaki znajduje się w tej chwili w okolicy, jesteś na mnie skazana, czy ci się to podoba czy nie.

- Petra i Wayne nie pracują dla J&J - powiedziała z rozpaczą.

- Pamiętasz, jak mówiłaś, że Towarzystwo jest dla ciebie jak rodzina?

- I co z tego?

- Petra i Wayne to moja rodzina. A dopóki jesteś ze mną, ciebie także będą uważać za członka tej rodziny. Nie zmusisz ich do odsunięcia się od tej sprawy, nawet gdybyś chciała. - Uśmiechnął się szeroko. - Poza tym byliby załamani, gdybyś odrzuciła ich pomoc.

- Wolę, żeby byli załamani niż martwi.

- Wierz mi, Petra i Wayne nie widzą tego w ten sposób. Może nie są już młodzi, ale to wojownicy, wojownicy do szpiku kości. Grace łzy napłynęły do oczu. Nie potrafiła ich powstrzymać.

- Tego się właśnie obawiałam.

- To znaczy czego?

Otarła policzek wierzchem dłoni.

- Że zabraknie mi odwagi, by odrzucić twoją propozycję.

- To nie jest propozycja - odparł łagodnie. - Nie mógłbym pozwolić ci teraz odejść, nawet gdybyś próbowała.

- Luther...

- Ciii.

Nagle poczuła, jak spływa na nią nienaturalny spokój i zadowolenie.

- Przestań - rzuciła gniewnie. - Jeśli będę chciała, żebyś manipulował moją aurą, sama cię o to poproszę. Sztuczna błogość znikła. Luther uśmiechnął się szeroko.

- Uwielbiam, kiedy to robisz. Strasznie mnie to kręci.

Grace zmarszczyła brwi.

- Jak możesz mówić o seksie w takiej chwili?

- Masz rację. Jeśli chodzi o seks, lepiej od razu przejść do czynów. Wstał, obszedł stół, podniósł ją z krzesła i zanim zdążyła wymyślić cokolwiek, co mogłoby go powstrzymać, przywarł ustami do jej ust. Przez chwilę usiłowała się opierać, ale potem westchnęła, zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Czowała narastającą w nich obojgu namiętność. Całował ją, aż zaczęła drżeć z pożądania.

Nie była w stanie dłużej myśleć o bilecie na samolot, nie wspominając już o zaczynaniu nowego życia.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Nie pozwolę ci zniknąć z mojego życia - powiedział. - A jeśli spróbujesz uciec, będę cię szukał. I znajdę.

Znieruchomiała, zaciskając palce na jego ramionach. Nie potrafiła nazwać uczuć, które nią zawładnęły. Strach? Nadzieja? Miłość?

- Skąd wiesz, że mnie znajdziesz? - spytała.

- Bo coś nas łączy - odparł. - I nie mów mi, że nie czujesz tej więzi.

Nie czekając na odpowiedź, znowu zaczął ją całować. Objęła go i z krótkim, zduszonym krzykiem przytuliła się do niego całym ciałem, tak jak on tulił się do niej. Wylądowali na starej kanapie. Luther ułożył Grace na plecach. Podczas krótkiego czasu, który ze sobą spędzili, wiele się nauczył. Dobrze wiedział, jak ją rozpałić, i potrafił zastosować tę wiedzę w praktyce. Energia namiętności - świetlistej i mrocznej - strzeliła pod sam sufit. Ale Grace także wiele się nauczyła. Znała go równie dobrze jak on ją i umiała to wykorzystać.

Gdy w nią wszedł, jej aura stanęła w ogniu, stapiając się w jedno z jego aurą. A potem oboje runęli w dół z krawędzi świata.

Rozdział 36

Potwór nie wyszedł spod łóżka, lecz z nieoświetlonego przedpokoju. Słyszała, jak otwiera drzwi, które starannie zamknęła na klucz. Zmartwiała z przerażenia, patrzyła na jego upiorną aurę, gdy wślizgiwał się ukradkiem do jej pokoju. Właśnie skończyła czternaście lat. Mieszkała u rodzin zastępczych zaledwie od kilku miesięcy, ale już nauczyła się słuchać instynktu samozachowawczego. Co wieczór kładła się do łóżka całkowicie ubrana, czując, że prędzej czy później pan domu złoży jej wizytę.

Było zbyt ciemno, by mogła go zobaczyć, widziała jednak wokół niego pole energetyczne, żarzące się niezdrowym pożądaniem. Stał obok łóżka.

- Nie śpisz, mała? - zagruchał. - Przyszedłem pocałować cię na dobranoc.

Nie odpowiedziała ani się nie poruszyła. Nie była w stanie się poruszyć. Może jeśli będzie udawała, że śpi, potwór odejdzie. Usiadł na brzegu łóżka i położył dłoń na jej nodze. Zadrżała i cofnęła się odruchowo.

- Nie śpisz - wyszeptał. - Tak myślałem. Wyrosłaś na bardzo seksowną dziewczynę. Założę się, że miałaś już paru chłopców, co? - Przesunął rękę w górę jej uda. - Ale pewnie nie miałaś jeszcze do czynienia z mężczyzną.

- Zostaw mnie. Proszę - wydusiła z trudem przez ściśnięte gardło.

- Nauczę cię, jak zadowalać mężczyzn. Po kilku lekcjach będziesz mogła mieć każdego.

- Nie.

- Nie martw się, z takim tyłeczkiem będziesz rozrywana.

Jego dłoń pełzła po kołdrze, dotknęła jej biodra i zaczęła sunąć w stronę piersi. Widziała chorobliwy puls jego aury. Usiadła na łóżku.

- Nie - powtórzyła.

Miał to być krzyk, ale strach go stłumił.

- Przestań - rozkazał gniewnie. - Natychmiast przestań. Będzie tak, jak chcę. Dzisiaj w końcu to zrozumiesz. Zrobię z ciebie kobietę. Wierz mi, kiedyś będziesz mi za to wdzięczna. Chciała uciec, ale przygwoździł ją do wezglowia. Drżała na całym ciele, czując, jak szybko bije jej serce. Opierała się, ale on był znacznie silniejszy. Pchnął ją z powrotem na poduszki i odrzucił na bok kołdrę.

- Widzę, że położyłaś się w ubraniu. - Zachichotał. - Nerwowa z ciebie dziewczyna. Ale poradzimy sobie z tym, bez obawy.

Zaczął rozpinąć jej dżinsy. Położyła dłoń na jego piersi, chcąc go odepchnąć. Poczula pod palcami szorstką, owłosioną skórę i uświadomiła sobie, że jest ubrany w brudny podkoszulek bez rękawów, ten sam, w którym widziała go wcześniej.

- Możesz się opierać - powiedział. - Tak będzie jeszcze zabawniej.

Szarpnął jej spodnie.

- Nie - powtórzyła zduszonym głosem.

Czula się rozpaczliwie bezradna. Nie miała żadnych szans. Był za duży, za silny i za bardzo podniecony. Przeżrana, pchnęła go obiema rękami, czując, jak jej aura rozpala się przy tym niemal do czerwoności. Jakby wzmocniony przez zagrożenie, jej świeżo odkryty, rozwijający się jeszcze talent zadziałał z całą mocą, jak nigdy dotąd.

Poczula nagły wzrost niewidzialnej energii. Nie mogła zobaczyć spowijającej jej ciało płomiennej mgły - wiedziała już, że nikt nie może zobaczyć własnej aury, nawet ktoś, kto ma uzdolnienia w tym kierunku - ale moc zawsze można wyczuć. Ta nagła eksplozja miała natychmiastowe i przerażające skutki. Napastnik zaczął drgać konwulsyjnie, jakby dotknął przewodu elektrycznego. Krzyk wściekłości i strachu uwiązał mu w gardle. Sekundę później osunął się na nią bez życia. A ją paliły dłonie.

- Grace.

Głos Luthera, stanowczy i spokojny, w końcu wyrwał ją ze snu. Obudziła się, drżąc się jak w febrze. Przyciągnął ją do siebie i uspokajająco pogłaskał po plecach.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie ma sprawy. - Przesunął dłonią wzdłuż jej kręgosłupa. - Kusilo mnie, żeby uspokoić twoją aurę, ale przypomniałem sobie, że ostatnio nie byłaś tym zachwycona.

- Rzeczywiście. - Zawahała się. - Wolę zmagać się z koszmarami niż czuć, że ktoś kontroluje moje emocje.

- Rozumiem.

Przytuliła się do niego i po chwili przestała drzeć, a jej oddech wrócił go normy. Powoli wypuściła powietrze z płuc, usiadła na brzegu łóżka i objęła się ramionami.

- Na wypadek, gdybyś jeszcze tego nie zauważył... jestem nieźle pokręcona. Na pewno chcesz się ze mną wiązać?

- Na wypadek, gdybyś jeszcze tego nie zauważyła... już jesteśmy związani. - Luther chwycił laskę, obszedł łóżko i usiadł obok niej.

Blisko, ale tak, że jej nie dotykać. - I nie jesteś jedyną pokręconą osobą w tym związku. A teraz powiedz mi, co ci się śniło.

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Owszem - odparł. - Chcę.

Ma prawo poznać prawdę, uznała.

- Mówiłam ci, że jestem odpowiedzialna za śmierć Martina Crockera - zaczęła cicho. - Ale on nie

był pierwszy. Luther milczał i czekał.

- Był jeszcze jeden człowiek. Miałam wtedy czternaście lat.

- Byłaś wtedy w rodzinie zastępczej?

- Tak. - Grace rozłożyła ramiona i spojrzała na swoje dłonie. - Pewnej nocy przyszedł do mojego pokoju. Powiedział, że zrobi ze mnie kobietę. Jego aura mnie przeraziła. Chciałam obronić się przed nim, wykorzystując swój dar, ale jeszcze nie wiedziałam, jak nad nim panować. Nie wiedziałam, co mogę zrobić, do czego jestem zdolna. Zupełnie tego nie kontrolowałam.

- Uderzyłaś, a on umarł.

- Gdy pochylał się nade mną, położyłam mu rękę na piersi i pchnęłam go.

- Rękami i całą energią swojej aury.

- Wpadłam w panikę, działałam instynktownie. Chyba chciał krzyknąć, ale nie zdołał wydobyć żadnego dźwięku. A potem osunął się na łóżko i umarł. - Zacisnęła dłonie w pięści. - Czułam się, jakbym dotknęła rozgrzanego do czerwoności pieca. Ale na rękach nie zostały żadne ślady, a ból natychmiast zaczął słabnąć. Dwa dni później najgorsze było już za mną. Ale po kolejnych dwóch dniach byłam w barze i kupowałam kawałek pizzy. Gdy sprzedawca przypadkiem upuścił plastikowy talerzyk, oboje schyliliśmy się, żeby go podnieść.

I dotknęliśmy się rękami. Wtedy uczucie pieczenia wróciło. Nie tak silne jak na początku, ale jednak. Byłam przerażona. Bałam się, że zostałam naznaczona na resztę życia.

Luther wziął ją za rękę.

- Wtedy zdarzyło się to po raz pierwszy?

Grace spojrzała na jego dłoń, ciągle zdumiona, że tak cudownie jest dotykać i być dotykana.

- Tak - potwierdziła.

- I co zrobiłaś? - spytał.

Wiedziała, że nie chodzi mu o incydent w pizzerii.

- Kiedy potwór runął na moje łóżko, spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy, wyjęłam pieniądze z jego portfela i uciekłam.

- Mądre posunięcie.

- Bałam się, że mnie obwinia o jego śmierć. - Zawahała się. - A biorąc pod uwagę, że rzeczywiście byłam winna, uznałam, że nie powinnam usiłować niczego nikomu wyjaśniać. W końcu uznali to za atak serca, ale że zniknęłam wraz z jego pieniędzmi, wiedziałam, że nie mogę tam wrócić.

- To wtedy zaczęłaś żyć na ulicy?

- Tak, i tylko ze względu na mój dar zdołałam tam przetrwać.

Dzięki niemu wiedziałam, komu mogę zaufać, a kogo powinnam unikać. Przez pewien czas sypiałam w noclegowniach. Zarabiałam, zmywając naczynia. Nawiązywałam kontakty. W końcu założyłam małą, ale niezłe prosperującą firmę handlową.

- Co sprzedawałaś?

- Głównie pośredniczyłam w handlu fałszywymi dokumentami tożsamości przez Internet. Moja matka miała wybitne zdolności parapsychiczne w kierunku informatycznym. Tam, gdzie w grę wchodziły komputery, była niezrównana. Sporo się od niej nauczyłam, zanim umarła. I bardzo dobrze kojarzyłam sprzedających z kupującymi.

- Brałaś prowizję od każdej transakcji?

Tak. To był dochodowy interes, ale i ryzykowny, więc pewnego dnia postanowiłam znaleźć sobie prawdziwą pracę.

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Głównie dlatego, że chciałam się przekonać, jak to jest być normalnym. Powinnam była wiedzieć, że ludzie tacy jak my chyba nigdy nie czują się do końca normalni.

- A co to była za praca?

- Wierz albo nie, ale pracowałam w kwiaciarni. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych dni. - Bardzo mi się tam podobało, choć nie czułam się normalnie. Po pewnym czasie awansowałam i zostałam kierowniczką. Wtedy pojawił się Martin Crocker. Przyszedł kupić dwanaście róż dla jednej ze swoich kochanek. Natychmiast zorientował się, że jestem uzdolniona. Był strategiem na ósmym poziomie i wiedział, że mogę mu się przydać. W tym czasie prowadził niewielkie kasyno i miał problemy. Zaproponował mi pracę w ochronie.

- Jakie miał problemy?

- Grupa oszustów zaczęła obrabiać kasyno. Wysysali z niego, ile się dało. Szef Martina nabrał podejrzeń, sądził, że to on jest odpowiedzialny za straty.

- Co zrobiłaś dla Crockera?

- Opracowałam profile psychologiczne graczy i wskazałam oszustów. Jedna sprawa prowadziła do następnej. W końcu Martin awansował na prezesa firmy, do której należało to kasyno. A potem założył własną firmę.

- Wykorzystał cię. Pokręciła głową.

- To był partnerski układ. W zamian za pomoc Martin pilnował, żebym dużo zarabiała i zdobyła wykształcenie. Mawiał, że jest jak Pigmalion. Kiedy założył Crocker World, dostałam nie tylko bardzo wysoką pensję, ale także udziały w firmie. Luther gwizdnął przeciągle.

- Akcje Crocker World musiały być warte fortunę.

- Były. Kiedy po raz pierwszy dostrzegłam ślady tego narkotyku w jego aurze, chciałam sprzedać mój pakiet, a pieniądze ulokować na jakimś zagranicznym koncie, ale bałam się, że Martin to odkryje. Odkąd zaczął przyjmować formułę, stał się strasznie podejrzliwy wobec wszystkich, musiałam więc być bardzo ostrożna. A potem dowiedziałam się, że zajął się handlem bronią. Luther mocniej zacisnął palce na jej dłoni.

- I ten drań chciał cię zabić.

- Gdy odnaleziono ciało Martina, wartość akcji jego firmy spadła niemal do zera i już nigdy nie wzrosła.

- Nawet gdyby wzrosła, dla ciebie nie miałoby to znaczenia. I tak nie mogłabyś sprzedać swojego pakietu, bo ktoś natychmiast zauważyłby działania na koncie zmarłej asystentki.

- To prawda. Ale Towarzystwo Arkane także nieźle płaci, a życie w Eclipse Bay nie jest zbyt drogie. Całkiem dobrze sobie radzę.

- Cóż, tak czy inaczej, musiałaś opuścić imperium, które zbudowałaś razem z Crockerem.

- Pod koniec zyski pochodziły też z handlu bronią, którym Martin zajmował się na zlecenie Cienia Nocy. Pieniądze splamione krwią. - Wzdrygnęła się. - Nawet gdybym mogła, nie tknęłabym tych akcji. Za nic w świecie. Niedobrze mi się robiło na myśl o tym, że przez pewien czas byłam częścią tego interesu. Luther objął ją i przytulił.

- Nie każdy patrzy na to w ten sposób - rzekł. - Pieniądze to pieniądze. Wielu ludzi powiedziałoby ci,

że krew można z nich sprać.

- Mylą się.

Rozdział 37

Tatuś nie żył.

Damaris skuliła się na brzegu łóżka, usiłując opanować dreszcze, które zawsze pojawiały się po przyjęciu dawki formuły. Z trudem powstrzymywała łzy cisnące jej się do oczu. Miała go tak krótko, zaledwie przez rok, a teraz odszedł na zawsze. Nie mogła w to uwierzyć. Wydawał się taki silny, taki potężny, wręcz niezwyciężony.

William Craigmore był bogatym człowiekiem. Wiadomość o jego śmierci pojawiła się w Internecie, a potem w porannych gazetach. „Finansista samotnik znaleziony martwy we własnym domu”, głosił nagłówek. Ona jednak wiedziała już kilkanaście godzin wcześniej, że coś poszło nie tak w Honolulu. Przez jakiś żyła nadzieją, powtarzając sobie, że straszne przecucie, które ją ogarnęło, to tylko kolejny efekt uboczny narkotyku. Ale kiedy na ekranie jej komputera zaczęły się pojawiać pierwsze wzmianki, musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Tatuś nie żył. Nie rozumiała tylko, jak ciało znalazło się w jego rezydencji w Los Angeles. Nie wierzyła, że zmarł na atak serca. Wiedziała, że poleciał do Honolulu, bo raz do niej stamtąd zadzwonił. Powiedział, że wylądował szczęśliwie, i zapewnił, że nad wszystkim panuje. To była ich ostatnia rozmowa. Następnego dnia ciało ojca odnaleziono w jego domu w L.A.

Niemożliwe. Cokolwiek przytrafiło się tatusiowi, przytrafiło mu się w Honolulu. A to znaczyło, że odpowiedzialna za to była J&J. Zadzwonił telefon. Skrzywiła się i sięgnęła po słuchawkę.

- Witaj, Vivien - odezwała się cicho.

- Właśnie słuchałam wiadomości. - Vivien była wściekła. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Sama dowiedziałam się przed chwilą. Miałam do ciebie dzwonić. - Damaris potarła skronie. -

Potrzebowałam trochę czasu, żeby się pozbierać.

- Co się stało? - spytała Vivien.

- Nie wiem. W gazetach piszą, że miał atak serca, ale ja w to nie wierzę.

- Ja też nie. Dorwali go, prawda?

- Na pewno. Nie wiem tylko, jak. Musieli się dowiedzieć, że należał do Cienia Nocy.

- Myślisz, że wiedzą o mnie i o tobie? - Vivien po raz pierwszy wydawała się szczerze przejęta.

- Nie, jesteśmy bezpieczne. Tatuś bardzo się starał, żeby nikt się o nas nie dowiedział. A nawet gdyby się dowiedzieli, i tak niewiele mogliby zrobić. J&J nie ma żadnych dowodów, że zrobiliśmy coś niezgodnego z prawem.

- To wszystko jest okropne - szepnęła Vivien. - I takie niesprawiedliwe.

Damaris była zaskoczona bólem, który brzmiał w głosie siostry.

Najwyraźniej Vivien kochała tatusia bardziej, niż to okazywała.

- Wiem - powiedziała. - Miałymy go tak krótko.

- To cholernie typowe dla tego drania.

- Co?

- Że umarł, zanim znalazł tę kobietę. Wierz mi, gdyby nie to, że już jest martwy, chętnie zorganizowałabym dla niego jeden z moich prywatnych koncertów.

- Vivien...

- Czy prosiłam go o zbyt wiele? Przecież chciałam tylko nazwiska tej dziwki. Ale nie, tatuś dał się zabić, zanim ją odnalazł.

Jedno cholerne nazwisko, o nic więcej go nie prosiłam. A ten drań nawet tego mi nie dał.

Damaris usiadła na łóżku.

- Odnalazł ją, Vivien. Odnalazł też jej ochroniarza. Właśnie dlatego poleciał do Honolulu. Chciał załatwić tę sprawę.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie powiedziałam ci, bo tatuś postanowił sam się tym zająć.

Znam nazwisko tej kobiety, ale i tak na nic ci się nie przyda. Teraz, kiedy tatuś nie żyje, nie mamy już dostępu do akt J&J. To tylko nazwisko.

- Podaj mi je.

- Grace Renquist.

- Na pewno? - Vivien wyraźnie się ożywiła.

- Na pewno, ale nie rozumiem, co...

- Dzięki. To na razie. Zaraz mam próbę. Nie wyobrażasz sobie, co muszę znosić ze strony reżysera z Acacia Bay. To kompletne zero, a wydaje mu się, że może rozkazywać La Sirčne.

W słuchawce rozległ się sygnał ciągły. Damaris siedziała nieruchomo dłuższą chwilę i patrzyła na telefon. Tatuś nie żył, więc i ona była już martwa. Był jej jedynym źródłem narkotyku, a teraz to źródło wyschło. Oznaczało to wprawdzie koniec tych okropnych zastrzyków, ale miało też złą stronę - tatuś ostrzegł ją, że jeśli przestanie przyjmować formułę, czeka ją obłęd i śmierć. Został jej zapas na mniej więcej trzy tygodnie, była to więc tylko kwestia czasu. Ciekawe, czy Vivien będzie jej brakowało.

Rozdział 38

Grace wyszła z morza i zdjęła maskę do płytkiego nurkowania. Z jej ramion, piersi i bioder spływała woda. Czarny kostium kąpielowy kupiła tego ranka w jednym z butików na Kalakaua. Luther wrzucił maski na tylne siedzenie dżipa i pojechali do małej, ustronnej zatoczki, którą traktował jak swój prywatny kawałek rajy.

Wayne i Petra zaopatrzyli ich w kanapki i kilka butelek wody mineralnej, i zakazali wracać przed obiadem. Prawdziwa randka, pomyślał. Grace położyła się na ręczniku pod parasolem. Wyglądała świeżo, kobieco i cholernie seksownie. Sięgając po butelkę wody, spojrzała na Luthera.

- Coś się stało? - spytała.

Uświadomił sobie, że się jej przygląda.

- Nie, wszystko w porządku - odparł.

- O czym myślisz?

- O seksie.

- Słyszałam, że mężczyźni często o tym myślą.

- A kobiety?

- Nam także się to zdarza - przyznała. - Ale nasza wyobraźnia ma szersze horyzonty.

- Tak? A co jeszcze obejmuje?

- Na przykład buty.

Oboje spojrzeli na jego bose stopy.

- Na moim horyzoncie nie ma butów - przyznał.

- Nie szkodzi. - Poklepała go po udzie. - Masz bardzo ładne stopy. Duże i silne.

- Podobają ci się mężczyźni o dużych, silnych stopach?

- Prawdę mówiąc, do niedawna nie zwracałam uwagi na męskie stopy. - Uśmiechnęła się i wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne. - Teraz jednak wydają mi się fascynujące.

- Dobrze wiedzieć. Podparła się na łokciach.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego rzuciłeś pracę w policji.

Przez chwilę patrzył na zmarszczoną wiatrem powierzchnię morza. Wiedział, że prędzej czy później Grace zada to pytanie. Ona opowiedziała mu swoją historię, miała więc prawo dowiedzieć się więcej o jego życiu. Wzajemność stanowiła istotny aspekt łączącej ich więzi.

- Wspominałem ci, że mój dar przydawał się, kiedy pracowałem w policji - zaczął.

- Tak. Myślę, że dzięki niemu potrafiłeś zneutralizować każdego przeciwnika. Wystarczyło, że wpłynąłeś na jego aurę, a przestępca upuszczał broń i zapadał w sen. Super.

- Robiłem też inne rzeczy.

Grace przekrzywiła głowę.

- Na przykład jakie?

- Wydobywałem zeznania.

- O, zeznania. Jeszcze lepiej.

- Nie dotykając podejrzanego. „Nawet palcem nie tknąłem pańskiego klienta, panie mecenasie. Proszę obejrzeć taśmy z przesłuchań. Z własnej woli opowiedział, jak zmienił swoją ofiarę w krwawą miazgę”.

- Jak się z tym czułeś?

- Doskonale. Nie masz pojęcia, jakie to proste. W głębi duszy oni wszyscy naprawdę chcieli mi powiedzieć, jacy z nich twardziele. Napad na sklep podnosi poziom adrenaliny, włamanie do czyjegoś domu budzi dreszcz emocji, morderstwo daje poczucie nieograniczonej władzy. Przestępcy zawsze chcą zrobić wrażenie na gliniarzach. Pokazać im swoją siłę. Tak, na pewnym poziomie wszyscy chcieli gadać. Ja tylko skłaniałem ich, żeby mówili na interesujący mnie temat.

- Zawsze sądziłam, że do wyznania prawdy najczęściej skłania ludzi poczucie winy.

- Czasem tak jest. - Luther wyjął z chłodziarki butelkę wody. - Wystarczy obudzić żal czy niepokój z powodu tego, co pomyślą rodzice, i poczucie winy gotowe.

- A więc wystarczy lekka manipulacja, żeby podejrzany nie mógł się oprzeć pokusie i zaczął śpiewać?

- Nagraj zeznanie na kasetę wideo, dorzuć jakiś dowód rzeczowy i gotowe. Nie trzeba gumowych węży ani gierki psychologicznych. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym rzekła:

- Musiałeś być dobrym policjantem.

- Owszem - przyznał i upił łyk wody. - Nawet bardzo dobrym.

- Ale odszedłeś, bo czułeś, że stałeś się kimś w rodzaju szpicla.

Od początku wiedział, że Grace go zrozumie. Nie spodziewał się jednak, że przyniesie mu to taką ulgę.

- Można to tak określić - odparł. - To nigdy nie była równa walka. Większość podejrzanym, z którymi miałem do czynienia, to byli ludzie mocno skrzywieni. Na ogół pochodzili z koszmarnych rodzin, albo w ogóle nie mieli rodziny. Wielu doświadczyło przemocy w dzieciństwie. Wielu cierpiało na różne zaburzenia psychiczne.

Prawie połowa nie potrafiła przeczytać gazety, nie mówiąc już o podjęciu pracy.

- Było ci ich żal? Uśmiechnął się lekko.

- Tak bym tego nie nazwał, ale większość ludzi, których pomogłem wysłać za kratki, nie miała w starciu ze mną żadnych szans. Łamałem ich prawo do uczciwego procesu, choć nikt, w tym oni sami, nie miał o tym pojęcia.

- Nie w sensie prawnym.

- Nie, ale w każdym innym tak.

- Zrobiłeś wiele dobrego, Luther. Izolowałeś niebezpieczne jednostki. Oddawałeś sprawiedliwość ofiarom. To ważne w cywilizowanych społeczeństwach.

- Właśnie to powtarzałem sobie przez kilkanaście lat. Ale wreszcie odkryłem, że takie psychiczne szpiegostwo tworzy złą karmę.

- Mówisz o swoich nieudanych małżeństwach?

- Między innymi. Spłoszyłem też tylu partnerów, że w końcu nikt nie chciał ze mną pracować. Dostałem etykietkę samotnego wilka. To bardzo przeszkadza, bo w policji pracuje się zespołowo. Ludzie zaczęli czuć się nieswojo w moim towarzystwie. Grace zmarszczyła brwi.

- Czy któryś z kolegów zorientował się, co robisz?

- Nie. Wiedzieli, że zawsze dochodzę do prawdy, ale nie wiedzieli, w jaki sposób. Kilku doszło do wniosku, że muszę hipnotyzować podejrzanych. A nikt nie chce pracować z człowiekiem, który potrafi cię zahipnotyzować, i to tak, że nawet o tym nie wiesz.

- Rozumiem. To może być problem.

- Miałem tylu partnerów, ilu w Dark Rainbow było pomywaczy.

Niektórzy sami posiadali pewne zdolności i zastanawiali się, czy przyczyna moich sukcesów nie tkwi w sferze paranormalnej. Ale to było dla nich równie niepokojące jak teoria o hipnozie.

- Bo sprawiało, że zaczynali się zastanawiać nad własnym zdrowiem psychicznym?

- Większość dobrych policjantów odznacza się ponadprzeciętną intuicją. Zwykle chętnie przyznają, że mają instynkt.

- W tej pracy instynkt jest chyba zaletą?

- Jest. Ale żaden policjant nie chce dostać etykiетки świra. Wiara w nadprzyrodzone zdolności może złamać ci karierę.

- Więc tak po prostu odszedłeś?

- Zdarzyło się coś, co można nazwać kroplą, która przepełniła czarę. Zginęli ludzie. Wtedy postanowiłem odejść.

- Co się stało?

Luther patrzył przez chwilę na migoczącą w słońcu wodę zatoki.

- Ten człowiek... nazywał się George Olmstead, wszedł pewnego dnia do mojego biura i powiedział, że właśnie zabił swojego wspólnika. Przyniósł rewolwer, na którym były jego odciski palców. Twierdził, że pokłócił się ze wspólnikiem o to, czy sprzedać firmę. On bardzo potrzebował pieniędzy, a wspólnik nie chciał się zgodzić na sprzedaż.

- Nie uwierzyłeś mu?

- Wydawał się spokojny, ale coś w jego aurze mnie zastanowiło. Gdy trochę go przycisnąłem, okazało się, że to nie on zabił. Krył swoją córkę.

- Coś ją łączyło ze wspólnikiem ojca?

- Tak, byli kochankami. Ona miała dwadzieścia pięć lat. Leczyła się psychiatrycznie już od szkoły

średniej i cały czas przyjmowała leki. Wspólnik zaczął podejrzewać, że coś jest z nią nie tak, i chciał zakończyć romans. Wtedy dziewczyna wpadła w szal i go zastrzeliła.

- A potem pobiegła do ojca?

- Tak, a on powiedział jej, że wszystkim się zajmie. Chciał ją chronić, uważał to za swój obowiązek. Była jego jedynym dzieckiem, a wychowywał ją sam, bo matka zmarła wiele lat wcześniej.

- Wiedział, że córka miała romans z jego wspólnikiem? - spytała Grace.

- Tak, i sprzyjał temu, bo sądził, że małżeństwo ustabilizuje jej życie emocjonalne. Kiedy dziewczyna zabiła kochankę, uznał, że jest za to odpowiedzialny, i chciał wziąć winę na siebie.

- Ale mu się nie udało.

- Przeze mnie. Gdy jego córka została aresztowana i popełniła w więzieniu samobójstwo, Olmstead wrócił do domu, wsadził sobie lufę w usta i pociągnął za spust.

- Czyli był równie nieźrównoważony jak jego córka - powiedziała Grace. - Ale ty czułeś się odpowiedzialny za jego śmierć.

- Bo byłem odpowiedzialny. Zamiast zawiadomić policyjnego psychiatrę i pozwolić, żeby on się tym zajął, tak długo manipulowałem aurą Olmsteada, aż powiedział, jak było naprawdę. Samotny wilk zamknął kolejną sprawę.

- Twoim zadaniem było ustalenie sprawcy - przypomniała mu.

- Oczywiście. Szkoda tylko, że przy okazji dwie osoby popełniły samobójstwo.

- Tak, szkoda. Ale to nie twoja wina. Jedna z tych osób popełniła morderstwo, a druga ją kryła. Nie jesteś odpowiedzialny za ich czyny.

- Teoretycznie nie.

Grace zacisnęła palce na opróżnionej do połowy butelce wody.

- Chwileczkę, Malone. Nie jesteś za to odpowiedzialny ani teoretycznie, ani w żaden inny sposób. Użyłeś swoich naturalnych zdolności, które niczym nie różnią się od wzroku czy słuchu, by dobrze wykonać swoją pracę.

- Mówiłem ci, że przestępcy, z którymi miałem do czynienia, to byli głównie zaburzeni, złamani ludzie. A ja miażdżyłem ich jak czołg.

- I co z tego? Przecież byli przestępcami, prawda? Mieli pecha, że na drodze stanął im ktoś, kto potrafił przejrzeć ich kłamstwa. - Dopiła wodę i odstawiła butelkę. - Ale rozumiem, dlaczego czułeś, że musisz odejść z policji.

- Tak?

- Urodziłeś się, by chronić i bronić. Taka jest twoja natura. Ale, jak już ci kilka razy powiedziałam, jesteś też beznadziejnym romantykiem. Chcesz grać uczciwie, a praca dla J&J ci na to pozwala. Twoimi przeciwnikami są przestępcy równi ci pod względem zdolności. Teraz grasz na odpowiednim boisku.

- Ja mam wrażenie, że to dżungla.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo obrazowe porównanie.

Rozdział 39

Następnego popołudnia Luther zaproponował Petrze i Wayne'owi zamknięcie restauracji na kilka

dni. Nie mieli nic przeciwko temu.

- Przyda mi się przerwa - stwierdził Wayne. - Niektórzy turyści okropnie mnie wkurzają. Chyba tracę tradycyjną hawajską pogodę ducha.

- Ja też - dodała Petra. - Od dawna nie mieliśmy wakacji.

Była czwarta, czas spokoju po obiadowej gorączce. Wszyscy czworo stali w restauracyjnej kuchni. Grace spojrzała na pozostałą trójkę i ogarnęło ją dziwne, niewytłumaczalne pragnienie.

- Znalazłam coś interesującego w tajnych aktach J&J - powiedziała. - To długa historia. Może wpadniecie do mnie na kolację? Chcę porozmawiać z wami o tym, zanim skontaktuję się z Fallonem Jonesem.

Petra uśmiechnęła się szeroko i poklepała Luthera po ramieniu.

- Chyba masz dzisiaj randkę.

- Nie - sprostowała Grace. - Miałam na myśli nas wszystkich. Ja gotuję. Wiecie, to będzie coś jak rodzinne spotkanie.

Pożyczyła kilka rzeczy z kuchni Dark Rainbow i zawiozła je dżipem do mieszkania Luthera. A potem zrobiła lasagne - w wersji wegetariańskiej, ze szpinakiem i serem feta - którą podała z sałatką Cezar i kromkami ciepłego, chrupiącego chleba.

Jazgot Brunona, Cudownego Psa, poprzedził nadejście Petry i Wayne'a. Luther otworzył drzwi, wpuścił ich do środka i podał po butelce piwa.

Pili piwo i gawędzili, zostawiając poważne sprawy na czas po kolacji. Grace czuła na skórze dotyk ciepłego, balsamicznego powietrza. Lekki wietrzyk poruszał wspaniałymi zielonymi koronami drzew banyan.

Kiedy przyniosła z kuchni ogromny półmisek z lasagne, Luther, Petra i Wayne spojrzeli na nią, jakby trzymała w dłoniach Świętego Graala. Zaczęła nakładać na talerze wielkie kawałki.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam lasagne - powiedziała Petra z uznaniem. - Moja mama robiła ją czasami, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

Wszyscy na nią popatrzyli.

- Co? - spytała.

- Trudno sobie wyobrazić, że byłaś kiedyś dzieckiem - wyjaśnił Luther. - I miałaś prawdziwą mamę.

Petra odkroiła kawałek lasagne.

- Każdy ma mamę.

- A gdzie ona jest teraz? - zapytała Grace.

- Umarła, kiedy miałam szesnaście lat. Na raka.

- Wybacz - szepnęła Grace. - Nie powinnam cię wypytywać.

- Nie przejmuj się. Stare dzieje. Po jej śmierci mieszkałam z tatą i jego drugą żoną, ale nie układało się nam dobrze. Wykopał mnie, kiedy miałam siedemnaście lat. Nie mam do niego żalu. Na jego miejscu zrobiłabym to samo. To nie było dla mnie odpowiednie miejsce. Tata powiedział, że mam zły wpływ na jego dzieci, te, które miał z drugą żoną.

- Ja też miałem mamę - odezwał się Wayne z ustami pełnymi chleba. - Ale rzadko gotowała. Bardziej interesowały ją martini i pigułki. Mówiła, że podnoszą ją na duchu. Chowala butelki po całym domu, żeby ojciec ich nie znalazł.

- Musiało być ci ciężko. - Grace sięgnęła po szczypcę do sałaty, obiecując sobie w duchu, że nie będzie już zadawać żadnych pytań.

- Ojciec wiedział o prochach i butelkach - ciągnął Wayne. - Kilka lat później powiedział mi, że właśnie dlatego odszedł ze swoją sekretarką, kiedy miałem jedenaście lat.

- Już nie wolno nazywać ich sekretarkami - poinformowała go Petra tonem znawcy przedmiotu. - Teraz są osobistymi asystentkami, czy jakoś tak.

- Tak, wiem - rzekł Wayne.

Grace czuła, że teraz już na pewno powinna zmienić temat, ale nie mogła się powstrzymać od zadania jeszcze jednego pytania.

- A co się stało z twoją mamą, Wayne?

- Mniej więcej to, czego można się było spodziewać - mruknął, wzruszając ramionami. - Kilka miesięcy po rozstaniu z moim ojcem wzięła mnóstwo pigułek i popiła butelką martini. Następnego ranka znalazłem ją martwą na kanapie.

Nikt się nie odezwał. Petra i Luther skupili się na swoich porcjach lasagne. Oni wszyscy znają swoje historie, pomyślała Grace. Teraz ona także je zna. Była to jeszcze jedna rzecz, która ich łączyła. Pod wpływem impulsu odłożyła szczypcę i odezwała się cicho.

- Przykro mi, że to właśnie ty ją znalazłeś.

- Jak mówiła Petra, to stare dzieje.

Uświadomiła sobie, że wszyscy przestali jeść i patrzyli na pokryte tatuażami przedramię Wayne'a. Ona także na nie spojrzała i zobaczyła swoją dłoń, która spoczywała na jego ręce, częściowo zasłaniając rysunek czaszki i skrzyżowanych piszczeli.

- Dlaczego mogę cię dotykać? - Oderwała dłoń od jego ciepłej skóry i podniosła do oczu. - Dlaczego mogę dotykać was wszystkich, nie czując przy tym bólu? Po tym incydencie z pokojówką powinnam być uwrażliwiona co najmniej przez tydzień.

- Kiedy się pierwszy raz sparzyłaś? - spytała Petra.

W pierwszej chwili Grace miała ochotę powiedzieć, że nie chce rozmawiać o przeszłości. Ale oni podzielili się z nią swoimi historiami. Mieli prawo wiedzieć. Zresztą chciała, żeby wiedzieli.

- W rodzinie zastępczej - odparła, odruchowo chowając dłonie pod stół. - Zostałam... zaatakowana. Kiedy ten drań zaczął mnie dotykać, ja też... też go dotknęłam. I umarł.

Petra kiwnęła głową. Nie wydawała się zaskoczona. Podobnie jak Wayne, który właśnie wkładał do ust kolejny kawałek lasagne. Luther upił łyk piwa i czekał.

- Ile miałaś lat, kiedy załatwiłaś tego faceta? - zapytała Petra.

- Czternaście - sapnęła Grace, krzywiąc się lekko na określenie „załatwić faceta”.

- Zapewne właśnie wtedy odkryłaś swój dar - orzekła Petra. - Psychiatrzy z Towarzystwa uważają, że traumatyczne doświadczenie w tym okresie może zostawić ślady w psychice na resztę życia.

Prawdopodobnie atak tego drania, w połączeniu ze wstrząsem psychicznym, jakiego doznałaś, kiedy zmarł, sprawiły, że zaczęłaś przesadnie reagować na dotyk.

Luther spojrzał na Petrę.

- Rozmawiałaś z psychologiem z Towarzystwa?

- Oboje z Wayne'em chodziliśmy przez jakiś czas na terapię, kiedy odeszliśmy z agencji - odparła Petra. - Nie mogliśmy spać i mieliśmy różne inne problemy. Ta lekarka wiele nam wyjaśniła.

- To prawda - potwierdził Wayne. - Powiedziała nam, że dysfunkcyjna rodzina i praca, jaką wykonywaliśmy w agencji, musiały wywołać wiele problemów. Stwierdziła, że nie może nas wyleczyć, ale dzięki niej przynajmniej żadne z nas nie wsadziło sobie lufy rewolweru do ust.

Petra spojrzała na Grace.

- Chodzi o to, że po pobycie w rodzinach zastępczych i po tych drobnych psychicznych incydentach pewnie ty też jesteś trochę skrzywiona.
Grace splotła pod stołem dłoń.
- Drobne incydenty? Zabiłam swoją aurą dwie osoby.
- A ja używałam karabinu - rzekł Wayne. Oderwał kawałek chleba i sięgnął po nóż do masła. - To bez znaczenia, jak to robisz.
Prędeż czy później każdy musi za to zapłacić. Wygląda na to, że w twoim przypadku trwałego uszczerbku doznał zmysł dotyku.
- Dlaczego więc kiedy dotykam was, nic złego się nie dzieje?
Petra się uśmiechnęła. Złote kółko w jej uchu błysnęło w świetle.
- Nie jestem ekspertem, ale pewnie dlatego, że czujesz się z nami swobodnie. Wiesz, jacy jesteśmy, a my wiemy, jaka ty jesteś.
- Wszyscy zdołaliśmy przetrwać - powiedział Luther.
- Zgadza się. - Wayne kiwnął głową. - Tak czy inaczej, wszystkim nam udało się przetrwać. Rozumiemy się nawzajem. Kiedy jesteśmy razem, nie musimy niczego ukrywać. Nie musimy udawać, że nie jesteśmy skrzywieni.
- Nie musimy się niczego bać - dodał Luther, patrząc na nią znacząco.
Grace łzy napłynęły do oczu. Zamrugwała.
- Rodzina - westchnęła.
- Tak. - Petra skinęła głową. - Rodzina. Mogę dostać jeszcze kawałek lasagne?
Grace uśmiechnęła się do niej przez łzy.
- Możesz dostać tyle, ile tylko chcesz - odparła.
- Nie mów jej takich rzeczy - wtrącił się Wayne - bo zje wszystko, co zostało. A Luther i ja jeszcze nie dostaliśmy dokładki.
- Nie marudź - rzuciła Petra. - Wiecie co, powinniśmy wprowadzić lasagne do menu w restauracji. Coś mi mówi, że nasi klienci chętnie by ją zamawiali. Nie jest wprawdzie smażona, ale całkiem dobrze smakuje.

Rozdział 40

Po kolacji Petra i Wayne umyli i wytarli naczynia. Grace schowała je do szafek, a Luther zrobił kawę. Potem wrócili do pokoju, gdzie Grace zapoznała ich z wynikami swoich genealogicznych poszukiwań.
- Pan Jones umożliwił mi dostęp do pewnych poufnych akt - zaczęła. - Znalazłam tylko jedno z nich; dotyczą śpiewaczki, o której J&J wie na pewno, że zabijała swoim głosem.
- Kto to taki? - spytał Luther.
- Irene Bontifort. Ale to nie ona jest syreną, która zabiła Eubanksa.
- Skąd wiesz?
- Bontifort była gwiazdą opery pod koniec XIX wieku. Nie żyje od ponad stu lat. W swoim czasie cieszyła się wielką sławą. Była równie znana jak Melba.
Petra, która właśnie podnosiła kubek z kawą do ust, znieruchomiała.
- Była znana jak te cienkie grzanki?
- Można tak powiedzieć - roześmiała się Grace. - Ale te grzanki zostały tak nazwane na cześć

operowej śpiewaczki, która nazywała się Nellie Melba. Podobnie jak słynny deser lodowy.

- A niech mnie - mruknęła Petra. - Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

- Irene Bontifort była absolutną sensacją - ciągnęła Grace. - Śpiewała we wszystkich europejskich stolicach.

Luther spojrział na nią i spytał:

- A czy zmarła z przyczyn naturalnych?

- Niezupełnie - odparła. - Jej sprawa była jedną z pierwszych, jakimi zajmowała się J&J. Właśnie dlatego zwróciła moją uwagę. Z akt wynika, że zabiła przynajmniej jedną dublerkę. Sądziła, że ta śpiewaczka chce zająć jej miejsce.

- Co to jest dublerka? - spytała Petra.

- Zastępczyni - wyjaśnił Wayne.

- Nie popisuj się - mruknęła Petra.

- Oczywiście dublerki zawsze są ambitne - podjęła Grace. - Też chcą zostać gwiazdami. Najwyraźniej Bontifort sądziła, że akurat ta stanowi dla niej poważne zagrożenie. Wkrótce śpiewaczka umarła w tajemniczych okolicznościach, ale uznano, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Kilka innych osób z otoczenia Bontifort również nieoczekiwanie zmarło: rywalka, która zaczęła zdobywać sławę, pewien krytyk i jej kochanek.

- Bontifort miała kochanka? - zainteresowała się Petra.

- Nawet kilku - odparła Grace. - Diwy operowe są znane z ogromnego apetytu, i to niekoniecznie na jedzenie.

- Cholera. A ja myślałam, że to gwiazdy rocka używają najwięcej - powiedziała Petra.

Wayne przewrócił oczami. Grace zerknęła do swoich notatek.

- To właśnie śmierć kochanka Bontifort zwróciła uwagę J&J.

Ofiarą był lord Galsworthy, członek Towarzystwa. Jego śmierć, tak jak w przypadku kilku innych osób, uznano za naturalną, ale wdowa po nim, lady Galsworthy, poprosiła J&J o zbadanie sprawy.

- Czy J&J zdobyło jakieś dowody na to, że Bontifort zabiła Galsworthy'ego? - zapytał Luther.

- Agencja nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości - odparła Grace. - Ale nie zdobyli dowodów, które można by przedstawić policji.

Petra była wyraźnie zaintrygowana.

- Jak J&J ją powstrzymała?

- Nie powstrzymała. Bontifort została zastrzelona, zanim zdążyli się nią zająć.

- Kto ją załatwił? - spytał Wayne.

- Lady Galsworthy. - Grace znowu sprawdziła coś w notatkach. - Kiedy agencja poinformowała ją, że ma dowody natury paranormalnej, ale nie będzie w stanie dowieść winy Bontifort przed sądem, lady Galsworthy postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

Pewnego wieczoru zaczęła się na Bontifort w krzakach pod jej domem. Kiedy śpiewaczka wysiadła z powozu i zaczęła wchodzić na schody, wyszła z ukrycia i strzeliła do niej dwa razy z bliskiej odległości. Bontifort, zaskoczona, nie zdążyła wydobyć z siebie ani jednego dźwięku.

- A co się stało z lady Galsworthy? - spytał Luther. - Została aresztowana?

- Nie. Była od stóp do głów ubrana w czerń, miała kapelusz i gęstą woalkę. Żaden ze świadków zdarzenia jej nie rozpoznał. Po strzelaninie wybuchło takie zamieszanie, że zdołała uciec. Nikogo nie aresztowano, choć lista podejrzanych była długa. W końcu prasa uznała, że Bontifort została zamordowana przez jedną z rywalek.

Policja także przyjęła tę wersję.

- A co zrobiła J&J?

- Informacje w aktach są dość enigmatyczne, ale zdaje się, że agencja wiedziała, co się stało, i postarała się, by nazwisko lady Galsworthy nie pojawiło się na liście podejrzanych.

- Ale skąd, u diabła, agencja wiedziała, że to Bontifort zabiła swojego kochanka? - spytała Petra.

Grace się uśmiechnęła.

- Agent, który ją namierzył, był wprawdzie głuchy od urodzenia, ale niezwykle czuły na energię, jaką zostawia po sobie przemoc. Potrafił odczytać dosłownie wszystko z miejsca zbrodni. Należał do najskuteczniejszych agentów J&J.

- Doprowadził do konfrontacji? - zainteresował się Luther.

- Owszem. Pod koniec dochodzenia Bontifort zaczęła coś podejrzewać i próbowała zabić go głosem. Napisał w raporcie, że widział, jak do niego śpiewała, i czuł agresywną energię, która na niego oddziaływała.

- A więc jeśli nie słyszysz śpiewu, nie może cię zabić - stwierdził Luther. - Interesujące. Zdaje się, że Odyseusz znalazł skuteczny sposób na poradzenie sobie z mitologicznymi syrenami.

Czy to nie on kazał swoim marynarzom zatkać uszy woskiem?

- Zgadza się. - Grace podniosła wzrok znad notatek. - Do takiego właśnie wniosku doszła J&J. Głos syreny działa tylko wtedy, jeśli ofiara go słyszy.

- A co zrobiłaby agencja, gdyby lady Galsworthy nie zastrzeliła Bontifort?

- Bontifort nie była pierwszym zabójcą obdarzonym wybitnymi zdolnościami, którego J&J nie mogła oddać w ręce policji z braku dowodów. W takich przypadkach zatrudniali specjalnego agenta, który dyskretnie rozwiązywał problem.

Luther uniósł brwi.

- Kogoś takiego jak Harry Sweetwater?

- Skąd wiesz? - spytała Grace.

- Skąd wiem co?

- Ten agent nazywał się Orville Sweetwater i był przodkiem Harry'ego.

Petra uśmiechnęła się szeroko.

- Nasze Towarzystwo to mały świątek. Ale powiedz, dlaczego zainteresowała cię ta Bontifort?

- Powodów jest kilka. Po pierwsze, miała córkę z lordem Galsworthym. Pewnie właśnie dlatego lady Galsworthy była taka wściekła, ale nie to jest teraz ważne. Bontifort zdołała utrzymać ciężę i narodziny dziecka w tajemnicy, bo obawiała się, że mogłoby to zaszkodzić jej karierze. W owym czasie nawet J&J nie wiedziała o dziecku.

- Co się stało z tą dziewczynką? - spytała Petra, marszcząc brwi.

- Trafiła do sierocińca. Kiedy była już dorosła, w jakiś sposób odkryła prawdę o swoich rodzicach. O ich śmierć obwiniała Towarzystwo. Poinformowała o tym Mistrza. - Grace zerknęła do notatek. - Był nim wtedy Gabriel Jones. Powiedziała mu, że Towarzystwo ma wobec niej dług.

- Podejrzewam, że ta taktyka się nie sprawdziła - mruknęła Petra. - Nie sądzę, by jakikolwiek Jones uległ takiemu szantażowi.

- A jednak Gabriel Jones uznał jej racje. Zaproponował, by została członkiem Towarzystwa, a gdy odmówiła, ofiarował jej dużą sumę. Wzięła pieniądze i popłynęła do Ameryki.

- Czy coś wskazuje na to, że odziedziczyła talent po matce? - spytał Luther.

- Nie została śpiewaczką operową, ale zarabiała na życie, śpiewając w klubach nocnych i

kabaretach. Zdobyła dużą popularność i uznanie krytyków.

- Czy opisywali jej głos jako „hipnotyzujący”? - zapytała Petra.

- Owszem. Tak właśnie o niej pisali.

- A czy są jakieś podejrzenia, że używała głosu nie tylko do śpiewania?

- Nie jest to do końca jasne. Miała wielu kochanków, w końcu wyszła za mąż za bardzo bogatego przemysłowca z San Francisco. Po zaledwie sześciu miesiącach małżeństwa przemysłowiec zmarł, podobno z przyczyn naturalnych, a wdowa po nim odziedziczyła cały majątek, co oczywiście zirytowało jego rodzinę.

- Możemy chyba założyć, że ktoś pomógł mu rozstać się z życiem - stwierdził Luther. - Miała dzieci?

- Nie wyszła po raz drugi za mąż, ale miała córkę z jednym ze swoich kochanków. Dziewczynka dorastała w luksusie. Nigdy nie śpiewała na scenie, prawdopodobnie dlatego, że nie musiała zarabiać na życie. Ale pobierała lekcje muzyki i śpiewu i często występowała podczas prywatnych spotkań. I tak jak jej matka oraz babka nie mogła narzekać na brak kochanków.

- Czy ktoś z jej otoczenia zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach?

- Owszem. - Grace przewróciła kartkę w notatniku. - Przez jakiś czas była związana z przystojnym aktorem, wschodzącą gwiazdą Hollywood. Śpiewała w kilku jego filmach. Ale kiedy zdobył sławę, porzucił ją dla pewnej znanej aktorki. Wkrótce potem znaleziono go martwego w jego rezydencji. Za przyczynę śmierci uznano przedawkowanie narkotyków. Ta kobieta także miała córkę.

- I tak dalej? - domyśliła się Petra.

- I tak dalej - potwierdziła Grace i zamknęła notatnik. - Aż do dziś. W paru miejscach ślad się urywa, ale myślę, że namierzyłam nasz zabójczy sopran. Jeśli się nie mylę, pochodzi w linii prostej od Irene Bontifort. Nazywa się Vivien Ryan.

Wayne zmarszczył brwi.

- La Sirčne?

Wszyscy na niego spojrzeli.

- Nie przestajesz nas zadziwiać - mruknął Luther. - Kim, u diabła, jest La Sirene?

- Parę lat temu była wielką gwiazdą opery - wyjaśnił Wayne. - Mam kilka jej płyt. Niezwykły głos. Ale ostatnio znikła ze scen. Od jakiegoś czasu o niej nie słyszałem.

- Z tego, co udało mi się znaleźć w Internecie, wynika, że próbuje wrócić na scenę - powiedziała Grace. - Będzie śpiewała partię Królowej Nocy w Czarodziejskim flecie na otwarciu nowego teatru operowego w Acacia Bay w Kalifornii. Premiera odbędzie się za dwa dni. Aha, jest coś jeszcze.

- Co? - spytała Petra.

Grace przycisnęła notatnik do piersi.

- La Sirene było także przydomkiem Irene Bontifort.

- Czy ktoś z otoczenia Vivien Ryan nie umarł niespodziewanie z przyczyn nie całkiem naturalnych?

- A jakże - odparła Grace.

Luther zadzwonił do Fallona, kiedy tylko Grace przedstawiła wyniki swoich poszukiwań.

- Nie podoba mi się to - odezwał się Jones. - Nie pasuje do schematu. Ktokolwiek zabił Eubanksa, musiał być profesjonalistą. Craigmora nie ryzykowałby, zatrudniając do takiego zadania jakąś niezrównoważoną diwę.

- Może nie miał wyboru po tym, jak Sweetwater się wycofał - odparł Luther. - Musiał działać szybko. Nie miał czasu szukać kolejnego płatnego zabójcy.

- Ale skąd wziął tę śpiewaczkę? - Fallon wydawał się nie tylko zniecierpliwiony, ale i bardzo

znużony. - Zabójcze soprany nie reklamują swoich usług w książkach telefonicznych.

- Pracujemy nad tym - zapewnił Luther. - Tylko w jeden sposób możemy sprawdzić, czy La Sirčne to śpiewaczka, którą Grace spotkała w hotelu. Musimy pójść na premierę do teatru w Acacia Bay.

Fallon milczał chwilę, wreszcie rzekł:

- Jestem na dziewięćdziesiąt sześć procent pewny, że to strata czasu, ale zgadzam się na wasz przyjazd do Kalifornii. Idźcie na premierę. Niech Grace przyjrzy się tej kobiecie.

- Jest pewien problem - powiedział Luther.

- Co znowu?

- Wszystkie bilety są już wyprzedane. Trzeba jakoś je zdobyć. I to na dobre miejsca. Grace musi siedzieć blisko sceny, żeby przyrzeć się aurze tej Ryan. Nie możemy popełnić błędu.

- Kim ja, twoim zdaniem, jestem? Konikiem?

- Nie. Jesteś kimś więcej. Jesteś szefem J&J.

- Tylko pamiętaj, że facetowi, który potrafi załatwić dobre miejsca, kiedy nie ma już biletów, trzeba dać napiwek.

Rozdział 41

Niewielkie Acacia Bay leży na malowniczym odcinku wybrzeża południowej Kalifornii, na północ od Los Angeles. Jego mieszkańcy, spragnieni uznania w świecie sztuki, nie szczędzili wydatków na nową operę. Łukowate, obramowane kolumnadą wejście do Guthrie Hall nadawało budynkowi wygląd prawdziwej świątyni muzyki poważnej. Hol lśnił niczym wewnątrz szkatułki pełnej aksamitu i klejnotów.

Grace i Luther stali w holu. Czekając na rozpoczęcie przedstawienia, przyglądali się przybyłym na premierę wielbicielom opery.

- Miałaś rację - powiedział Luther, patrząc na siwowłosego dżentelmena w smokingu. - Hawajska koszula byłaby tu nie na miejscu. Nie jestem nawet pewny, czy marynarka i krawat są odpowiednie. Powinienem być włożyć frak.

- A masz frak? - spytała Grace.

- Nie.

- Tak myślałam - rzekła z uśmiechem. - Ale nie przejmuj się, teraz w operze możesz zobaczyć wszystko, od fraków po dzinsy, zwłaszcza na Zachodnim Wybrzeżu.

- Widzę głównie smokingi i fraki, które nie wyglądają na wypożyczone. A także wiele wyszukanych damskich kreacji i świecidełka warte jakiś milion dolarów.

- Na premiery ludzie ubierają się bardziej elegancko. Ale my wyglądamy całkiem przyzwoicie. Sam mówiłeś, że najważniejsze to nie wyróżniać się w tłumie. Wierz mi, nikt nie spojrzy na nas dwa razy. Nie była to do końca prawda. Grace spojrzała na Luthera więcej niż dwa razy. Po raz pierwszy widziała go w czymś innym niż swobodny strój, który nosił na wyspach. Była zaskoczona, kiedy ze swojego marynarskiego worka wyjął dobrze skrojoną marynarkę, świeżą białą koszulę, krawat i ciemne spodnie.

Na Hawajach, w sportowej koszuli z krótkimi rękawami, spodniach khaki i adidasach, wyglądał jak detektyw z wydziału zabójstw na wakacjach. Tego wieczoru, w marynarce i krawacie, wyglądał jak detektyw z wydziału zabójstw udający się do swojego biura. Strój może zmienić niektórych ludzi nie do poznania, ale nie ma wpływu na aurę siły, która otaczała Luthera.

Przed wylotem na kontynent Grace wybrała się na zakupy do centrum handlowego Ala Moana. Luther z godną podziwu cierpliwością towarzyszył jej w wędrówce po butikach znanych projektantów i markowych sklepach. We wszystkich zmierzała prosto do wieszaków z przecenioną odzieżą, nie chcąc wydawać fortuny na kreację, którą być może włoży tylko raz. Powtarzała sobie, że musi kupić coś eleganckiego, jednak w głębi duszy pragnęła znaleźć suknię, która zrobi wrażenie na Lutherze, nawet jeśli będzie odkrywać więcej jej nadwrażliwej skóry, niż byłoby to konieczne.

W końcu wyłoniła się z przebieralni butiku Neimana Marcusa w wąskiej czarnej sukience do kolan z głębokim okrągłym dekoltem. Jedyнным ukłonem w stronę nieprzewidywalnego zmysłu dotyku, na jaki się zdecydowała, były długie rękawy. Błysk w oczach Luthera i jego aurze powiedział jej, że dokonała trafego wyboru.

- Chodź, poszukamy naszych miejsc - rzucił.

- Muszę jeszcze pójść do toalety. Zaraz wracam.

Luther odprowadził ją do wahadłowych drzwi z napisem „Panie”. Grace weszła do środka i przez chwilę w osłupieniu patrzyła na rząd lśniących drzwi, który zdawał się nie mieć końca.

- Tu jest chyba z pięćdziesiąt kabin - zwróciła się do elegancko ubranej kobiety w średnim wieku, stojącej przy jednej z umywalek.

- W toalecie po drugiej stronie budynku jest ich jeszcze więcej - zapewniła kobieta z dumą. - Domyślam się, że jest pani spoza miasta.

- Tak - potwierdziła Grace - byłam w wielu teatrach i wszędzie podczas przerw były tasiemcowe kolejki do damskich toalet.

- Burmistrzem Acacia Bay jest kobieta. Udzieliła poparcia temu projektowi pod warunkiem, że architekt zagwarantuje odpowiednią liczbę damskich toalet.

- Właśnie takich polityków nam trzeba - orzekła Grace z przekonaniem. - Miejmy nadzieję, że ta pani będzie się kiedyś ubiegać o prezydenturę.

Gdy chwilę później wyszła z toalety i dołączyła do Luthera, zauważył:

- Jak na kogoś, kto przyszedł tu zidentyfikować mordercę, wydajesz się bardzo zadowolona.

- Niepotrzebnie odmawiałam sobie wszelkich płynów od trzeciej po południu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- W damskiej toalecie jest pięćdziesiąt kabin. Liczyłam. A po drugiej stronie teatru jest druga toaleta.

- I co z tego?

- To, że nie będę musiała się stresować podczas przerwy, oczywiście zakładając, że do niej dotrwamy.

Luther zmarszczył brwi.

- Źle się czujesz?

- Nie, to tylko taka kobieca przypadłość.

- Wierzę ci na słowo.

Bileter wskazał im miejsca w dwunastym rzędzie.

- To wystarczająco blisko, żebyś mogła się jej przyjrzeć - rzekł Luther z zadowoleniem.

Grace poczuła ucisk w żołądku, a jej zmysły ogarnął niepokój. Od chwili, kiedy Fallon Jones wyraził zgodę na ich podróż do Kalifornii, oboje byli bardzo zajęci. Musieli się szybko spakować, a potem dolecieć do Los Angeles i odbyć przejażdżkę wzdłuż wybrzeża do Acacia Bay. Dopiero teraz świadomość, po co tu przyjechali, dotarła do niej z całą mocą. Co będzie, jeśli się pomyliła? A co, jeśli miała rację?

- Tym się nie martw - uspokajał ją Luther. - Jeżeli to nie nasza zabójczyni, nic się nie stanie. Po prostu spędzimy wieczór w operze.

- A jeśli to jest ta kobieta, którą widziałam na Maui?

- Poinformujemy o tym Fallona i on się nią zajmie. A my wrócimy do Honolulu i zjemy kolację z Petrą i Wayne'em.

A co potem? - zastanawiała się Grace. Przecież ona nie mieszka w Waikiki, tylko w Eclipse Bay w stanie Oregon. Sama. Nie myśl o tym. Żyj chwilą, upominała się w duchu.

- To nie ma sensu - usłyszała głos Luthera. Zaskoczona, spojrzała na niego.

- Co? Przecież właśnie ustaliliśmy, że... - urwała, kiedy zobaczyła, że czytał streszczenie libretta zamieszczone w programie. - A, o tym mówisz. No cóż, nikt nigdy nie twierdził, że w Czarodziejskim flecie jest jakiś sens. Ale to Mozart, więc wielbiciele opery nie czepiają się takich drobiazgów, jak brak logiki.

- Zapamiętam to.

- Eksperci z Towarzystwa uważają, że Mozart posiadał nadprzyrodzone zdolności - dodała.

- Naprawdę?

- A jak inaczej wytłumaczyć fakt, że posiadał tak niezwykły talent?

- Był członkiem Towarzystwa?

- Myślę, że wybrał wolnomularstwo - odparła z uśmiechem.

- Dobrze, że La Sirene pojawia się już w pierwszym akcie. - Luther zamknął program. - Nie będziemy musieli długo czekać na odpowiedź.

Światła zgasły i widownia ucichła. Zaczęła się uwertura, wypełniając salę radosną, wibrującą energią. Muzyka, niczym dziwaczna kombinacja lodówki i kuchenki mikrofalowej, potrafi zatrzymać niezwykłą energię dawno zmarłego kompozytora, a potem odgrzewać ją i serwować kolejnym pokoleniom.

Kurtyna poszła w górę, odsłaniając scenerię starożytnego Egiptu. W przedstawieniu zastosowano wszystko, co miała do zaoferowania najnowocześniejsza technologia. Grace, która wiedziała, że operowa publiczność oczekuje ekstrawagancji nie tylko ze strony śpiewaków, ale i scenografa oraz autora kostiumów, musiała przyznać, że twórcy spektaklu w Acacia Bay dobrze wywiązali się ze swojego zadania.

Była to idealna oprawa dla zabójczego sopranu koloraturowego. Kiedy na scenie pojawiła się Królowa Nocy, Grace z trudem powstrzymała chęć ukrycia się za oparciem krzeseł z rzędu przed nią. Królowa miała na sobie suknię z jedwabiu i aksamitu, mieniącą się różnymi odcieniami głębokiego szafiru i ozdobioną lśniącymi paciorkami. Wysoka czarna peruka nadawała nowe znaczenie prostemu słowu „włosy”. Migoczący w świetle diadem wpleciony w tę wieżę ze sztucznych loków nasuwał skojarzenia z bożonarodzeniową choinką.

Królowa Nocy błyskawicznie zdominowała całą scenę.

Obezwładniająca siła jej wspaniałego głosu lśniła równie jasno jak przerażająca aura śpiewaczki. Publiczność tkwiła nieruchomo na swoich miejscach, słuchając dźwięków Ozitt're nicht, które wypełniały salę, docierając do jej najdalszych zakątków. La Sirene nie tylko zdołała zaśpiewać nieprawdopodobnie wysokie F, ale zaśpiewała je nieskazitelnie czystym, pełnym głosem.

Grace niemal przestała oddychać, podświadomie czekając na dźwięk pękającego kryształu. Te muzyczne fajerwerki emanowały siłą, która wprawdzie nie była w stanie zabijać, ale bez wątpienia mogła wprawić słuchaczy w stan głębokiej hipnozy. Grace dostała gęsiej skórki; jej ciało zdawało

się płonąć. Wszystkie jej zmysły krzyczały, że znalazła się w obecności drapieżnika. Szalonego drapieżnika.

Wiedziała, że ona i Luther są bezpiecznie ukryci w mroku; że światła reflektorów nie pozwalają śpiewakom dojrzeć publiczności; że La Sirene nie ma powodu podejrzewać, że ktoś ją obserwuje. Ale logika przegrywała z instynktem samozachowawczym. Sceną przed jej oczami zawładnęły obłęd i śmierć.

Nie próbowała nawet szepnąć do Luthera. Była pewna, że siedzących wokół ludzi zirytowałoby choćby kasznięcie, nie wspominając o rozmowie. Luther wziął ją za rękę i uświadomiła sobie, że cała drży. Zacisnął palce na jej dłoni, pokazując w ten sposób, że rozumie, co się stało. On także musiał czuć moc aury tej śpiewaczki, nawet jeśli nie dostrzegał eksplodującej w niej mrocznej energii. Prawdopodobnie widział też w jej aurze oznaki szaleństwa.

Poruszył się lekko i spojrzał na drzwi, zachęcając Grace do wyjścia. Pokręciła głową. Nie mogli wyjść, dopóki Królowa Nocy znajdowała się na scenie. Ryzyko, że ich zniknięcie zostanie zauważone, było zbyt duże. Kiedy aria dobiegła końca, wstali i wymknęli się z sali. Grace starała się nie zwracać uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenia. Odetchnęła z ulgą, gdy dotarli do holu.

- Dziwni ludzie - zauważył Luther.

- Operową publiczność obowiązuje wiele niepisanych zasad.

Wychodzenie z sali podczas przedstawienia jest bardzo źle widziane.

- Gdyby ci ludzie wiedzieli, do czego jest zdolna ich Królowa Nocy, połamali by sobie nogi, uciekając do wyjścia.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła Grace, starając się uspokoić oddech. - Ludzie oczekują spektakularnych efektów. Co teraz?

- Jak zwykle, zadzwonimy do Fallona.

Wyszli z budynku, przeszli przez ulicę i ruszyli na kryty parking. Mimo że Królowa Nocy ciągle była w teatrze i miała tam pozostać jeszcze przez dłuższy czas, Grace bezwiednie wyostrzyła zmysły, sprawdzając każdy cień. Kiedy dotarli do wynajętego samochodu, Luther usiadł za kierownicą i wyjął z kieszeni telefon.

Fallon odebrał po pierwszym sygnale.

- I co? - spytał.

- Grace jest pewna, że to ona - odparł Luther.

- Cholera - zaklął Fallon, wyraźnie poruszony. - Na sto procent?

- Wiem, że nie lubisz, kiedy coś nie pasuje do twoich przewidywań, ale musisz się z tym pogodzić. Siedzimy w tej chwili przecnicę od kobiety, która mogłaby nas zabić, śpiewając kołysankę. Co teraz?

- Harry Sweetwater mówi, że wśród jego kolegów po fachu nie ma nikogo, kto odpowiadałby opisowi La Sirene.

- Pewnie dlatego, że Grace od początku miała rację. To nie jest zawodowa zabójczyni. To zawodowa śpiewaczka.

- Ale dlaczego ktoś taki miałby jechać aż na Hawaje, żeby zamordować Eubanksa?

- Może Craigmores wiedział, co ta kobieta potrafi zrobić swoim głosem, i w jakiś sposób przekonał ją, żeby załatwiła Eubanksa. Może był jej kochankiem. Grace mówi, że miała ich wielu. Tak czy inaczej, to ona go zabiła.

- Nadal jednak - upierał się Fallon - brakuje sporej części tej układanki. Musimy ustalić, co łączyło

Craigmore'a z tą śpiewaczką. Wasza diwa ma dom w San Francisco. Wyślę tam kogoś tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Luther spojrzął na zegarek.

- La Sirene przez dłuższy czas nie będzie mogła wyjść z teatru. Spektakl jeszcze trochę potrwa, a później przynajmniej godzinę będzie musiała spędzić za kulisami ze swoimi wielbicielami. Potem wybiera się na prywatne przyjęcie. Mam mnóstwo czasu. Postaram się wejść do jej apartamentu hotelowego.

Grace zacisnęła palce na oparciu siedzenia i szeroko otworzyła oczy.

- Nie - szepnęła.

- Zrób to - rzucił Fallon i przerwał połączenie. Luther uśmiechnął się do Grace.

- Nie martw się - powiedział. - Co złego może mi się przytrafić w pustym pokoju?

Rozdział 42

Grace krążyła nerwowo po mieszkaniu Luthera. Wyszedł prawie dwadzieścia minut temu i na pewno jest już w apartamencie Vivien Ryan. To były policjant. Wie, co robi. Poza tym nie skończył się jeszcze nawet drugi akt Czarodziejskiego fletu. W tej chwili Królowa Nocy prawdopodobnie śpiewa wstrząsającą arię, w której skłania swoją córkę do zabicia własnego ojca.

Luther ma mnóstwo czasu, pomyślała. La Sirene nie wyjdzie z teatru, dopóki nie przyjmie w garderobie zachwyconych wielbicieli. Jest diwą w pełnym znaczeniu tego słowa: podziwu i adoracji potrzebuje do życia tak jak powietrza. Wszystko to wyraźnie widać w jej aurze.

Grace dotarła do ściany, odwróciła się i ruszyła z powrotem przez pokój. Wszystkie jej zmysły były w stanie najwyższej gotowości. Tylko głębokie oddychanie i bezustanny ruch pomagały jej nie wpaść w panikę. Nagle zrozumiała, że właśnie doświadcza czegoś zupełnie nowego. Do tej pory troszczyła się tylko o siebie. Teraz, po raz pierwszy od śmierci matki, była przerażona, bo w niebezpieczeństwie znalazł się ktoś inny.

O Martina Crockera, choć był jej bliski, nigdy tak się nie martwiła, nawet gdy zdała sobie sprawę, że znalazł się we władzy narkotyku. Łączyły ich przyjaźń i interesy, ale nie miłość. Pod koniec Martin budził w niej już tylko smutek, żal i poczucie zdrady. A potem, jak zawsze, nad wszystkim wziął górę instynkt samozachowawczy.

Teraz było zupełnie inaczej. Bezpieczeństwo Luthera znaczyło dla niej więcej niż jej własne. Jestem zakochana. Zatrzymała się gwałtownie przed biurkiem i spojrzała w lśniący ekran monitora. Jestem zakochana. Ogarnęła ją ulga. A więc tak to jest zakochać się w kimś. Nie była to tylko namiętność, którą przeżywała w ramionach Luthera. Ani wzajemne zrozumienie i akceptacja przeszłości czy zdolności, jakimi byli obdarzeni. Wszystko to zawierało się w jej uczuciu do Luthera, ale było w nim jeszcze coś, czego nie sposób opisać. Słowo „miłość” najlepiej oddawało to uczucie, ale nawet ono wydawało się za słabe. Wiedziała, że bez względu na to, co przyniesie los, będzie nosiła Luthera w sercu do końca swoich dni.

- Jestem zakochana - powiedziała, patrząc na monitor. - Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego stoję tu spanikowana i gadam do ekranu komputera.

Zadzwoiła jej komórka. Grace drgnęła gwałtownie i czując się jak kompletna idiotka, podbiegła do torebki i wyjęła telefon. Na ekraniku widniał numer Fallona.

- Dzień dobry, panie Jones - sapnęła. - Mówi Grace.

- Stało się coś? Wydajesz się zdyszana.

- Nie, nic się nie stało. Czekam, aż Luther wróci z pokoju Vivien Ryan, i trochę się denerwuję.

- Nie martw się. Luther wie, co robi. Dzwonię, bo agent, którego wysłałem do domu tej Ryan, znalazł tam sejf w ścianie. Jednemu z naszych ludzi udało się go otworzyć. Znaleźli trochę interesujących papierów. Craigmores był ojcem La Sirene.

Grace, wstrząśnięta, usiadła na łóżku.

- Pan chyba żartuje...

- Powinnaś wiedzieć, że ja nigdy nie żartuję - odparł. - Jest jeszcze coś. Vivien Ryan ma przyrodną siostrę, która nazywa się Damaris Kemble.

- Czy ta Damaris też jest śpiewaczką?

- Nie. Odziedziczyła zdolności po ojcu. Zajmuje się kryształami.

- Czy była zamieszana w to wszystko?

- Jeszcze nie wiadomo. Próbuje to ustalić.

Grace przeczesła palcami włosy, usiłując zebrać myśli.

- W aktach genealogicznych Vivien Ryan nie było informacji, że ma siostrę. I, o ile dobrze pamiętam, powiedział pan Lutherowi, że Craigmores nie mógł mieć dzieci.

- Wygląda na to, że zanim zaczął pracować dla tej rządowej agencji, oddał spermę do banku kliniki prowadzonej wyłącznie na potrzeby Towarzystwa.

Grace zmartwiała tak jak wtedy, gdy La Sirene śpiewała wysokie F.

- Kliniki Burnside?

- Zgadza się. Klinika doszczętnie spłonęła wiele lat temu, wraz z całą dokumentacją. Niewykluczone, że właśnie Craigmores był odpowiedzialny za ten pożar, bo akta swojego potomstwa miał bezpiecznie ukryte w sejfie. Wygląda na to, że wszedł tam, wziął papiery, które go interesowały, a potem podpalił klinikę.

- Ale dlaczego?

- Mówiłem ci, ten człowiek przez całe lata pracował dla tajnej agencji, a ta robota wpędza ludzi w paranoję. Prawdopodobnie chciał mieć pewność, że żadne z jego dzieci nigdy go nie zdradzi.

- Ile... ile on miał córek? - wyszeptała Grace i nagle zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

- Dwie, Vivien i Damaris.

Grace zacisnęła powieki. Sama nie wiedziała, czy to, co czuje, to ulga czy przerażenie.

- Jest pan pewny, że tylko dwie?

- W swoich notatkach stwierdza to wyraźnie. Chciał odnaleźć wszystkie swoje dzieci i był bardzo rozczarowany, kiedy okazało się, że ma tylko dwie córki.

- Rozumiem.

- Nie jesteś jego córką, Grace - głos Fallona brzmiał zaskakująco łagodnie. - Zastanów się. Na pewno sprawdziłaś profil swojego ojca.

Twoja matka umieściła go w aktach, kiedy cię zarejestrowała. Wiesz zatem, że różnił się od Craigmores'a. Przede wszystkim, nie miał brązowych oczu. I był strategiem, nie generatorem kryształów. Grace czuła się jak „Titanic” po spotkaniu z górą lodową.

- Pan wie, że pochodzę z kliniki Burnside? - wyjąkała.

- Prowadzę agencję detektywistyczną i staram się jak najwięcej wiedzieć o swoich agentach. Przyszłość Towarzystwa, a może nawet całego tego cholernego świata, zależy od tego, czy wykonam swoją pracę, jak należy.

- Ale jak pan odkrył, że jestem dzieckiem z kliniki?

- Bez najmniejszego trudu. Kiedy ustaliłem, kim byłaś, zanim stałaś się Grace Renquist, dowiedziałem się też o klinice. Znalazłem tę informację przy twoim pierwszym nazwisku.
 - Och! - Grace była wstrząśnięta. Powoli zaczynało do niej docierać, że skoro Jones wiedział o Burnside, wiedział wszystko.
 - Tak, wiem o Martinie Crockerze - oznajmił, jakby czytał w jej myślach, choć podobno jest to niemożliwe. - Sukinsyn handlował bronią albo narkotykami, prawda? A właściwie czym?
 - Bronią - odparła słabo.
 - Ale...
 - Dowiedziałaś się o tym, więc chciał cię zabić, ale zdołałaś go pokonać. Podejrzywałem, że musiał zginąć w taki sposób. Tak przy okazji, dobra robota.
- Grace przeraziła lekkość, z jaką przyjął do wiadomości, co się wydarzyło tamtego dnia na Karaibach.
- To nie było zlecenie - powiedziała. - Walczyłam w obronie własnego życia.
 - Jak dla mnie, to bez różnicy. Ale naprawdę nie ma czasu na wspomnienia. Mamy problem do rozwiązania. - Urwał na chwilę. - Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem. Chyba powinienem się przespać. Rzecz w tym, że znaleźliśmy powiązanie między Craigmorze'em a La Sirene.
 - A druga córka Craigmorze'a? - spytała szybko Grace. - Damaris Kemble. Co się z nią stało?
 - Wierz mi, w tej chwili bardzo intensywnie jej szukamy.
 - To dobrze. - Grace znowu przebiegł lodowaty dreszcz.
- Odsunęła od siebie myśli o Craigmorze i klinice. Luther jest w niebezpieczeństwie. Była tego pewna.
- Muszę kończyć, panie Jones, i natychmiast zadzwonić do Luthera.
 - Lepiej nie. On teraz pracuje.
 - Muszę mu powiedzieć, żeby natychmiast wyszedł z apartamentu Ryan.
 - Ale dlaczego?
 - Nie mam pojęcia.
- Rozłączyła się i wybrała numer Luthera. Ale on nie odebrał telefonu.

Rozdział 43

- Miałam nieco inny plan - powiedziała kobieta, celując do Luthera - ale skoro już się pojawiłeś, sądzę, że coś wymyślimy. Mam nadzieję, że podobał ci się występ mojej siostry. Jest wspaniała, prawda? Szalona, ale wspaniała.
- Jesteś siostrą Ryan? - Luther drżał na całym ciele, ale na razie udawało mu się opierać sile lasera. Ta kobieta najwyraźniej dysponowała mniejszą mocą niż Craigmorze.
 - Jestem Damaris Kemble - przedstawiła się. - Vivien to moja przyrodnia siostra. Obie jesteśmy dziećmi dawcy spermy. William Craigmorze był naszym ojcem.
- Mówiła spokojnie, ale jej aura błyskała dziko. Silne emocje - gniew, rozpacz i strach - pulsowały w całym spektrum wraz z mroczną energią narkotyku. Laser w jej dłoni był taki sam jak ten, którego Craigmorze użył na parkingu. Ale Damaris jeszcze się nie zorientowała, że Luther korzystał z mocy swojej aury, by zneutralizować działanie promienia.
- Kazała mu odłożyć laskę - oparł się więc o brzeg biurka - a ręce podnieść do góry, przez co jeszcze trudniej było mu utrzymać równowagę. Mimo tych środków ostrożności Damaris nie wydawała się przejęta sytuacją. Nikt nie traktuje poważnie ludzi uzdolnionych w kierunku aury. Skoro jednak tak

łatwo udało jej się go zaskoczyć, może to lekceważenie było usprawiedliwione.

Damaris nie wyglądała też na zaskoczoną obecnością Luthera w pokoju Vivien. Jego reakcja natomiast, poza obowiązkowym „O cholera!”, sprowadzała się do pełnego napięcia oczekiwania. Wreszcie odnalazły się brakujące elementy układanki. Teraz musiał już tylko utrzymać się przy życiu na tyle długo, by zobaczyć cały obrazek.

- Nie jesteś śpiewaczką, masz zdolności w kierunku kryształów - domyślił się.

- Jestem generatorem, jak mój ojciec - potwierdziła z dumą. - Gdy mnie odnalazł, był zachwycony faktem, że przekazał swój talent potomstwu.

- Kiedy zaczął cię szukać?

- Kilka lat temu. Powiedział mi, że zdeponował spermę w klinice, bo wiedział, że jako szpieg może nie żyć długo, a chciał przekazać swój materiał genetyczny. Potem okazało się, że środek, który przyjmował, miał wiele skutków ubocznych. Jednym z nich była bezpłodność. Przez wiele lat nie chciał w to uwierzyć. Był trzykrotnie żonaty, ale w końcu się poddał i zaczął szukać mnie i mojej siostry.

Luther patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Rządowa agencja, w której pracował, dysponowała jakąś wersją formuły założyciela?

- Agencja miała własne laboratorium, którym zajmował się niejaki Husley, potomek Basila Husleya. Znasz to nazwisko?

- Oczywiście. Basil Husley jest znany w J&J, ale nie jest to dobra sława. Pod koniec XIX wieku był przyczyną licznych problemów. Klasyczny przypadek szalonego naukowca.

- Jego potomek odtworzył formułę na potrzeby agencji. - Skrzywiła się. - Niestety, nie zdołał uniknąć przy tym wielu błędów.

- Nikomu się to nie udało - stwierdził Luther. - Nie powstrzymuje to jednak ludzi od kolejnych prób.

- Kiedy agencja wstrzymała produkcję formuły, tatuś nie miał jej skąd brać. Miał pewien zapas, ale wiedział, że jeśli nie chce umrzeć w ciągu miesiąca, musi działać. Jego przełożeni spodziewali się, że wpadnie w obłęd i odbierze sobie życie.

- I w ten sposób znikną wszelkie ślady po tym małym rządowym eksperymencie.

- Właśnie - potwierdziła Damaris z goryczą.

- I co było dalej? Jak twojemu ojcu udało się przeżyć?

- Przełożeni zlecieli mu ostatnie zadanie: chcieli, żeby zlikwidował doktora Husleya. Ale wtedy tatuś miał już pewne podejrzenia co do formuły. Porozmawiał z Husleyem, który dokładnie mu wyjaśnił, co się stanie, gdy skończą się jego zapasy. Tatuś zgodził się pozostawić go przy życiu pod warunkiem, że Husley nadal będzie dostarczał mu ten środek.

- Czyli układ był korzystny dla nich obu.

- Husleyowi zależało tylko na kontynuacji badań. Chciał mieć laboratorium. Dogadał się więc z moim ojcem.

Luther już wszystko rozumiał.

- A niech mnie! Twój ojciec nie był tylko członkiem Cienia Nocy, ale i założycielem tej organizacji, prawda?

- Tak. - Aura Damaris rozbłysła gniewem i dumą. - Przez wiele lat miał nadzieję, że Rada doceni znaczenie oraz potencjał formuły i Towarzystwo w końcu zgodzi się na badania nad nią.

- Ale po co, u diabła?

- Tatuś uważał, że Towarzystwo Arkane powinno się stać organizacją, która skupia jednostki

odznaczające się największymi zdolnościami nadprzyrodzonymi, prawdziwą elitę, zdolną wpływać na rządy, korporacje i wszelkiego rodzaju przedsięwzięcia naukowe.

- Tak się jednak nie stało, i nigdy nie stanie.

- Nie - przyznała z rezygnacją. - Mój ojciec założył organizację, którą nazywasz Cieniem Nocy, gdy w końcu zrozumiał, że Rada nigdy nie zezwoli swoim naukowcom pracować nad formułą, a przynajmniej nie stanie się to za jego życia. Postanowił sam zbudować to, czego nie chciało stworzyć Towarzystwo. Pragnął pozostawić po sobie wielkie dzieło, które będzie trwało. A teraz nie żyje, przez ciebie. Opowiedz mi, co się wydarzyło na Hawajach.

- Nic dziwnego, że Cień Nocy tak doskonale orientował się w działaniach J&J. Jako członek Rady, Craigmores od początku miał dostęp do wszystkich tajemnic Towarzystwa.

Oczy Damaris zalsniły gniewem.

- Mów, co stało się na Hawajach.

Luther zaczął się pocić. Było mu na przemian zimno i gorąco. Zdołał jednak wykorzystać trochę energii, by uspokoić aurę Damaris. Zamrugła i po chwili wydawała się spokojniejsza.

- Najpierw ty mi powiedz, dlaczego twój ojciec chciał zlikwidować Eubanksa - zażądał.

- Eubanks był bardzo ambitny i bardzo niebezpieczny. Jego laboratorium opracowało nową wersję formuły, którą można przyjmować w postaci kapsułek. Wykorzystywał ten fakt, a także swój wzmocniony talent strategiczny, w walce o miejsce w radzie dyrektorów.

- A twój ojciec go tam nie chciał?

- Nie, ojciec mu nie ufał. Oczywiście Eubanks nie wiedział, kim jest tatuś. Tożsamość prezesa organizacji znają tylko członkowie rady dyrektorów. Ale pozostali członkowie zarządu uważali, że Eubanks zasługuje na awans. Zamierzali głosować za przyjęciem go do najwyższych władz.

- Twój ojciec nie chciał do tego dopuścić.

- Postanowił zlikwidować Eubanksa, ale w taki sposób, żeby nikt nie mógł go z tym powiązać.

Umilkła. Luther przysięgłby, że zaczęła drżeć.

- Próbowłaś wykorzystać w tym celu Sweetwatera - powiedział, by zachęcić ją do dalszych zwierzeń.

- To był pomysł tatusia - odparła. - W najgorszym wypadku Rada podejrzewałaby J&J. Tak czy inaczej, nikomu nie przyszłoby do głowy, że prezes Cienia Nocy miał z tym coś wspólnego. Ale coś poszło nie tak i Sweetwater się wycofał.

- Wtedy zwróciłaś się do siostry.

- Nie mieliśmy czasu wymyślić czegoś lepszego, bo głosowanie miało się odbyć w przyszłym tygodniu. Eubanks musiał zginąć na Maui.

- Postanowiliście więc załatwić sprawę w gronie rodziny. Twojej siostrze udało się wykonać zadanie.

Damaris zeszywniała.

- Tatuś mówił, że Vivien ma wrodzony talent. Trzeba go tylko ukierunkować.

- Pokazać jej cel.

- Sądzę, że tatuś nigdy tak naprawdę nie rozumiał Vivien. Moja siostra jest bardzo skupiona na sobie. Do tej pory zabijała tylko ludzi, którzy przeszkadzali jej w karierze. Ale ma naturalne predyspozycje, co pewnie wiąże się z jej darem. W końcu po co umieć zabijać głosem, jeśli brak ci skłonności, żeby tę umiejętność od czasu do czasu wykorzystać?

- Bez urazy, ale to nielogiczne. Każdy umiałby zabić przy użyciu rewolweru, ale nie każdy ma takie

skłonności. Dar twojej siostry jest nietypowy, lecz z punktu widzenia ewolucji zapewne miał służyć jako mechanizm samoobrony.

Damaris uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

- Nie znasz mojej siostry, prawda? Ona uważa, że wykorzystuje swoje zdolności w samoobronie. To nie jej wina, że ludzie, których uważa za zagrożenie, to krytycy, rywalki i irytujący agenci.

- Dlaczego więc zgodziła się zabić Eubanksa? Chciała wyświadczyć przysługę ojcu?

- Nie. Vivien i tatuś nigdy się do siebie nie zbliżyli. Nie było między nimi żadnej więzi. Zrobiła to dla mnie. Jestem jedyną osobą, do której żywi jakieś uczucia, oczywiście poza sobą samą.

- Niezła przysługa, zamordować człowieka.

Damaris poruszyła się niespokojnie. Zaczynała mieć trudności ze skupieniem uwagi. Luther odetchnął głębiej i wyostrzył zmysły.

- Eubanks nie był niewinną ofiarą - powiedziała defensywnie. - Wiem od tatusia, że zabił dwie swoje żony, żeby odziedziczyć ich pieniądze, i jeszcze jedną młodą kobietę, z którą miał romans. Najwyraźniej odkryła jego powiązania z Cieniem Nocy.

- Craigmores wiedział, że J&J obserwuje Eubanksa?

- Nie, zorientował się dopiero wtedy, kiedy Vivien natknęła się na tę kobietę w hotelu na Maui. Stwierdził, że spotkanie tam osoby, która potrafiła się oprzeć sile jej głosu, nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności. Sprawdził akta J&J i odkrył, że J&J prowadzi dochodzenie w sprawie Eubanksa.

- To musiało go zaniepokoić.

- Dlaczego? Było oczywiste, że J&J interesuje się Eubanksem tylko ze względu na śmierć tej młodej kobiety. Agencja nie wiedziała, że Eubanks należał do Cienia Nocy. Obawiał się jednak, że w toku śledztwa J&J może odkryć jego powiązania z naszą organizacją. Był to jeszcze jeden powód, dla którego Eubanks musiał zniknąć.

A więc Fallon i Zack Jones się nie mylili, pomyślał Luther. Craigmores przyszedł na parking pewny, że jego jedynym problemem jest wybujała ambicja Eubanksa. Nie miał pojęcia, że J&J odkryła tożsamość czterech członków Cienia Nocy. Punkt dla agencji.

- Craigmores chciał mnie dopaść, bo wiedział, że mogę go zaprowadzić do Grace, jedynej osoby, która mogła rozpoznać La Sirčne.

- Tak. - Damaris zacisnęła palce na laserze. - Uznał, że musimy się pozbyć kobiety, która widziała Vivien, i postanowił sam się tym zająć. Ale ty go zabiłeś, prawda? Jak udało ci się to zrobić? Tatuś miał wielką moc.

- Każdy może czasem coś schrzanić. Spójrz choćby na mnie.

- Tatuś niczego nie schrzanił - warknęła wyraźnie wściekła. - Przez wiele lat wykonywał bardzo niebezpieczną pracę, a potem działał w samym sercu Towarzystwa. Należał do Rady. I nikt go nawet nie podejrzewał.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie jest to do końca prawda. Gdy Zack Jones został nowym Mistrzem, od razu wyczuł, że ma problem gdzieś wysoko w strukturach Towarzystwa, i natychmiast przedsięwziął pewne środki ostrożności.

Damaris była wstrząśnięta.

- Nie mógł podejrzewać tatusia. To niemożliwe. Mój ojciec był na to zbyt sprytny.

- Owszem, był sprytny i miał mnóstwo czasu, by zatrzeć za sobą ślady. Ale odkąd Zack doszedł do władzy, on i Fallon mieli na oku całą Radę. Prędzej czy później zorientowaliby się, że twój ojciec

był zdrajcą.

- Nie był zdrajcą, do cholery. Zrobił to, co zrobił, żeby przeżyć.

Wiedział, że bez stałych dostaw formuły umrze, a był pewien, że nie przekona Rady, żeby ją dla niego produkowała.

- Nie produkował formuły tylko po, by utrzymać się przy życiu.

- odparł Luther. - Założył Cień Nocy, bo dostrzegł sposób na zdobycie władzy i z niego skorzystał.

- Zamknij się! - wykrzyknęła. - Zabiłeś mojego ojca i zapłacisz mi za to. Ale najpierw powiedz, jak to zrobiłeś. Muszę to wiedzieć. Luther znowu wyostrzył zmysły i przyjrzał się jej aurze. W całym spektrum nadal pojawiały się gniewne błyski, coraz wyraźniej widać było też strach.

- Od dawna przyjmujesz formułę? - spytał łagodnie.

Zaskoczył ją. Znieruchomiała, a potem laser w jej dłoni zaczął drżeć.

Luther poczuł, że siła promienia skierowanego w jego stronę słabnie.

- Widzisz to? - wyszeptwała.

- Dar czytania z aury może się wydawać niezbyt interesujący, ale czasem bardzo się przydaje.

- Tatuś nie chciał, żebym zaczęła brać formułę, bo to powoduje wiele skutków ubocznych. Ale ja nalegałam. Miałam dar na poziomie siódmym, a chciałam być spadkobierczynią tatusia pod każdym względem.

- Twój ojciec miał rację co do skutków ubocznych. Ale jeszcze gorsze jest odstawienie formuły. Gdy przestajesz przyjmować kolejne dawki, umierasz. Ile ci jeszcze zostało?

Przerażenie po raz pierwszy pojawiło się nie tylko w jej aurze, ale i na twarzy.

- Trzy tygodnie - odparła głucho. - W płynnej postaci formuła może być przechowywana najwyżej przez miesiąc, nawet w idealnych warunkach. Właśnie dlatego wersja opracowana przez Eubanksa była taka cenna.

- Dlaczego nie poszłaś do opery, żeby zobaczyć siostrę?

- Chciałam pójść, ale nie czuję się najlepiej. Chyba mam alergię na formułę. - Skrzywiła się. - Może umrę, jeszcze zanim skończy mi się zapas.

- Spróbujemy się dogadać - zaproponował.

- Po co? Najdalej za trzy tygodnie będę martwa. Nie masz mi nic do zaoferowania. Przyszłam tu, żeby pożegnać się z siostrą.

- A szansa na normalne życie? To by cię interesowało?

- Mówisz o antidotum? Tatuś mówił, że w laboratorium Towarzystwa pracują nad tym, ale to jeszcze potrwa. A nawet jeśli antidotum działa, Rada na pewno mi go nie da.

- Decyzja nie należy do Rady. Zack Jones może wydać zgodę, a wyda, jeśli doradzi mu to Fallon. Wprawdzie antidotum rzeczywiście jest w fazie eksperymentów, ale przecież nie masz nic do stracenia. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie śmiała obudzić w sobie nadziei.

- Dlaczego Zack Jones miałby mi pozwolić wypróbować antidotum? - szepnęła.

Promień lasera był teraz bardzo słaby. Damaris koncentrowała się wyłącznie na tym, że mimo wszystko ma jakieś szanse na przeżycie. Luther przestał się trząść i zaczął normalnie oddychać.

Maksymalnie wyostrzył zmysły i wysłał w jej stronę falę uspokajającej energii. Laser wypadł z dłoni Damaris. Nie zauważyła tego, walcząc z ogarniającą ją sennością. Luther chwycił laskę i podszedł do niej.

- Mistrz da ci antidotum, ponieważ masz coś, na czym Towarzystwu bardzo zależy.

- Co?

- Informacje na temat najwyższych kręgów Cienia Nocy. Teraz, kiedy twój ojciec nie żyje, nic nie jesteś im winna. I co ty na to? Zgadzasz się?

- Głupio byłoby się nie zgodzić - odparła cicho, obejmując się ramionami.

Zadał jeszcze kilka pytań, a kiedy skończył, wysłał w jej stronę kolejną falę energii. Dziewczyna zamknęła oczy i zapadła w sen.

Luther doszedł do wniosku, że mimo wszystko powinien ją zwięzać. Policjant na zawsze pozostaje policjantem. Skrępował jej nogi w kostkach i nadgarstki, używając w tym celu swojego paska i krawata, w którym był w teatrze. Potem wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Fallona Jonesa.

- Craigmores był założycielem Cienia Nocy? - Fallon był szczerze zdumiony, co zdarzało się niezwykle rzadko. - A Damaris to jego córka. Do diabła, dostanie antidotum, jeśli puści farbę.

- Tak właśnie myślałem. Musisz przysłać kogoś do Acacia Bay po pannę Kemble. W tej chwili jest nieprzytomna. Jej siostra nie wie, że Grace jest w mieście, więc na tym froncie na razie mamy spokój.

- Zaraz wyślę kogoś z Los Angeles, żeby przewiózł tę Kemble do laboratorium. Ale biorąc pod uwagę ruch na drogach, zajmie to co najmniej godzinę. Do tego czasu nie spuszcza jej z oka.

- Mówiła, że jej siostra wróci do hotelu dopiero nad ranem.

- Posłuchaj, Malone, nie chcę, żebyś spotkał się z Vivien Ryan, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Za zajmowanie się problemami tego typu płacę Sweetwaterowi. Zabierz Kemble z tego pokoju.

- Jasne. Ale przecież nie mogę maszerować po korytarzu z nieprzytomną kobietą przerzuconą przez ramię.

- A masz jakiś inny pomysł?

- Może wynajmiesz mi pokój w tym hotelu? Zamelduję się, a potem wrócę po Kemble i przetransportuję ją tam.

- Jak? Przecież chodzisz o lasce.

- Wierz mi, nigdy o tym nie zapominam. Użyję wózka na brudną pościel.

- Dobry pomysł - mruknął Fallon. - Jak to wymyśliłeś?

- Po prostu nagle wpadło mi do głowy.

- Ta Kemble ani na chwilę nie może zostać sama. Jest dla nas zbyt cenna.

- Nie martw się, nigdzie się nie wybiera. Zadzwoni do recepcji i zarezerwuj mi pokój na innym piętrze.

- Kiedy wreszcie przestaniesz mnie traktować jak sekretarkę?

- I jeszcze jedno - dodał Luther, ignorując pytanie. - Jeśli La Sirene wróci wcześniej, na pewno zorientuje się, że coś stało się z Damaris.

- To już jej problem.

- A jeśli się ulotni?

- Daj spokój. To diwa. Nie jest w stanie pozostawać w ukryciu dłużej niż dziesięć minut. Znajdziemy ją.

- Więc od tej chwili to twój problem - powiedział Luther i zamknął telefon. Zdążył się rozłączyć, zanim zrobił to Fallon.

Rozdział 44

Do diabła z tą Renquist. Kolejny raz gotowa wszystko zepsuć. Jak śmiała pojawić się w Acacia Bay, i to właśnie dzisiejszego wieczoru?

La Sirene siedziała w swojej garderobie i patrzyła na Newlina Guthrieego w lustrze.

- Jesteś pewny, że ona tu jest?

- Tak, najdroższa, i jej ochroniarz także. - Newlin rozłożył ręce w geście na poły przepraszającym, na poły uspokajającym. - Bez problemu udało mi się wejść do akt J&J. Wczoraj wieczorem agencja kupiła dwa bilety dla państwa Kerney. Renquist i Malone mieli zarezerwowany na to nazwisko lot z Honolulu do Los Angeles. Przykro mi, kochanie, ale musimy zakładać najgorsze.

- To takie niesprawiedliwe. Nie zasługuję na to. Byłam dziś doskonała.

Podróż na Maui miała bardzo dobry wpływ na głos. Już dawno powinna była się zorientować, że musi często używać jego maksymalnej siły, by utrzymać go w najwyższej formie.

- Byłaś niezrównana, najdroższa - zapewnił ją Newlin. - Wszyscy byli tobą zachwyceni.

Rzeczywiście, dostała owację na stojąco. Składając ukłon za ukłonem, czuła się, jakby naprawdę była Królową Nocy. Później Newlin musiał po prostu wyprosić z garderoby ostatnich z niekończącego się strumienia wielbicieli jej talentu. Na premierze byli najważniejsi krytycy z Los Angeles i jeden z San Francisco. Nowy agent zadzwonił do niej podczas antraktu, bliski ekstazy. Powiedział, że wszystkie największe magazyny dobijają się o wywiad.

Wszystko układało się idealnie, a tu coś takiego. Miała zamiar rozprawić się z tą Renquist, dopiero kiedy zakończy swoje sprawy w Acacia Bay. W końcu jest artystką. Nie może pozwolić, by rozpraszały ją uciążliwe drobiazgi.

Przeciągnęła po twarzy nawilżoną chusteczką, zmywając część makijażu. Czuła, jak narasta w niej wściekłość. Miała ochotę krzyknąć, ale to mogłoby zaszkodzić głosowi. Zmięła chusteczkę, rzuciła na ziemię i, nie zastanawiając się, cisnęła w lustro szczotką do włosów. Drewniana rączka odbiła się od szkła, nie zostawiając nawet śladu. La Sirene chwyciła więc buteleczkę z podkładem i rzuciła nią w ten sam cel. Tym razem na powierzchni lustra pojawiło się, wielce satysfakcjonujące pęknięcie.

Newlin skrzywił się i cofnął o krok. Sprawiał wrażenie wystraszonego. Co za mięczak! Kochankiem Callas był Onassis, magnat okrętowy, jeden z legendarnych tytanów ubiegłego stulecia. A z kim ona musiała pracować? Nie z bogatym Grekiem, a z bogatym głupkiem. To nie w porządku. To nie było jej prawdziwe przeznaczenie. Trzeba jednak przyznać, że oprócz milionów i uwielbienia dla niej Newlin posiadał jeszcze jedną niezwykle użyteczną zaletę: swobodnie poruszał się w cyberprzestrzeni. Po śmierci Craigmora Damaris nie była w stanie śledzić poczynąń J&J i ślad Grace Renquist się urwał. A drogi Newlin bez trudu włamał się do poufnej, zaszyfrowanej bazy danych agencji. Nic dziwnego, skoro to jego firma była autorem oprogramowania.

La Sirene opanowała się i zmusiła do myślenia.

- Wiesz, dlaczego Renquist tu jest. - Odwróciła się i spojrzała na Newlina. - Ona mnie prześladowuje.

- Jesteś tego absolutnie pewna, najdroższa? - spytał. Poderwała się ze stołka, zacisnęła pasek szlafroka i zaczęła nerwowo krążyć po luksusowej garderobie.

- Mówiłam ci, że Grace Renquist prześladowuje mnie od wielu tygodni.

Wątek prześladowania wymyśliła tylko po to, by jakoś wyjaśnić sytuację Newlinowi. Ale gdzieś po drodze stał się dla niej rzeczywistością. Teraz była głęboko przekonana, że Renquist, wiedzona zawiścią, nastaje na nią.

- Może czas wezwać policję - zasugerował Newlin.

- W takich przypadkach policja jest bezradna. Wierz mi, wiem coś o tym. Nie pierwszy raz muszę

sobie radzić z czymś takim.

- Więc przynajmniej pozwól, żebym ci wynajął całodobową ochronę. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była zgraja ochroniarzy śledzących każdy jej krok.

- To by tylko wywołało niepotrzebne plotki albo nawet skandal - odparła szybko. - Nie mogę sobie na to pozwolić, nie w zwrotnym punkcie mojej kariery.

Kłamała jak z nut. Przecież nie ma nic lepszego dla kariery operowego śpiewaka niż soczysty skandal.

Newlin dał się nabrać.

- Dla mnie najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo - oznajmił.

- Stać mnie na wynajęcie najlepszej firmy ochroniarskiej. Będą bardzo dyskretni, przysięgam.

Tylko machnęła ręką.

- Nie, nie trzeba. Wiesz, myślę, że możesz mieć rację. Może ta Renquist jest po prostu moją zagorzałą wielbicielką i podziwia mój talent do tego stopnia, że przyleciała na premierę aż z Hawajów.

Wierutna bzdura. Renquist pojawiła się w Acacia Bay, bo chciała dopaść La Sirene. Świadomość, że pojmowała moc głosu, była satysfakcjonująca, lecz tak czy inaczej, tej kobiecie nie można pozwolić ująć z życiem. Vivien zatrzymała się na środku pokoju i odwróciła do Newlina. W doskonale wyćwiczonym ruchu błękitny jedwabny szlafrok zawirował wokół jej nóg.

- Mam pomysł - powiedziała. - Ale potrzebuję twojej pomocy, ukochany.

- Oczywiście, najdroższa. Zrobię wszystko, o co poprosisz.

- Widzę tylko jedno rozwiązanie - zaczęła, a jej głos nabrał melodyjnej delikatności. Zawsze odznaczał się naturalną siłą, nawet gdy mówiła, ale dopiero osiągając wyższe rejestry, zaczynał emanować prawdziwą mocą. - Muszę porozmawiać z Grace Renquist w cztery oczy, jak kobieta z kobietą. Może wtedy uda mi się odkryć, co jest źródłem jej obsesji na moim punkcie.

Twarz Newlina rozjaśniła się w zachwycie.

- To znakomity pomysł.

- Nagram tę rozmowę - słowa pulsowały lekkim, równym rytmem.

- Jeśli szczęście mi dopisze, dowiem się, czy ta kobieta stanowi jakieś zagrożenie, czy to tylko moja wielbicielka. Jeśli jest niebezpieczna, będę miała dowód, który przedstawię policji.

- Genialna myśl, najdroższa, absolutnie genialna. Był beznadziejnie omotany. Widziała to w jego oczach.

- Musisz ją do mnie przywieźć - oznajmiła śpiewnie.

Ciemne brwi Newlina uniosły się ponad krawędź okularów. Na moment odzyskał zdrowy rozsądek.

- Czy nie byłoby prościej, gdybyś rano zadzwoniła do jej pokoju?

- spytał. - Jestem pewny, że panna Renquist będzie zachwycona, mogąc spotkać się z tobą osobiście.

La Sirene nagle przeistoczyła się w Lady Makbet z opery Verdiego, usiłującą nakłonić męża do wyzbycia się skrupułów. Jej głos przeszedł w somnambuliczną arię.

...Ty drżysz? ...Wstyd...

Pod koniec szybowała na skrzydłach wysokiego D-minor. Nawet Callas z trudem wyciągała ten nieprawdopodobny dźwięk. Ale ona była przy La Sirene kompletnym zerem. Na skrzydłach tego wysokiego D płynęła czysta energia. Newlin stał jak zahipnotyzowany.

- Zrobię dla ciebie wszystko - wyszeptał. - Wszystko.

Bez wątpienia. W końcu nadal posiadała głos.

Rozdział 45

Luther wyciągnął ze składziku jeden z wózków na pościel i położył na nim ciągle nieprzytomną Damaris. Zawiózł ją do pokoju wynajętego przez Fallona i zamknął drzwi na klucz. Potem sięgnął po komórkę i wybrał numer Grace.

Odpowiedziała, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

- Luther? Wszystko w porządku? Martwiłam się o ciebie. Znowu miałam to okropne przecucie, tak jak wtedy, kiedy natknąłeś się na parkingu na Craigmores'a. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałeś. A potem to przecucie nagle minęło.

Łączy nas głęboka więź, pomyślał z satysfakcją. Czuł się z tym wspaniale.

- To długa historia - odparł. - Ale tak, wszystko w porządku.

- Przed chwilą dzwonił do mnie Fallon Jones. W sejfie Craigmores'a znaleźli jakieś akta, z których wynika, że Vivien Ryan to jego córka. Przed laty był dawcą spermy. I miał jeszcze jedną córkę. - Damaris. Właśnie się poznaliśmy.

- Co?

- Będzie pierwszą osobą objętą przez Towarzystwo programem ochrony świadków.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Nie traciłeś czasu - powiedziała w końcu Grace.

- Nie - przyznał. - Ale mam jeszcze wiele do zrobienia. Wygląda na to, że następną godzinę spędzę w pokoju hotelowym z pewną blondynką.

- Skoro tak, musisz mi wszystko wytłumaczyć.

Opowiedział pokrótce, co się wydarzyło. Unikał szczegółów dotyczących lasera, ale Grace umiała czytać między wierszami.

- Chciała cię zabić.

- Ona jest uzależniona od formuły - odparł. - Kiedy zginął jej ojciec, została odcięta od narkotyku.

Grace westchnęła.

- Więc umiera.

- Tak. Antidotum jest jej jedyną nadzieją. Powie wszystko J&J, co wie, jeśli Zack zgodzi się, by je dostała. Ta dziewczyna nie jest psychopatką, jak jej siostra. Ma normalne spektrum. Chciała tylko zadowolić tatusia.

- Williama Craigmores'a.

- Który był nie tylko zdrajcą, ale i założycielem Cienia Nocy.

- Ciekawe, jak członkowie Rady wyjaśnią to na następnym walnym zebraniu.

- Na szczęście to nie nasz problem. Zacznij się pakować. Wrócę, jak tylko ktoś przyjedzie po Damaris.

- Wyjeżdżamy?

- Tak, zabieram cię do Los Angeles. Nie chcę, żebyś przebywała w pobliżu Ryan dłużej, niż to konieczne. Ale mamy sporo czasu. Ryan nie wie, że tu jesteśmy. I wróci do swojego apartamentu dopiero nad ranem.

- Z powodu tego przyjęcia, o którym pisali w gazetach?

- Otóż to. Wydaje jej obecny kochanek, Newlin Guthrie.

- Guthrie? Jak Guthrie Hall, nowa opera?

- Nie inaczej. Guthrie zbił majątek na oprogramowaniu komputerowym i elektronicznych gadżetach. Pół miasta do niego należy.

Rozdział 46

Teraz, kiedy nie musiała się już martwić o Luthera, Grace odczuła skutki długiego lotu z Hawajów i zdenerwowania, jakie towarzyszyło rozpoznaniu La Sirene. Zaparzyła kawę w ekspresie, który stał na granitowym blacie, i poszła do łazienki wziąć prysznic przed kolejnym wielogodzinnym lotem. Kiedy zakręcała wodę, ogarnął ją nagły niepokój i jej zmysły gwałtownie się wyostrzyły. Tak działa intuicja.

Chwyciła biały hotelowy szlafrok i otworzyła drzwi. W sypialni czekał na nią mężczyzna w smokingu. W ręce trzymał małe, dziwnie wyglądające pudełko.

- Najmocniej przepraszam, panno Renquist - powiedział - ale naprawdę nie mam wyboru.

- Kim pan jest? - wyjąkała.

- Newlin Guthrie. - Spojrzał na pudełko. - A to mój najnowszy wynalazek. Będzie hitem na rynku urządzeń służących do samoobrony. Przypomina tasera, tyle że po pierwszym wstrząsie już nic się nie czuje. Człowiek traci przytomność na kilka godzin, ale nie cierpi z powodu żadnych długotrwałych skutków ubocznych. Nie wierzyła własnym uszom. Nie miała dokąd uciekać, więc rzuciła się na niego, wyciągając przed siebie ręce i otwierając usta, żeby zawołać o pomoc.

Elektryczny paralizator dosięgnął ją na środku pokoju. Poczowała rozdzierający ból. A potem ogarnęła ją ciemność.

Rozdział 47

Z głębin mroku wyrwały ją niezwykle, krystalicznie czyste dźwięki. Muzyka pulsowała szaleństwem i śmiercią, a siła głosu oszalała półprzytomną, zdezorientowaną Grace. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że leży na boku na dywanie, pod którym wyczuwała twardą betonową podłogę. Ogarnęła ją panika, osłabiając na moment działanie wszechogarniającej energii.

Otworzyła oczy i usiadła, podpierając się dłonią. Uświadomiła sobie, że nadal jest w hotelowym szlafroku. Potem zobaczyła świetlisty promień energii, przecinający nocny mrok. Na kilka sekund światło splotło się z niewiarygodnie czystymi dźwiękami. Nie była w stanie ich od siebie oddzielić.

Zdrętwiała, gdy tuż przed nią stanął Martin Crocker.

- Ty nie żyjesz - zdołała wykrztusić.

- Czyżby? - mruknął z krzywym uśmiechem.

- Tak. - Miał to być pełen sprzeciwu krzyk, ale z jej gardła wydobył się tylko zduszony jęk, który utonął w powodzi obłąkańczej energii, wciągającej wszystko w swój wir.

- Byłaś mi potrzebna - mówił Martin. - Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Teraz już do niczego mi się nie przydasz. Stałaś się zbędna.

To nie był sen. Więc chyba zaczęła tracić rozum. Ta muzyka pomieszała jej w głowie. Zasłoniła rękami uszy w żalosnej próbie obrony przed nią. Śpiew trochę przycichł, ale nadal był potężny. Wydawało się, że zalewa swoją siłą wszystko dookoła.

- Ty nie żyjesz - powtórzyła głośnie. Jej zmysły pulsowały wściekle, wysyłając obronne energetyczne błyski.

Wizja Martina Crockera znikła równie nagle, jak się pojawiła. Grace odetchnęła z ulgą. Drżąc, odjęła ręce od uszu i zacisnęła palce na najbliższym przedmiocie - podłokietniku teatralnego krzesła. Muzyka wznosiła się coraz wyżej i coraz głębiej wciągała Grace w piekło kryształowych nut.

Odwróciła się w stronę źródła światła i zobaczyła scenę. Snop światła padał na kobietę w białej sukni pobrudzonej czymś, co wyglądało jak krew. Jasne włosy opadały jej na ramiona, w dłoni trzymała nóż, a jej głos wypełniał cały teatr śmiertelnością energią. Vivien Ryan, La Sirene.

Na jeden upiorny ułamek sekundy przed oczami Grace pojawiło się wspomnienie fragmentu filmu, który widziała, przeglądając materiały o sopranach koloraturowych w Internecie. Vivien śpiewała arię ze słynnej sceny szaleństwa z Łucji z Lammermoor. Krew na jej dziewiczej sukni wydawała się przerażająco realna.

Podobnie jak ciało leżące w mroku na scenicznych deskach. Ciało mężczyzny. Leżał tyłem do Grace, nie mogła więc dojrzeć jego twarzy. Zaciśnęła mocniej palce na oparciu krzesła. Miała wrażenie, że zaraz utonie. W operze Łucja śpiewa tę arię po zamordowaniu niechcianego pana młodego. A jeśli jest już za późno? Jeśli Luther już nie żyje?

Nie. Gdyby coś mu się stało, wiedziałyby o tym. Mimo obojętnej muzyki tego jednego była pewna. I z tej pewności czerpała siłę. To nie Luther leżał tam przed nią, przerażająco nieruchomy. Z ust Vivien popłynęła kolejna kaskada wysokich, czystych dźwięków, którym towarzyszyły nieregularne impulsy energetyczne.

Tak jak Łucja, Vivien coraz głębiej pogrążała się w szaleństwie i próbowała wciągnąć w tę otchłań swoją publiczność. Wszystko to było w jej śpiewie i aurze. Grace widziała to, słyszała i obawiała się, że nie zdoła się temu oprzeć. Salę wypełniała potężna siła obłędu, w której La Sirene nurzała się z wyraźną rozkoszą.

Grace zdołała dźwignąć się na kolana, ale zanim wstała, przed jej oczami pojawił się potwór, który wiele lat temu usiłował ją zgwałcić. Ruszył powoli w jej stronę, uśmiechając się oblesnie. Grace zadrżała. Proszę, nie. Nie miała czasu na rozgrywkę z kolejną zjawą. Musiała się skupić na przetrwaniu.

- Nie martw się, to ci się spodoba - obiecał potwór.

- Ty nie żyjesz - powiedziała. Zdołała sprawić, że znikł Martin, więc z potworem także sobie poradzi. Udało jej się zebrać siły, które przekształciła w mocny strumień energii. - Ty nie żyjesz, do cholery. Potwór rozplątał się w powietrzu, tak jak wcześniej Martin. To ważne, to coś, co pozwoli ci walczyć.

Zdołała wstać, nadal jednak znajdowała się pod przemożnym wpływem muzyki. Ruszyła wolno w stronę sceny, zamiast uciekać w przeciwnym kierunku. Próbowwała oprzeć się tej strasznej sile przyciągania, lecz tylko nieco zwolniła kroku. Nie była w stanie zapobiec temu, co nieuchronne. Szła na spotkanie przeznaczenia, tak jak mityczni żeglarze płynęli na spotkanie ze śmiercią.

Vivien wyrzuciła ramiona w górę. Pieśń szaleństwa wzniosła się jeszcze wyżej. Grace znowu zasłoniła uszy, uspokoiła zmysły i zebrała siły. A potem wystrzeliła przed siebie potężny energetyczny impuls, usiłując stworzyć bufor, który powstrzymałby fale zabójczej muzyki. Miała wrażenie, że moc śpiewu nieco osłabła. Zachęcona tym sukcesem wysłała w stronę śpiewaczki kolejny impuls. Chwilę później poczuła, że jej umysł się rozjaśnia. Znowu była w stanie myśleć.

Wiedziała, że nie zdoła długo opierać się burzy dźwięków tej syreniej pieśni, postanowiła więc spróbować ślizgać się po jej energii, jak surfer ślizga się po grzbietach fal. Gdyby nawet się udało, nie zdoła zneutralizować mocy La Sirene z tej odległości. Nie była też w stanie odwrócić się i uciekać, bo muzyka bezlitośnie przyciągała ją do siebie. Pozostawała tylko jedna szansa, ale żeby ją wykorzystać, musiała zbliżyć się do sceny.

Staw czoła tej muzyce, Grace, i tańcz. Tańcz tak szybko, jak tylko potrafisz. Przez chwilę

obserwowała aurę Vivien, starając się skupić na błyskającym pulsie. Potem ostrożnie zaczęła wysyłać impulsy własnej energii, celując w pola między błyskami w rozognionym spektrum. Czuli się, jakby stała z łukiem naprzeciwko karabinu maszynowego. A jednak głos La Sirene znowu trochę osłabł, wiedziała więc, że jest na dobrej drodze. Vivien przestała śpiewać. Nagła cisza podziałała na Grace elektryzująco.

- Naprawdę myślisz, że taka tania sztuczka może powstrzymać mój talent? - spytała La Sirene z rozbawieniem.

Grace zatrzymała się przed ciemną muszlą dla orkiestry. Śpiewacy operowi nie mogą przeżywać prawdziwych emocji podczas występów, przypomniawszy sobie. Silne emocje powodują ucisk w gardle i klatce piersiowej, co negatywnie wpływa na oddech i głos.

- Wiesz, Viv - powiedziała - masz fajne ciuchy i teatr niczego sobie, ale w gruncie rzeczy jesteś tylko jedną z wielu śpiewaczek.

- Zamknij się, ty idiotko. Jestem La Sirene.

Grace spojrzała na mężczyznę leżącego na scenie.

- Kto to?

- Newlin Guthrie.

- Zabiłaś swojego kochanka?

- Och, on żyje, jest tylko nieprzytomny. - Vivien się uśmiechnęła.

- Dlaczego miałabym pragnąć jego śmierci? Bardzo mi się przydaje. To on cię odnalazł. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy mi powiedział, że byłaś dziś na widowni. Bardzo się cieszę, że mogłaś usłyszeć mnie w partii Królowej Nocy. Byłam zachwycająca, czyż nie?

- Daj spokój. Twoja kariera się kończy. Wszyscy o tym wiedzą.

Dlatego śpiewasz w Acacia Bay, a nie w Metropolitan.

- To kłamstwo! - krzyknęła Vivien, a jej aurę rozpałała wściekłość.

- Jestem La Sirene. Żadna inna śpiewaczka nie potrafi dokonać swoim głosem tego co ja.

- Chyba żartujesz. Mówimy o operze, prawda? Może kiedyś byłaś dobra, ale tracisz głos. Pamiętasz, jak wygwizdali cię w La Scali? Słyszeli, że twój głos słabnie.

- W La Scali uciszyłam część widowni tylko siłą mojego głosu! - wrzasnęła Vivien.

- Założę się, że kilka dziesiątek innych sopranów z powodzeniem mogłoby zająć twoje miejsce. Co więcej, sporo z nich jest od ciebie znacznie młodszych.

- Przestań - zachrypiła Vivien. - Mój głos jest bez skazy.

- Może był jeszcze kilka lat temu, ale na pewno nie teraz. Tak przy okazji, mam na ten temat pewną teorię. Bo wiesz, jestem kimś w rodzaju eksperta od genetyki parapsychicznej.

- Zamknij się!

- Według mojej teorii za każdym razem, kiedy używasz głosu po to, by kogoś zabić, coraz głębiej pogrążasz się w szaleństwie. A ludzie szaleni tracą kontrolę. To właśnie działo się z tobą na przestrzeni ostatnich lat, Viv. Tracisz kontrolę nad głosem.

- Ja nie jestem szalona! - krzyknęła Vivien.

- Uważaj. Wątpię, czy takie wrzaski dobrze wpływają na twój głos.

Vivien zacisnęła palce na splamionej krwią sukni i znowu zaczęła śpiewać arię obłąkanej Łucji. Grace wzdrygnęła się i zasłoniła uszy. Równie dobrze mogłaby chować się w kartonowym pudle przed lawą z wybuchającego wulkanu. Zebrała wszystkie siły, by obronić się przed piekielnym deszczem tych krystalicznych nut, ale dźwięki spadały na nią jak ostre odłamki tłuczonego szkła.

Wiedziała, że umrze, jeśli nie zdoła zdestabilizować aury Vivien. Znowu zaatakowała słabe punkty energetycznego pola śpiewaczki. Głos La Sirene wzniósł się wyżej. Nadal śpiewała nieprawdopodobnie czysto, lecz jakby ciszej, słabiej. Gniew nie pozwalał jej skupić się na śpiewie. Dosłownie dławiła się złością i frustracją. Jej głos załamał się, raz, a potem znowu.

Nie przestając śpiewać, obróciła się i zaczęła schodzić ze sceny. Teraz nie trzeba nadprzyrodzonych zdolności, by dostrzec w jej aurze obłęd i pragnienie mordy, pomyślała Grace. Vivien zeszła ze schodków z teatralnym wdziękiem, jakby właśnie była w środku przedstawienia, po czym ruszyła w stronę Grace, unosząc trzymany w dłoni sztylet. Słynna aria szaleństwa przeszła w serię załamujących się wrzasków.

Grace całkiem wyzwoliła się z mocy głosu La Sirene. Znowu mogła się swobodnie poruszać. Wskoczyła na najbliższe krzesło, przeszła nad oparciem na kolejny rząd, zeskoczyła na podłogę i popędziła w stronę przejścia. Bieg wąską przerwą między rzędami okazał się trudniejszy, niż przypuszczała. W pewnej chwili boleśnie uderzyła udem w podłokietnik jednego z krzeseł.

Vivien krzyczała ochryple, niemal pozbawiona swojej mocy. Uniosła zakrwawioną spódnicę i rzuciła się w stronę końca pierwszego rzędu, najwyraźniej zamierzając przeciąć drogę Grace. Grace zatrzymała się, wdrapała na krzesło i przeskoczyła na trzeci rząd, a potem na czwarty. Próbując uciec przed obłąkaną śpiewaczką, pędziła z rozwianymi połami szlafroka.

Głos Vivien przeszedł w chrapliwe skrzeczenie. Przez drzwi prowadzące do holu wdarło się oślepiające światło, a po chwili na jego tle pojawiła się sylwetka mężczyzny.

- Grace! - krzyknął Luther.

- Nic mi nie jest! - odkrzyknęła. - Uważaj, ona ma nóż, ale nie jest w stanie zaśpiewać ani jednej nuty.

Vivien zatrzymała się w połowie przejścia między rzędami. W ciszy, która nagle zapadła, było wyraźnie słycać jej chrapliwy oddech. Światło padające z holu wydobywało z mroku jej rozwichrzone włosy i plamy krwi na sukni. Aura otaczająca jej postać mieniła się upiornymi kolorami obłędu.

- Jestem La Sirene - wyszeptała.

Upuściła sztylet, odwróciła się i pobiegła w stronę sceny. Luther rzucił się za nią, z laską w jednej dłoni i rewolwerem w drugiej. Jego aura płonęła gniewem.

- Nie - powiedziała Grace cicho. - To nie jest konieczne. Pozwól jej odejść.

Przez chwilę myślała, że Luther nie posłucha. On jednak zatrzymał się i opuścił rewolwer.

Vivien wbiegła na scenę i znikła za czerwoną jak krew aksamitną kurtyną.

Rozdział 48

J&J wysłała ze swojego biura w Los Angeles jeszcze kilku ludzi, żeby zajęli się Newlinem Guthrie. Kiedy dotarli na miejsce, Luther szybko zapoznał ich z sytuacją, a następnie wsadził Grace do samochodu.

- Jesteś pewny, że musimy dzisiaj jechać do Los Angeles? - spytała.

- Ta syrena jest ciągle na wolności, więc nie możemy zostać w Acacia Bay.

Luther podjął decyzję, a ona była zbyt wyczerpana, by się sprzeciwić. Odchyliła głowę na oparcie i spojrzała na ciemne wody Pacyfiku.

- Cieszę się, że plamy krwi na stroju Łucji nie były prawdziwe - powiedziała, ziewając. - To był

tylko kostium z jej garderoby.

- Fallon Jones uważa, że twoja teoria dotycząca pogłębiania się jej obłądu, jest słuszna. Ryan od początku była niezrównoważona, a zabijanie ludzi głosem z byle powodu tylko pogarszało jej stan. Równocześnie coraz trudniej zachowywała kontrolę nad sobą, zarówno na normalnej, jak i nadprzyrodzonej płaszczyźnie.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała.

- Zawsze zdołam cię znaleźć - odparł.

Uśmiechnęła się.

- Niepoprawny romantyk. Ale ja mówię poważnie.

- Ja też.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- No, powiedz, skąd wiedziałeś, że Guthrie zabrał mnie do teatru.

- Doszedłem do tego drogą selekcji negatywnej. W sumie miał niewielki wybór. W jego domu odbywało się przyjęcie, więc tam nie mógł cię zawieźć. Przeniesienie cię do jej pokoju hotelowego byłoby ryzykowne. Więc dokąd mógł cię zabrać? Sama mówiłaś, że La Sirene kocha światła jupiterów. A Newlin Guthrie ma dostęp do najwspanialszej sceny w mieście.

- Zaimponowałaś mi.

- No cóż, byłem kiedyś detektywem. Grace położyła dłoń na jego kolanie.

- Kto raz był detektywem, pozostaje nim na zawsze.

Rozdział 49

La Sirene spojrzała w skłębioną kipieli u swoich stóp. Wszystko dokoła było skąpane w zimnej księżycowej poświacie. Tak, to miejsce stanowi doskonałą scenerię dla jej ostatniego występu. Urwisko nie było wprawdzie pionowym kamiennym murem Castel Sant'Angelo, z którego rzuciła się Tosca, gdy odkryła, że jej kochanek został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny, ale powinno wystarczyć.

Renquist zrujnowała głos. Jego moc niemal całkiem znikła i La Sirene wiedziała, że nigdy jej nie odzyska. Była skończona. Najlepiej, jeśli już dziś zejdzie ze sceny. Jutro odzyska sławę, a krytycy będą jednocześnie rozpylić się nad jej Królową Nocy i opłakiwać przedwczesną stratę tak wspaniałego talentu. Wszystkie gazety będą pisać o jej śmierci na pierwszych stronach. Rozłożyła szeroko ramiona i skoczyła w dół, śpiewając pieśń własnej śmierci. Tak, zawsze była znacznie lepsza od Callas. Była La Sirene.

Rozdział 50

Trzyosobowa telekonferencja z Fallonem odbyła się następnego dnia w pokoju hotelowym koło lotniska pod Los Angeles.

- Ciało Ryan zostało znalezione na skałach w pobliżu miejsca zwanego Piekielnym Kotłem - powiedział Jones. - To jedna z głównych atrakcji krajobrazowych w tej okolicy. Strome urwiska, wiry wodne. Fotograficy uwielbiają takie miejsca. Oczywiście nie wolno tam pływać ani nurkować.

- Tosca rzuciła się do morza z zamkowego muru - odparła Grace - więc to bardzo stosowna sceneria na ostatni występ La Sirene.

- Wiedziałaś, że ona skoczy? - spytał Fallon, wyraźnie zaintrygowany.

Luther spojrział na Grace z drugiego końca pokoju.

- Nie wiedziałam, że skoczy - odparła cicho. - Ale tak, byłam prawie pewna, że popełni samobójstwo. Widziałam to w jej aurze, kiedy biegła w stronę sceny.

- Usługi Sweetwatera tym razem nam się nie przydadzą - mruknął Fallon. - To bardzo upraszcza sprawę.

- A co z Damaris Kemble? - zapytał Luther.

- Właśnie ją przesłuchują. Jeszcze dziś dostanie pierwszą dawkę antidotum.

- Tak szybko? - zdziwiła się Grace. - Mówiła, że ma zapas formuły na trzy tygodnie.

- Taką podjęła decyzję - wyjaśnił Fallon. - Chciała jak najszybciej zacząć przyjmować antidotum. Zdaje się, że cierpiała z powodu nieprzyjemnych skutków ubocznych narkotyku. Oddała pozostałe fiołki do laboratorium, gdzie próbują ustalić, jak Cień Nocy przystosowywał formułę do indywidualnych potrzeb różnych osób. To może bardzo pomóc w pracach nad antidotum.

- Jak przyjęła wiadomość o śmierci siostry? - spytała Grace.

- Jeden z psychiatrów Towarzystwa, który z nią rozmawiał, powiedział mi, że nie była zaskoczona.

- Biedna Damaris - szepnęła Grace. - Straciła ojca i siostrę zaledwie rok po tym, jak ich odnalazła. I znowu jest sama.

- Ale żyje - zauważył Fallon sucho.

- Dzięki Lutherowi - stwierdziła Grace.

Luther zmarszczył brwi.

- Jak to możliwe, że Craigmores zdołał przejść przez sito, kiedy zostawał członkiem Rady?

- Dobrze pytanie - odparł Fallon z wyraźną irytacją. - Pamiętaj jednak, że przyjmowano go piętnaście lat temu.

- Innymi słowy, zanim ty zostałeś szefem J&J.

- W tym czasie szefem biura na Zachodnim Wybrzeżu był mój wuj. Był dobry, ale nie miał takich możliwości badawczych, jakimi ja dysponuję. Poza tym Craigmores pracował w agencji rządowej specjalizującej się w tworzeniu fałszywych tożsamości. Miał doskonałe papiery, perfekcyjne pod każdym względem. Ci, którzy znali go z okresu, kiedy był szpiegiem, uważali go za bohatera.

Prawdę mówiąc, rzeczywiście nim był, przynajmniej do czasu, kiedy założył Cień Nocy. No i, co nie mniej ważne, zastosował najstarszą metodę pod słońcem.

- Ukrył się tam, gdzie jest najciemniej, to znaczy pod latarnią - domyślił się Luther.

- Właśnie. Niedawno zacząłem dokładnie sprawdzać wszystkich członków Rady. Na pewno odkryłbym, co robi Craigmores, a przynajmniej nabrałbym wobec niego podejrzeń. Damaris twierdzi, że czuł się zagrożony i planował ucieczkę.

Luther przeszedł przez pokój, oparł się o krawędź biurka i powiesił laskę na krześle.

- Z Newlinem Guthrie wszystko w porządku?

- Tak, ale przeżył poważny wstrząs. Zdaje się, że La Sirene potraktowała go jego własnym paralizatorem. Nasi ludzie z Los Angeles już z nim rozmawiali. Bardzo żałuje tego porwania. Mówi, że wiedział, co robi, ale nie potrafił się powstrzymać.

- To prawda - wtrąciła Grace. - Kiedy go zobaczyłam w moim pokoju, jego aura była dziwnie nieruchoma, co jest bardzo nietypowe u osoby, która zamierza dopuścić się przemocy. Został zahipnotyzowany przez La Sirene.

- Chciał oddać się w ręce policji, ale agenci J&J przekonali go, żeby tego nie robił. Powiedzieli mu, że nic ci się nie stało i że nikt nie ma zamiaru zgłaszać władzom tego incydentu. Zresztą teraz, kiedy

Ryan nie żyje, to wszystko nie ma już znaczenia.

- A jak wszedł do mojego pokoju? - spytała Grace.

- Przez drzwi łączące twój apartament z sąsiednim pokojem.

- Przecież te drzwi były zamknięte na klucz - zdziwiła się. - Oboje to sprawdziliśmy, Luther i ja.

- Guthrie jest właścicielem tego hotelu, nie miał więc problemów ze zdobyciem klucza.

- To bystry człowiek - ocenił Luther. - Jak agenci wyjaśnili mu, co się z nim działo?

- Powiedzieli, że padł ofiarą niezwykłego rodzaju hipnozy. To wprawiło go w jeszcze większe przygnębienie, bo ludziom takim jak on trudno zaakceptować fakt, że można ich zahipnotyzować. Ale poczuł się lepiej, kiedy się dowiedział, że J&J ma zamiar kupić pewną liczbę jego nowych paralizatorów.

- Z jego aury wynika, że posiada nadprzyrodzone zdolności w kierunku informatycznym - powiedziała Grace. - Pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Zabawne, że to mówisz. Jeden z agentów, którzy z nim rozmawiali, zaproponował, żeby poddał się testom w Towarzystwie.

Guthrie był zachwycony tym pomysłem.

- Co dalej? - spytał Luther.

- Jeśli chodzi o ciebie i Grace, sprawa jest zamknięta - odparł Fallon. - Przyślij mi rachunek. J&J pokryje koszt biletów powrotnych.

Wejdziesz na stronę internetową biura podróży Towarzystwa. Macie już rezerwacje.

- Luther pytał, co będzie dalej z Cieniem Nocy - wtrąciła Grace.

- Na tym froncie wszystko idzie błyskawicznie - zapewnił Fallon. - Craigmores zajął się Eubanksem prywatnie, więc nikt z zarządu Cienia Nocy nie ma pojęcia, że obserwujemy czterech ich ludzi i czekamy, kto zajmie miejsce piątego. Prawdopodobnie jeszcze nie wiedzą, że ich założyciel i przywódca nie żyje.

- Na pewno dojdzie do walki o jego stanowisko - zauważył Luther.

- Zwłaszcza kiedy dobierzemy się do tych pięciu laboratoriów.

- Jakich laboratoriów?

- Zapomniałem ci powiedzieć. Pamiętasz wysoko postawionych członków Cienia Nocy, których tożsamość udało ci się ustalić?

- Tak. Co z nimi?

- Wygląda na to, że każdy jest odpowiedzialny za laboratorium, które prowadzi badania nad formułą albo ją produkuje. To raczej niewielkie ośrodki. Craigmores był zwolennikiem decentralizacji, z uwagi na bezpieczeństwo.

- Sprytnie.

- Zack i Rada wydali zgodę na tę akcję godzinę temu. Agenci J&J wejdą do laboratoriów, wezmą wszystkie komputery i dokumenty, a całą resztę spalą. To standardowa procedura w przypadku zakładów zajmujących się formułą.

- A nikt związany z Cieniem Nocy nie pójdzie z tym na policję, bo nie chcą dochodzenia, które mogłoby ujawnić produkcję nielegalnego środka - zgadywał Luther.

- Mniej więcej o to chodzi - przyznał Fallon.

- Dla Cienia Nocy to będzie potężny cios - mruknęła Grace.

- Wprawdzie nie wiemy, ile jest tych laboratoriów, ale po stracie założyciela i pięciu zakładów w organizacji zapanuje chaos.

Wykorzystamy to, żeby zidentyfikować tyłu członków Cienia Nocy, ilu tylko zdołamy. Nadal nie wiemy, kto jeszcze zasiada w zarządzie.

- A Damaris Kemble nie może ci powiedzieć?

- Twierdzi, że jej ojciec uważał, że jeszcze nie jest gotowa na takie informacje. Według ludzi, którzy ją przesłuchują, mówi prawdę.

Kilku naszych przeszukuje rezydencję Craigmore'a, jego biuro i komputer. Zdobywamy informacje, ale przed nami jeszcze długa droga. Facet potrafił strzec swoich tajemnic.

- A więc agencja będzie miała sporo roboty - podsumował Luther.

- Jakbym o tym nie wiedział - mruknął Fallon. - Pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu.

- To niedobrze, panie Jones - wtrąciła się Grace. - W końcu się pan wypali, a to byłaby katastrofa. Towarzystwo potrzebuje pana w najlepszej formie.

Fallon prychnął.

- Niestety nie mam wyboru.

- Ależ ma pan wybór - zaprotestowała Grace. - Na początek powinien pan zatrudnić asystenta.

- Mowy nie ma. Ja pracuję sam. Grace się uśmiechnęła.

- Luther mówił to samo. Ale gdy pan kazał mu pracować ze mną, stworzyliśmy całkiem niezłą drużynę.

- To prawda, ja jednak muszę pracować sam choćby z tego powodu, że nikt nie jest w stanie wytrzymać ze mną dłużej niż pięć minut.

- Czyżby? Przez kilka miesięcy robiłam dla pana badania genealogiczne i nie miałam żadnych problemów.

Luther uśmiechnął się szeroko, ale milczał.

- Ty jesteś inna - odparł Fallon.

- Musi pan więc znaleźć kogoś, kto także będzie inny.

Potrzebuje pan asystenta, panie Jones. To teraz najważniejsza sprawa. Niech pan pomyśli o tym jak o puzzlach, które trzeba jak najszybciej ułożyć.

- To musiałby być ktoś, komu mógłbym powierzyć tajemnice Towarzystwa - stwierdził Fallon, nie przekonany.

- Oczywiście. Ale przecież nie będzie pan pierwszy. Proszę nie zapominać, że założyciel J&J, Caleb Jones, zatrudnił asystentkę, która później została jego żoną. To ona jest tym drugim „J” w nazwie firmy.

- Nie musisz mnie uczyć historii mojej własnej rodziny. I wiedz, że ja nie szukam żony.

- Mówimy o zatrudnieniu asystenta, nie o małżeństwie - powiedziała uspokajająco Grace.

Fallon milczał chwilę.

- Pomyślę o tym - rzekł wreszcie. - A tak przy okazji, chciałbym, żebyś stworzyła nową tożsamość dla Damaris Kemble. Ona wprawdzie twierdzi, że Craigmore nigdy nie powiadomił zarządu Cienia Nocy o jej istnieniu, ale wolę nie ryzykować. Zagrzeb ją gdzieś głęboko w aktach genealogicznych Towarzystwa, dobrze?

- No cóż, sądziłam, że J&J zatrudnia osoby, których zadaniem jest tworzenie nowych tożsamości.

- Tak, oczywiście, w rutynowych sprawach, takich jak dostarczenie fałszywych dokumentów na użytek jednej czy dwóch operacji. Ale tym razem chodzi o stworzenie całego życiorysu. Musi być wiarygodny, z aktami rodzinnymi sięgającymi kilka pokoleń wstecz. O ile wiem, właśnie ty jesteś

najlepsza w takich sprawach, przynajmniej jeśli chodzi o tworzenie fałszywej przeszłości w ramach Towarzystwa.

Grace zaschło w ustach.

- Słucham?

- Do diabła, mówię o tym, co zrobiłaś, kiedy udało ci się pozbyć tego sukinsyna Crockera. To było perfekcyjne. Gdybym nie miał Crockera na oku z uwagi na jego nielegalną działalność, nigdy nie zainteresowałyby mnie okoliczności jego śmierci, nie wspominając już o śmierci jego asystentki. Miłej podróży.

Połączenie zostało przerwane. Grace zamknęła telefon i spojrzała na Luthera.

- Cały Fallon - powiedział.

- On wiedział o wszystkim od samego początku - wykrztusiła. - Wiedział nawet o klinice.

- To także typowe dla Fallona. Nie wiem jak ty, ale ja jestem gotowy do podróży. - Zerknął na komputer na biurku. - Może sprawdzimy, o której odlatuje nasz samolot?

To było jak kubek zimnej wody. Grace wróciła do rzeczywistości.

- Dobrze - zgodziła się.

Wstała, podeszła do biurka, weszła na stronę biura podróży i wystukała numer rezerwacji Luthera.

- Twój samolot odlatuje o czternastej piętnaście - poinformowała.

- Doskonale. - Luther sięgnął po laskę. - Pora na lunch.

- Nie dla mnie. - Grace się przeciągnęła. - Mój samolot do Portland odlatuje o pierwszej.

Luther popatrzył na nią z twarzą pozbawioną wyrazu.

- A tak, Portland - mruknął. - Całkiem o tym zapomniałem.

Skinęła głową. Bała się wyrzec choćby słowo, ale bała się też milczeć.

- Myślałam o... - zaczęła ostrożnie.

- Co za zbieg okoliczności - przerwał jej Luther. - Ja też o tym myślałem. Może polecimy razem do Portland i...

- Spakuję trochę rzeczy...

- Spakujesz wszystkie rzeczy, a potem polecisz do domu. Na Hawaje. Ze mną.

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak - szepnęła. - Mogę to zrobić. Luther objął ją i przyciągnął do siebie.

- Wiesz, do czego to zmierza, prawda?

Zarzuciła mu ręce na szyję, czując, jak szczęście wzbiera w niej niczym potężna operowa aria.

- Myślę, że tak.

- Kocham cię - powiedział. - Ale pewnie o tym wiesz, skoro tak dobrze potrafisz czytać z aury.

- Ja też cię kocham. - Pocałowała go lekko i oznajmiła: - Gwoli ścisłości, nikt nie może zobaczyć miłości w czyjejs aurze, nawet jeśli potrafi wyczytać z niej cechy osobowościowe. Właśnie dlatego musisz mi to mówić.

- Będę mówił - obiecał. - Bez końca.

- Bez końca - powtórzyła.

Rozdział 51

Pukanie rozległo się w chwili, kiedy Grace pakowała do walizki kozaki, których prawdopodobnie nigdy nie włoży na Hawajach.

- Ja otworzę - powiedziała do Luthera.

Wyprostował się nad pudłem pełnym książek, które właśnie oklejał taśmą, i spojrział w okno.

- Jakaś starsza pani w wojskowych ciuchach, przeciwsłonecznych okularach i płaszczu przeciwdeszczowym. Chyba ma gnata.

- To od niej wynajmuję ten domek - wyjaśniła Grace. - Ale nie ma broni, tylko specjalną kamerę.

- Ciekawa postać.

Grace otworzyła drzwi.

- Witaj, Arizono. Wejdz. Strasznie leje.

- Zgadza się. - Arizona weszła do małego przedpokoju, strząsając wodę z czarnego przeciwdeszczowego płaszcza. - Rano zrobiłam rozpoznanie. Kiedy pada, ludzie z instytutu często załatwiają tajne przesyłki. W czasie deszczu czuję się pewniej.

- Poznaj Luthera Malone - powiedziała Grace. - Luther, to jest Arizona Snow, moja gospodyni.

Luther się uklonił.

- Miło mi panią poznać.

Arizona zdjęła okulary i spojrzała na niego, lekko mrużąc oczy. - Więc to ty?

- To znaczy kto? - spytał.

Arizona prychnęła, wyciągnęła rękę i energicznie potrząsnęła jego dłonią.

- Nie ze mną takie numery, młody człowieku. Na kilometr potrafię rozpoznać zawodowca. Jak tylko zobaczyłam was razem, od razu wiedziałam, że to na ciebie czekała Grace, kiedy przyczaiła się w Eclipse Bay.

Luther spojrział na Grace.

- Prawdę mówiąc, to raczej ja na nią czekałem.

Arizona puściła do niego oko.

- Rozumiem. Życie w ukryciu może nieźle dopiec, ale skoro tu jesteś, mogę zakładać, że misja się powiodła, prawda?

- Tak, proszę pani - potwierdził Luther.

Grace ruszyła do kuchni.

- Może napijesz się kawy? - spytała Arizonę. - Właśnie zaparzyłam cały dzbanek.

- Dzięki, chętnie. - Arizona zerknęła na walizki i pudła. - Wygląda na to, że tym razem wyjeżdżasz na stałe.

- Mamy zamiar się pobrać - oświadczyła Grace. - I zamieszkać na Hawajach.

- Ale nadal będziecie pracować dla agencji, prawda? Luther tylko uniósł brwi. Grace z uśmiechem skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała i podała Arizonie kubek. - Ale będziemy też prowadzić małą restaurację w Waikiki.

Arizona spojrzała na ich dłonie, które chwilę wcześniej przypadkiem się zetknęły. Grace uświadomiła sobie, że nie poczuła nic niezwykłego, kiedy musnęła palce starszej kobiety.

- Zdaje się, że moja fobia wreszcie minęła - powiedziała.

Arizona kiwnęła głową z zadowoleniem.

- To dobrze, zwłaszcza że chcecie się pobrać i tak dalej. Luther roześmiał się i wziął kubek, który podała mu Grace.

- Bardzo dobrze - rzekł.

- Waikiki? - Arizona upiła łyk kawy i oznajmiła: - Znam pewne małżeństwo, które po przejściu na

emeryturę przeniósł się do Waikiki.

- Doprawdy? - rzucił Luther.

- Mówili, że zamierzają otworzyć jakiś bar czy restaurację. Petra i Wayne Groves. Nigdy ich nie zapomnę. Najlepsi snajperzy, jakich kiedykolwiek znałam. Odeszłam z agencji zaraz po nich. Byli ode mnie trochę młodszy. Teraz są już po sześćdziesiątce.

Luther znieruchomiał z kubkiem w połowie drogi do ust.

- Znała pani Petrę i Wayne'a? - zdziwił się.

- Jasne. W pewnym sensie przypominali was dwoje. - Arizona postukała się palcem w skroń. - Mieli szósty zmysł. Ten kraj zawdzięcza im więcej, niż ktokolwiek przypuszcza. Tacy ludzie nie dostają orderów, ale zasługują na nie bardziej niż wielu innych.

Rozdział 52

Ślub odbył się nad małą zatoczką, którą Luther kiedyś odkrył i uznał za swoją. Panna młoda, w ciąży, była bosa i radosna. Zamknęli restaurację na cały dzień i zaprosili stałych bywalców, Milly Okadę i Julie Hagstrom z synem. W sumie na ceremonię o zachodzie słońca przyszło osiemnaście osób. Wszyscy przynieśli wieńce z kwiatów. Państwo młodzi dostali po osiemnaście wieńców.

Pachnące słodko kwiaty tak wysoko obejmowały ich szyję, że Grace musiała wypluć kilka płatków, kiedy składała przysięgę. Goście stali wokół nich na ciepłym piasku w świetle zachodzącego słońca, patrząc w skupieniu na mistrza ceremonii, który udzielał ślubu. Potem Szalony Ray wyjął gitarę i zaśpiewał Hawajską pieśń weselną, zupełnie jak Elvis.

Później poszli do Milly Okady na zupę *udon*. Pod koniec posiłku Milly zaskoczyła wszystkich, przynosząc wielki tort z napisem „Grace i Luther - Sto Lat!” Były też butelka szampana i mnóstwo piwa. Grace została przy wodzie mineralnej, ze względu na dziecko. Cała reszta wybrała piwo.

Toastów było wiele, ale to Wayne wygłosił ten, który zapadł wszystkim w pamięć.

- Za Grace i Luthera - powiedział. - I za ich dziecko, które przyjdzie na świat za siedem miesięcy i osiem dni; nie żeby ktoś to specjalnie liczył. Dzieciak będzie miał wspaniałą rodzinę. Będziemy się nim dobrze opiekować. Nauczymy go wszystkiego, co powinien wiedzieć.

- Mam co do tego pewne przeczucie - wtrąciła Petra. Gdy wszyscy na nią spojrzeli, zachichotała i dodała:

- Dobre przeczucie.